



16 WDH

1911-1981

Kazimierz Koźniewski

GAWĘDA O SZESNASTCE ZAWISZY CZARNEGO

Zygmuntowi Wierzbowskiemu
naszemu drogiemu Zygowi

Warszawa 1981

Przyjaciele, młodzi przyjaciele z Szesnastki! Droga Druhu,
miły Druhu! Ewo, Zosiu, Agnieszko, Jurku, Wojtku i Staszku!
Ale nie tylko Wy, nie tylko do Was, którzy dzisiaj tworzycie
szczęp Szesnastych drużyn, zwracam się rozpoczynając tę gawędę.
Nie tylko do Was, gdyż - tak naprawdę - nie tylko Wy tworzycie
Szesnastkę. Szesnastka jest dzisiaj, była wczoraj i przedwczoraj,
będzie jutro. Drodzy, kochani Zygmuncie, Stefanie, Felku,
Andrzeju, Zbyszku i Tadeuszu, Wy wszyscy z dawnej, najdawniej-
szej Szesnastki, których nazwiska znajdują się na kartkach tej
książeczki. Wyście kiedyś tworzyli naszą drużynę. Nie byłyaby
ona dzisiaj t a k a jaka jest, gdybyście kiedyś nie tworzyli
jej taką jaką była. Każdy dzień naszego życia ma swoje korzenie
w dziejach naszych ojców, matek i dziadków. Każdy dzień harcerski
również ma swoje harcerskie, i nie tylko takie, korzenie.
Gdy więc przychodzi mi rozpoczynać gawędę o Szesnastce, zwracam
się nie tylko do Was młodych Zawiszaków, ale pamięcią szukam
tych wszystkich - wielu już nie żyje, wielu poległo w walkach
o wolność kraju - którzy kiedyś byli w załęgach, plutonach i
drużynie.

Gdy piszę tę historyczną gawędę o naszej Szesnastce rok 1979
przemienił się w rok 1980, po obozach letnich odbyły się obozy
zimowe, spotkaliśmy się na jednej i drugiej choince drużyny,
która istnieje już lat 69. Minie jeszcze kilkanaście miesięcy,
a będziemy obchodzić siedemdziesiąt rocznicę Szesnastej War-
szawskiej Drużyny Harcerskiej imienia Zawiszy Czarnego.

Siedemdziesiąt lat. Gdy się ma lat piętnaście czy siedemnaście
trudno wyobrazić sobie ten tak długi okres. Prawda?

Siedemdziesiąt lat temu nie istniało jeszcze niepodległe,

odrodzone Państwo Polskie - drużyna nasza organizowała się potajemnie, jak całe harcerstwo warszawskie, jak wszystkie organizacje, które pragnęły walczyć o niepodległość Ojczyzny. Siedemdziesiąt lat temu nikt nie sądził, że Europejczycy i Polacy wypadnie przeżyją pierwszą, tym bardziej II wojnę światową. Samochód był wtedy pojazdem rzadko oglądanym, a samolot - czymś osobliwym. Nie znano radia ani telewizji. Tylko pisarze lub matematycy obdarzeni wyjątkową fantazją śnili o lotach w Kosmos czy o lądowaniu na Księżycu. W ciągu siedemdziesięciu lat od pierwszej nowiny skautowej, która dotarła do Polski i prędko stała się harcerstwem, Polacy odzyskali utracone w XVIII w. własne państwo, początkowo była to republika kapitalistyczna, powtórnie zostali zniewoleni, tym razem przez hitleryzm, przecierpieli najkrwawszą w swych dziejach okupację i znowu się odróżdzili jako państwo, tym razem socjalistyczne. Udziałem naszych pokoleń stała się w ciągu ostatnich trzydziestu paru lat krwawa wojna o wolność i rewolucyjna przemiana społeczna.

I oto przez te wszystkie lata przemian narodowych, politycznych, państwowych i cywilizacyjnych - istniała Szesnastka. Powarżam: aż trudno to sobie wyobrazić. Prawda?

Gdyby żyli jeszcze ci młodzieńcy, którzy wtedy w 1911 roku zakładali pierwsze zastępy przyszłej Szesnastki - lecz chyba żaden z nich nie żyje - mieliby po lat też mała dziewięćdziesiąt. Byliby Waszymi pradziadkami.

A więc szesnastka to już dzieje pradziadków, dziadków, ojców i synów oraz - od paru lat - również i córek. Tymczasem drużyna jest zawsze niezmiennie młoda, ciągle nowa, ciągle odkrywająca i zaskakująca - zawsze wstępują do niej starsze dzieciaki, a opuszczają ją ci, którzy wkrótce będą młodymi kotietami i mężczyznami, młodymi, potem coraz bardziej dorosłymi, wreszcie

starszymi.

Dzisiaj tworzycie tę samą - lecz przecież nie taką samą - drużynę. Szesnastka, a obecnie szczerp paru Szesnastek, w pewnym tylko stopniu podobna jest do tamtej, pierwszej, wykluwającej się przed siedemdziesięciu laty. Różni się ona także od Szesnastki z czasów Drugiej Rzeczypospolitej - Szesnastki mojej młodości. I od tej, która potajemnie działała podczas okupacji hitlerowskiej. I od tej, która mozolnie odradzała się po wojnie. Zmieniała się Szesnastka wraz z całym harcerstwem. Zmieniało się harcerstwo wraz z całym społeczeństwem i państwem, z całą polską cywilizacją. Harcerstwo jest bowiem - niczym innym nigdy nie było i nie będzie - funkcją istniejącego społeczeństwa i państwa. Funkcją całego polskiego bytu i losu. Inne bowiem być nie może.

Lecz przecież wiemy dobrze, że między tamtą drużyną z 1911 r. i tą z 1979 r. istnieje jakaś ciągłość, więź, która stanowi nie tylko ten sam harcerski krzyż, podobny mundur, lecz coś jeszcze więcej. Więż istotna, akurat taka sama, jaka istnieje między Polakami z 1911 r. a Polakami z 1980 r. Świadomość tej ciągłości jest spoiwem i lepiszczem, tym co sprawia, iż my, tak dużo od Was starsi, przychodząc na Wasze zbiórki nie czujemy się intruzami.

Tę świadomość wspólnoty tworzy historia naszej drużyny. Historia siedemdziesięciu lat Szesnastki Warszawskiej im. Zawiszy Czarnego.

Tę historię pragnę Wam pokrótce opowiedzieć.

Prasłuchajcie.

Jesień 1911 roku. Mijało właśnie 139 lat od pierwszego rozkioru Polski, a 116 od chwili, gdy naród nasz stracił swoje państwo. I znów młodzi Polacy przygotowywali się do kolejnej walki zbrojnej, walki powstańczej, mającej przywrócić kraj i własny rząd. Grały echa powstańczych potudek i modlitw wieszczka z jego księgi o pielgrzymstwie narodu. To był taki czas.

Dwa lata wcześniej przygotowania te wzbogaciły się o pewien - dość istotny jak się z biegiem lat okazało - element. Z bardzo odległego podówczas Londynu przerzucona została do Lwowa, najpierw akurat do Lwowa, wieść o skautingu, nowym systemie organizowania młodzieży. Było to coś naprawdę nowego i niezmiernie interesującego. Liczono na to, że skauting może stać się u nas organizacją niepodległościową, w której nakazy etyczne będą się harmonijnie łączyć z przygotowaniem bojowymi - o tyle powiększycie granice wasze, o ile polepszycie dusze wasze! To był taki czas.

Czas we Lwowie i czas w Warszawie.

Jesienią 1911 r., a może nawet już kilka miesięcy wcześniej, do uczniów gimnazjów warszawskich - a gimnazja były wtedy szkołami średnimi - dotarła nowina skautowa. Ze Lwowa, poprzez łatwo przenikalną granicę i prosto z Londynu, skąd podróżujący ojcowie przywozili synom książki Baden-Powella. O skautingu pisały również gazety. Informacje docierały rozmaitymi drogami, nikt nie miał na nie monopolu. Dla wszystkich były one frapujące, jako formuła pedagogiczna mogąca służyć wychowaniu młodzieży w idei niepodległościowej. Tak bowiem, i tak przede wszystkim, skauting został przyjęty na ziemiach polskich. W paru warszawskich gimnazjach zaczęto zakładać pierwsze - oczywiście tajne - zastępy i plutony skautowe.

Dwaj uczniowie wyższej klasy Szkoły Realnej Stowarzyszenia

Techników, Janusz Rudnicki i Jerzy Wądołkowski - dowiedzieli się, rozmaitymi drogami, o istnieniu skautingu. Każdy z nich - a każdy należał do innej, tajnej organizacji niepodległościowej - zaczął gromadzić kolegów, organizować skautowe zastępy. Sądzi-
li, w ścisłym porozumieniu z przełożonymi w swoich tajnych orga-
nizacjach, iż poprzez skautowe zastępy będą mogli przygotowywać
i wprowadzać chłopców do tamtych konspiracji. Tak jednak się
stało, że organizacja początkowo pomyślana jako wstępna jak
gdyby dodatkowa, bardzo szybko stała się czołową, ważną, sama
dla siebie i przede wszystkim absortującą swych członków.

Janusz Rudnicki należał do nielegalnej organizacji niepodle-
głościowej Zarzewie, obejmującej swym działaniem wszystkie
ziemie polskie. Tej samej, która już we Lwowie odegrała również
istotną rolę w formowaniu polskiego skautingu. Rudnicki naj-
pierw utworzył zastęp - zastęp rozrósł się w pluton. Znamy datę
ukonstytuowania się tego plutonu, jest to 20 października 1911
r. ! Może ten właśnie dzień należy uznać za pierwszy w dziejach
przyszłej Szesnastki? Choć oczywiście jakieś zbiórki, zetrzania,
gry przeprowadzane przez paru kolegów pragnących mieć swój skau-
ting musiały odbywać się już od kilku tygodni, a może nawet
miesiący, jeszcze nawet przed wakacjami, może zaraz po wakacjach,
na początku nowego roku szkolnego.

Dokładnie tej samej jesieni, w tej samej Szkole Realnej im.
Stanisława Staszica, innych chłopak - Jerzy Wądołkowski - członek
tajnej "Młodzieży Narodowej", również zaczął zwoływać swych ko-
legów. Poszło mu nawet lepiej - był bardziej energiczny, może
mniej ostrożny, jak również nie bardzo dokładnie jeszcze się
orientował - jak przyznał później - w istocie metody skautowej.
Prędko zgromadził kilkudziesięciu kolegów, podzielił ich na
dziesięć, potem na dwanaście zastępów. Była to już cała gromada,

w której najbliższym jego pomocnikiem był Piotr - Piotrek Olewiński.

Zapamiętajcie te dwa nazwiska: Wądołkowski odegra niełatwą istotną rolę w pracy i przemianach przyszłej Szesnastki, a Olewiński - w pracy i przemianach całego warszawskiego i krajowego harcerstwa.

A więc dwie organizacje - już jak gdyby skautowe, jeszcze nie harcerskie - w jednej szkole. Pluton Zarzewiaków kierowany przez Janusza Rudnickiego był mniejszy, ale skautowo sprawniejszy, chłopak miał angielski podręcznik Baden-Powella i książkę Andrzeja Małkowskiego wydaną we Lwowie. Wądołkowski i Olewiński szybko zorientowali się, że tak duża liczebnie drużyna nie może skutecznie pracować - jakos się im pewnie rozlaśiała, rozsypywała, może nawet stała się niebezpieczna ze względów konspiracyjnych. Pojawił się wieczny problem: ilość czy jakość? Na samym początku 1912 roku dokonali tak ostrej selekcji, że z dwunastu zastępów pozostawili jeden - siedmiuosobowy. Kadrowy.

Tak już bywa, że dwie konspiracyjne grupy działające w jednym i tym samym środowisku zawsze jakos się spotkają, nawet wtedy gdy dotrze są ukryte przed inwigilacją zewnętrzną. Więc ci od Rudnickiego i ci od Wądołkowskiego zaczęli się spotykać - wspólna metoda, ten sam cel. Organizować zaczęli wspólne ćwiczenia, głównie w wojskowo przydatnej pionierce, razem jeździli na pozawarszawskie, bywało i trzydniowe, wycieczki do Janówka, Miłosny, Marysinka, Drewnicy, Zielonki. Na jednej z takich wspólnych zbiórek, kiedy spotkali się wszyscy drużynowi, plutonowi i zastępowi, zdecydowano, że lepiej być razem niż oddzielnie. Zresztą - co nie bez znaczenia - ich macierzyste, tajne organizacje wtedy również przechodziły proces scalania i jednoczenia się.

W marcu 1912 r. uczniowie Szkoły Realnej Stowarzyszenia Techników, nazwanej później Gimnazjum im. Stanisława Staszica, stworzyli jedną drużynę harcerską. Drużynowym został Jerzy Wądołkowski. Pierwszy drużynowy Szesnastki, podówczas noszącej numer piąty, będącą 5 WDH.

Drużyna nie była już osamotniona - w warszawskich gimnazjach przecierały się pierwsze ścieżki nowego ruchu. Sztafeta harcerska już się zaczęła. Ze Lwowa do Warszawy przyjeżdżali pierwsi młodzi instruktorzy, ty ze swym doświadczeniem, aż dwuletnim, zajęć się organizowaniem warszawskiego skautingu. W Warszawie powstała Maczelna Komenda Skautowa - tajne kierownictwo drużyn zaboru rosyjskiego - ze względów praktycznych i politycznych niezależne od Komendy Skautowej we Lwowie, lecz podporządkowujące się tantym inspiracjom w domenie metodyki oraz ideologii. Już myślano o kursach szkoleniowych - drużyny potrzebowały instruktorów. Młodzi komendanci ze szkoły Staszica musieli być dobrze wciągnięci w tę tajną pracę skautową, jeżeli na Wielkanoc 1912 roku, w niewiele tygodni po połączeniu drużyn, właśnie w willi państwa Rudnickich - rodziców Janusza, w podwarszawskim Strachowie przeprowadzono jeden z takich kursów. Wzięli w nim udział Rudnicki i Wądołkowski.

Efekt kursu był nienal natychmiastowy. Gdy Janusz Rudnicki zajął się codzienną pracą drużyny, jej zbiórkami warszawskimi, Jerzy Wądołkowski zorganizował pierwszą większą wyprawę wycieczkową. Co w parę lat później było rutyną - wtedy jeszcze wymagało olbrzymich, pionierskich przygotowań. Pojechano nad Pilicę, do Grotowic - majątku państwa Zdziarskich. Konspiracyjne obozy musiały mieć tego rodzaju oparcie w prywatnych dotrach. Otaj synowie państwa Zdziarskich należeli do drużyny, a jeden z nich: Stanisław, przezywany "Mańką", aż do swej śmierci w 1977

roku zawsze żywo interesował się losami Szesnastki, w kręgu Zawiszaków będąc jednym z najstarszych. W Grotowicach chłopcy zajmowali się pionierką, obozownictwem, terenoznawstwem, sygnalizacją - to wszystko miało być potrzebne żołnierzom niepodległościowych wojsk. Przypominam: obóz był tajny, ćwiczenia prowadzono konspiracyjnie. Na fotografii z tej wycieczki do Grotowic - a fotografie zebrane w archiwum drużyny spaliły się dopiero w Powstaniu Warszawskim - widać szesnastu chłopców utraconych w zwyczajne marynarki, szkolne mundurki, w czapkach Szkoły Realnej, przypominających kepi wojska francuskiego z 1870 roku.

Tak zaczęła się drużyna Zawiszy Czarnego. Chłopcy mają już za sobą swą pierwszą większą wycieczkę, jak gdyby mały obóz, zbiórki odbywają się regularnie, co tydzień, połączone ze specjalnymi lekcjami gimnastyki. Zdrowy duch miał być w zdrowym ciele - jeszcze wtedy ta mądrość nie utraciła swej powagi. Co dwa tygodnie zastępy ruszają za miasto, na krótkie wycieczki, raczej "wykapki". Drużyna rośnie powoli, bardzo powoli - i konspiracja nakazuje ostrożność, i lękają się, by zbyt wielka ilość skautów nie obniżała jakości ich pracy. Zresztą - wszystko jest jeszcze dość płynne, jak zwykle na początku. Często zmieniają się drużynowi - z niejasnych dla nas przyczyn. Po paru tygodniach Janusz Rudnicki oddaje kierownictwo drużyny Kazimierzowi Odyneckiemu, przysłanemu z Naczelnej Komendy Skautowej, tego zaś zmienia wkrótce Roman Umiastowski /ten sam, który już jako zawodowy oficer wyda we wrześniu 1939 roku sławny rozkaz opuszczenia Warszawy przez mężczyzn/, w cztery miesiące później drużynowym znów zostaje Jerzy Wądołkowski. I jest to chyba moment przewyciężenia kryzysu osobowego młodej drużyny, która dość szybko musiała stać się jedną z lepiej pracujących,

jeżeli w lecie 1913 roku była w stanie zorganizować miesięczny obóz letni w Kołbach na Polesiu. Pierwszy obóz skautowy w Kongresówce! Dla rodzącego się harcerstwa warszawskiego ten obóz musiał mieć duże znaczenie. Jego uczestnikami byli wprawdzie tylko Zawiszacy, miejsce wybrano daleko od Warszawy, w majątku rodziców Piotra Olewińskiego, ale komendantem obozu był Alojzy Pawełek. Podówczas jeden z najwybitniejszych instruktorów Krakowskich, jeden z twórców ruchu harcerskiego, zresztą ani przedtem ani potem z Szesnastką raczej nie związany. Wygląda na to, że późniejszy autor "Młodej drużyny" - świetnego podręcznika harców, pojawił się wśród młodych Zawiszaków jako specjalny inspektor, bądź wizytator, mający harcerzom warszawskim pokazać jak należy obozować. Jeżeli do takiej demonstracji wybrał Piątkę, czyli Szesnastkę, jest to dowód, iż drużyna nasza już była dostatecznie silna i sprawna.

Na miesięczny obóz pod komendą Pawełka pojechało dwunastu chłopaków: Jerzy i Ignacy Wądołkowscy, Piotr i Stanisław Olewińscy, Stanisław Zdziarski, Jerzy Bogucki, Tadeusz Gutowski, Henryk Dobrowolski, Stanisław Śniegocki, Stefan Kozer, Zdzisław Biedrzycki oraz Liętko, nieznanego imienia. Trzynastu młodych ludzi przez miesiąc harcowało po lasach, łąkach i mokradłach Polesia, budowali szałas i namioty, pionierskie kładki i mosty, tropili się nawzajem, gotowali posiłki na kuchni polowej, uprawiali sygnalizację i terenoznawstwo, jak również praktycznie ćwiczyli samarytankę świadcząc zdrowotną pomoc okolicznym chłopom. Dzisiaj już wiemy, że ten rodzaj zajęć i ćwiczeń pionierskich bezpośrednio nie okazał się przydatny dla żołnierzy jakiegokolwiek armii czy formacji wieku XX. Wiemy jednak i to również, że ćwiczenia harcerskie, jakiegokolwiek ty nie były, ostatecznie kształtowały nie tyle zespół umiejętności ściśle

technicznych, ile tworzyły pewną postawę moralną, kształtowały charakter. Postawa ta i ten charakter okazały się niezmiernie przydatne zarówno w niepodległościowych walkach podczas pierwszej wojny światowej, jak w ruchu oporu, bądź w jawnych wojskach podczas II wojny światowej, jak wreszcie - *the* last but not least - w codziennej pracy zawodowej zarówno w Drugiej Rzeczypospolitej jak i Polsce Ludowej.

Po takim obozie Jerzy Wądołkowski i Piotr Olewiński mogli na kursie instruktorskim urządzonym na Dynasach złożyć stosowne egzaminy i uzyskać instruktorski stopień drużynowego. Po czym Wądołkowski nadal pozostał drużynowym Szesnastki, natomiast Olewińskiego odkomenderowano na drużynowego 2 WDH. Tej Dwójki, która, tak jak i Szesnastka, miała stać się jedną z najświetniejszych przed 1939 rokiem drużyn harcerskich.

Oboz letni, nominacje instruktorskie, świadectwa sprawności drużyny, a równocześnie jak gdyby ostroga do dalszej pracy. Pięć zastępów, czterdziestu chłopców, i do tego zastęp przygotowawczy, coś w rodzaju późniejszej gromady zuchowej, do którego należeli chłopcy starsi niż dzisiaj są w zuchach, ale młodszy od ówczesnych harcerzy będących uczniami klas wyższych. Oprócz normalnych zbiórek wypełnionych ćwiczeniami harcerskimi trwał kurs gimnastyki oraz śpiewał chór drużyny. Zorganizowano również warsztaty zarobkowe. Zaczęto od toretkarni, potem uruchomiono stolarnię i introligatornię. Chłopcy potrzebowali pieniędzy, a tracił je od rodziców nie było zbyt honorowo. Pieniądże były potrzebne na urządzenie wycieczek i obozu oraz na umundurowanie. Mundury to dla drużyny sprawa niezmiernie ważna - wychowawcza i prestiżowa. Znow przywołuję świadectwo zachowanych, aż do Powstania Warszawskiego, fotografii. W Kołtach chłopcy utracili jeszcze w cywilne mundury szkolne, ale wiosną, tygodniową

wycieczkę w roku 1914 odbyli jak przedtem do Grotowic - jedni na rowerach, inni koleją w dwóch grupkach, tak rozdzieleni ze względów konspiracyjnych, mając już w plecakach i torbach swe nowe, jednolite mundury harcerskie. Przebrali się w nie w Grotowicach i sfotografowali. Kapelusze skautowe koloru khaki, z podgiętym rondem, koszule oliwkowe typu wojskowego z naramiennikami i kieszeniami, pasy czarne, spodnie spięte pod kolanami i wpuszczone w grube, wysokie skarpetki, tuciki z cholewkami. Na i krawat lub chusta. Taki był ówczesny mundur harcerski.

Drużyna była coraz silniejsza, ale obozu w lecie 1914 roku nie zorganizowano. Cała komenda - drużynowy, plutonowi, zastępowi - Jerzy Wądołtowski, Otaj bracia Ździarscy, Stanisław Olewiński, Tadeusz Gutowski, Jerzy Bogucki i Bohdan Pniowski wybrali się na kurs instruktorski w Skolem w Bieszczadach. Już czwarty rok z rzędu organizowano te kursy instruktorskie, na które zjeżdżali się młodzi mężczyźni ze wszystkich trzech zachorów i na których wykluwała się przyszła jednolitość ruchu harcerskiego.

Kurs w lecie 1914 roku nie został ukończony - przerwał go wybuch wojny. Szybki, przyspieszony powrót naszych harcerzy do Warszawy, gdzie w drugiej połowie 1914 roku życie, mimo wojny, toczyło się niemal normalnie. Rozpoczęto nowy rok szkolny i nowy rok harcerski.

Ten rok - 1914/1915 - rychło stał się dla drużyny kryzysowym. wypadki historyczne - a dokładniej, orientacje polityczne dzielące społeczeństwo polskie - rozbitają zwartą dotąd drużynę. Proces najbardziej naturalny. I nasza drużyna, i całe harcerstwo warszawskie, były wtedy i będą zawsze później, aż po dzień dzisiejszy, autentycznym odbiciem tego, co dzieje się w całym polskim społeczeństwie. Gdyby tak nie było - byłyby to drużyna mart-

wa.

• że była to drużyna żywa, więc gdy nadeszły do Warszawy wieści o Legionach Piłsudskiego i gdy takiej koncepcji politycznej sprzeciwili się zwolennicy Narodowej Demokracji - w drużynie nastąpił rozłam. Piętnastu chłopaków pod wodzą Stanisława Ździarskiego, Mieczysława Zydlera /syna dyrektora szkoły im. Staszica, późniejszego literata/ oraz Aleksandra Mianowskiego utworzyli samodzielny pluton opowiadający się za Narodową Demokracją, co praktycznie wyrażało się ochotniczą pracą w sanitarnych placówkach wojsk carskich, widząc perspektywy niepodległości w powiązaniu z Rosją. Większość jednak drużyny pod wodzą Wądołkowskiego, Gutowskiego, Eniewskiego opowiedziała się za Legionami, a Henryk Dotrowolski razem z gromadką innych harcerzy warszawskich, przekradł się przez front do Krakowa.

Rozłam nie był jednak długotrwały. Orientacja legionowa okazała się w warszawskim harcerstwie silniejsza. Już w końcu maja 1915 roku pluton rozłamowców - dowodzony przez Stanisława Ździarskiego, a powodowany ogólnymi wydarzeniami militarnymi i politycznymi - wraca do drużyny, znów stającą się całością.

Mimo wojny drużyna pracuje bardzo sprawnie - potrafi urządzić swój kolejny obóz letni w Wilczogętach, nie opodal Wągrowa nad Bugiem. Na obóz jedzie 32 chłopców pod komendą Wądołkowskiego. Oficjalnie jest to "Kolonія dla młodzieży szkolnej numer siedemnaście pod opieką Centralnego Komitetu Obywatelskiego". W stanie wojny władze carskie już nie tolerują żadnych tajnych zgromadzeń. Kolonia czy obóz? Jest to właściwie - jakżety mogło być inaczej! - zakamuflowany harcerski kurs wojskowy z terenoznawstwa, okopywania się, patrolowania, szermierki na bagnety i szable. Oczywiście i piłka nożna, i tenis, i kąpiel w Bugu, i kucharczowanie. I gaszenie płonącego lasu.

Gdy w lipcu wracają do Warszawy - front wojenny jest już pod miastem. 5 sierpnia 1915 roku Niemcy zajmują Warszawę. Parę dni wcześniej Jerzy Wądołkowski pisze króciutki, jakże charakterystyczny list adresowany do "Boćka" Bohdana Pniewskiego, tego który w latach późniejszych miał zostać wybitnym architektem, twórcą wielu świetnych warszawskich budowli.

"Bociek! Polegam na Tobie i na szarżach, że w niczym nie zmienicie dotychczasowego kierunku pracy w drużynie. Wpajajcie w chłopców, że obowiązkiem ich jest wszystko poświęcić dla Ojczyzny. Strzeżcie się złych duchów, wciąż na Was czatują. Pamiętajcie!! Polegam na Was!!! Gdy nas zatraknie, Wy nas zastąpić musicie. 21.VII. J.W."

Trudno się oprzeć wzruszeniu, gdy się po tylu latach odczytuje to króciutkie posłanie jednego młodego chłopaka do drugiego. "Wpajajcie w chłopców, że obowiązkiem ich jest wszystko poświęcić dla Ojczyzny" - tych kilka słów będzie się przewijać w dziejach Szesnastki jak biało-czerwona nić. A złe duchy? Jerzy Wądołkowski myślał zapewne bardzo konkretnie - o tych przeciwnikach politycznych, którzy pragnęli w imię swoich racji taktycznych, odwozić młodych ludzi od udziału w zbrojnych, polskich oddziałach, w tym wypadku legionowych. Wolno nam jednak - też po latach - uogólnić słowa pierwszego drużynowego Szesnastki i pod tym kryptonimem złych duchów rozumieć wszystkie siły, nawet i wewnątrz nas tkwiące, które powodują, że pracę harcerską realizuje się gorzej niż powinno; że wszystkie złe siły lenistwa, lekoseważenia, nieotowiańkowości, zadufania, sotkostwa, które zawsze, gdy się potęgowały, obniżają poziom pracy zawiszcackiej, osłabiały tętno życia drużyny naszej.

Ale może zbyt daleko zapuściłem się w następne lata Szesnastki - wróćmy do lipca 1915 roku. Jerzy Wądołkowski przekazuje

drużynę Bohdanowi Pniewskiemu, sam wstępuje do harcerskiego Batalionu Warszawskiego. Za nim do batalionu zapisują się wszyscy starsi chłopcy z drużyny, a cały ekwipunek polowy i obozowy zostaje przekazany temu oddziałowi. Chłopcy są jednak zbyt młodzi do służby wojskowej - ostatecznie w Legionach pozostają tylko Wądołkowski, Gutowski, Miłotędzki, Brauliński, Polkowski. Reszta wraca do szkoły i do drużyny, którą prowadzi Pniewski, i która nadal uwija się sprawnie. Tak sprawnie, że właśnie jesienią 1915 roku ukazuje się pierwszy numer pismka drużyny "Sulimczyk" - Sulima bert Zawiszy Czarnego. Na hektografie odbijają parę numerów - dochód groszowy i symboliczny przekazany zostaje na rzecz Legionów. To też manifestacja orientacji politycznej.

Z tą chwilą, gdy Rosjanie opuszczają Warszawę, a równocześnie Jerzy Wądołkowski przekazuje po czterech latach, w których faktycznie, choć nie zawsze formalnie, kierował pracą drużyny, komendę Pniewskiemu - kończy się pierwszy, początkowy etap istnienia Szesnastki. Kończy się działalność konspiracyjna, zaczyna działalność z początku niezupełnie ulegalizowana, ale w każdym razie jawna. W ten nowy okres drużyna nasza wkracza jako zespół uformowany, doświadczony, mający za sobą poważne sukcesy. W warszawskiej konstelacji harcerskiej Szesnastka już się liczy.

W Warszawie rozpoczęły się nowe rządy. Po okupacji carskiej - cesarska, po rosyjskiej - pruska. Ale należy coś wyjaśnić i to tym spośród Was, którzy tyle wiedzą o okupacji hitlerowskiej. Te dwie okupacje niemieckie, ta z lat 1915-1918 i ta ostatnia z 1939-1944, to były zupełnie inne okupacje. Język polski jest językiem bardzo bogatym, ale i my również nie mamy dwóch odręb-

nych słów na określenie dwóch rozmaitych sytuacji i praktyk okupacyjnych. W rzeczywistości były to inne formy sprawowania władzy. Wprawdzie nowy, niemiecki okupant również tępił policyjnie działania niepodległościowe, tam gdzie demonstrowały się one ostro i nielegalnie, ale w znacznie szerszym stopniu, w porównaniu z reżimem carskim, jak również ze swoim własnym praktykowanym w Wielkopolsce, na Pomorzu bądź Śląsku, tolerował niektóre przejawy społeczne, kulturalne, oświatowe, wychowawcze narodowego życia polskiego. W pewnym stopniu - choć nie takim samym - sytuacja naszego społeczeństwa zaczęła być podobna do tej, która od lat istniała we Lwowie czy Krakowie. Ruch harcerski, dotąd tajny, wykonał się z podziemia i zaczął działać tak jawnie, jak działał dotąd w Galicji. A jako ruch jawny - wyraźnie polski, akcentujący swe dążenia niepodległościowe - zaczął przyciągać młodzież. Drużyny harcerskie - ta nazwa coraz bardziej zastępowała poprzednią, skautową - rozrastały się szybko.

Rozrastała się również i drużyna Zawiszy Czarnego. Jesień 1915 roku przynosi drużynie nową szansę. Stowarzyszenie Techników zbudowało dla swej szkoły specjalny budynek na ulicy Polnej /obecnie Noakowskiego/, naprzeciw głównego wejścia do Politechniki. W tym budynku drużyna nasza żyć będzie przez długie, bardzo dla siebie ważne, i złe, i znakomite lata. Historia Szesnastki łączy się ściśle z szarym gmachem przy placu Politechniki, do dziś istniejącym. Drużyna rośnie liczebnie, dołączają do niej przeszłościowo plutony z paru innych warszawskich drużyn, akurat przechodzących swe kolejne rozstrzygnięcia polityczne.

Bowiem wraz z nową jawnością i coraz wyższą liczebnością harcerstwa warszawskiego wynikają nowe konflikty. Organizacja młodzieżowa jest w naturalny sposób odzwierciedleniem sytuacji politycznej panującej w całym ówczesnym społeczeństwie podzielonym na

zwolenników i przeciwników Legionów Piłsudskiego. W harcerstwie te różnice orientacyjne zostają ponadto skomplikowane swoistymi, wewnętrznymi układami coraz silniejszej organizacji. Harcerze warszawscy w przeważającym, lecz przecieź nie całkowitym, stopniu opowiadają się za Legionami. W Piotrkowie, tam gdzie urzęduje Komenda Legionów i Naczelny Komitet Narodowy, tworzy się Polska Organizacja Skautowa, ideowo konkurencyjna zarówno dla Komendy lwowskiej, jak i dla Naczelnej Komendy Skautowej warszawskiej. Większa część drużyn i plutonów warszawskich opowiada się za piotrkowską POS, część jednak mniejsza pozostaje wierna NKS, tym razem jednak jest to podział nie tylko polityczny, ale również czysto harcerski; grają antycje lokalne, POS jest piotrkowskie, NKS - warszawska. Szesnastka należy do najtardziej żarliwie opowiadających się za POS - choć nawet, na początku 1916 roku, przez krótki czas, groził drużynie rozłam. Zaangażowany! Polityczne namiętności grały w warszawskim harcerstwie. To właśnie chłopcy z naszej drużyny na wycieczce w Pyrach pobili się z harcerzami innej drużyny, uznającej NKS.

Drużyna dotrze wykorzystając istniejącą sytuację. Było to zasługą jej ówczesnego komendanta - Bohdana Pniewskiego, jak również i tego silnego zespołu podstawowego, który w latach poprzednich stworzył Jerzy Wądołkowski.

Kronikarz drużyny Aleksander Mianowski... - pozwólcie, że na chwilę przerwę tok historyczny gawędy, aby w tym właśnie miejscu zwrócić Waszą uwagę na wielką rolę, jaką w Szesnastce przywiązywano do kroniki drużyny, a nawet do - nieco bardziej młodzieńczych, nawet krótkochwilnie prowadzonych - kronik zastępów. Chyba pierwszym kronikarzem drużyny, który w tamtych czasach wojny światowej, starannie zapisywał to wszystko, co się w Szesnastce działo był Aleksander Mianowski - potem drużynowy. Póź-

niej już jako dorosły i doświadczony inżynier w Polsce Ludowej, był jednym z twórców i dyrektorów budowy zapory wodnej na Wiśle pod Włocławkiem.

Kronika drużynowa prowadzona przez Mianowskiego, aż do Powstania Warszawskiego przechowywana w archiwum drużyny, stała się podstawą do znajomości dziejów Szesnastki. Znajomość ta była niezbędnym elementem wychowania zawiszackiego, wychowania chłopców w tradycji drużyny właściwie utożsamiającej się niejako z tradycjami walk niepodległościowych. Kroniki drużyny służyły świadomemu tworzeniu tradycji drużyny. Temu też celowi służyły kroniki zastępów, starannie zawsze prowadzone i po rozwiązaniu zastępu przekazywane do wielkiej szafy stojącej, w latach już trzydziestych, po lewej stronie drzwi prowadzących do naszej izby, o której jeszcze tyle Wam powiem. O prowadzenie kronik dbali bardzo starannie ci drużynowi, którzy chcieli mieć Szesnastkę żywą i dzielną: gdy przychodziły na drużynę lata gorsze i szłabsze - a takie też przychodziły! - zaniedbywano spisywania kronik.

Przepraszam za tę, chyba jednak istotną, dygresję. Wróćmy znów do tamtych lat. Otóż kronikarz drużyny Aleksander Mianowski zanotował, że właśnie wtedy magazyn obozowy wzbogacił się o czterdzieści płacht namiotowych, i to wkrótce potem jak poprzednie płachty namiotowe przekazano w darze legionowym oddziałom wojskowym. Mimo kłopotów życia wojennego zorganizowany został obóz letni - dwumiesięczny, najdłuższy z dotychczasowych - w Podsołwiu koło Karczewa. Otok oddanej drużynie starej stodoły roztudowano cały krąg szakasów, namiotów i innych urządzeń obozowych. Dla trzydziestu - coraz więcej ich wyjeżdżało - chłopców był to obóz świetny, pełen gier, zataw, zawodów sportowych, leśnych ćwiczeń. Nic dziwnego, że Pniowski fortunny drużynowy i ko-

mentant tego obozu został jesienią 1916 roku powołany do Kwatery Głównej, właśnie powstającego Związku Harcerstwa Polskiego.

Bowiem w połowie 1916 roku sytuacja w skautingu byłego Królestwa Kongresowego znowu uległa zmianie. Doskwierało rozbicie, dojrzejwią tendencje połączeniowe, umacnia się - dzięki działalności tajnej POW - pozycja piotrkowskiej POS, a więc kierownicy obu skautowych komend zwracają się osobiście do Józefa Piłsudskiego z prośbą o oddelegowanie z legionowego wojska druha Piotra Olewińskiego - pamiętajmy: jednego z trzech twórców Szesnastki - aby mocą swego organizacyjnego autorytetu zjednoczył warszawskie harcerstwo. Olewiński urlopowany z wojska, wrócił do Warszawy i oto 2 maja 1916 roku następuje zjednoczenie POS i NKS w jeden Związek Harcerstwa Polskiego. Po raz pierwszy pojawia się ta nazwa. "Skaut" ustępuje na rzecz "harcerza", jako formalne potwierdzenie faktu, iż model polski tak dalece oddalił się od swego brytyjskiego pierwowzoru, że stał się koncepcją ideową i wychowawczą zupełnie samodzielną. W połączeniowych pokazach i uroczystościach tierze udział, jako część drużyny reprezentacyjnej, dwudziestu jednolicie umundurowanych Zawiszków.

I wtedy właśnie, po utworzeniu ZHP, drużyna nasza otrzymała swój numer szesnasty. Stała się Szesnastą Warszawską Drużyną Harcerzy. Ten numer ważny jest po dziś dzień. Szesnastka! Przeprowadzona historyczna ewidencja polskich drużyn skautowych według ich starszeństwa wykazała, iż Szesnastka powstała jako piąta z kolei drużyna założona w latach 1910-1911 na ziemiach polskich, a równocześnie jako druga, po 27 WDH, założona w Warszawie. Nie jestem pewien, czy akurat ta historyczna ewidencja była przeprowadzana z nienaganną ścisłością, czy jej dokumentalne ustalenia okazałyby się absolutnie wiarygodne? Czy nie nale-

ży raczej sądzić, iż Szesnastka jest piątą drużyną założoną na ziemiach byłej Kongresówki? Nikt jednak tych kładeń nie sprawdzał ani nie weryfikował. Formalnie rzecz biorąc Szesnastka ma prawo uważać się za piątą w starszeństwie drużynę w Rzeczpospolitej, drugą w Warszawie; faktycznie - jako że bardzo trudno ustalić jest stany i dokładne daty, początek polskiego skautingu odbywał się żywiołowo, wytuchając równocześnie w wielu odległych od siebie miastach. Szesnastka na pewno jest jedną z kilku najstarszych drużyn w harcerstwie. Jest to miejsce zaszczytne, walor w tradycji drużyny bardzo istotny.

W niewiele miesięcy później, już po obozie w Podsowiu, na samym początku listopada 1916 roku, nastąpiła dalsza integracja harcerstwa. Do ZHP przystępują wszystkie męskie, żeńskie i junackie /była to odmiana skautingu funkcjonująca w Lubelskiem/ drużyny istniejące w dawnej Kongresówce. Przewodniczącym tego ZHP, już nie wyłącznie warszawskiego, zostaje ks. Jan Mauerberger, późniejszy Honorowy Zawiszak, który w nadchodzącym ćwierćwieczu odegra w harcerstwie rolę pierwszorzędną.

Więc w harcerstwie dzieje się dobrze, natomiast w drużynie zaczyna się dziać gorzej. Wraz z odejściem Bohdana Pniewskiego na wyższe stanowisko rozpoczyna się długotrwały, wieloletni kontrendans drużynowych. Starsi chłopcy, już przecież mężczyźni, odchodzą do wojska. Niektórzy z nich wracają na kilka miesięcy, aby kontynuować naukę, wracają więc i do drużyny, po czym znowu odchodzą do armii.

Dwa słowa o jakie to armie, i o jakie to wojsko idzie. Nie były to przecież armie polskie, choć były to polskie oddziały wojskowe. Najpierw, w pierwszych miesiącach wojny, młodzi mężczyźni, harcerze przedzierali się do Legionów Polskich tworzonych przy armii austro-węgierskiej, potem, gdy Legiony zostały postawione polskiego dowództwa i podporządkowane, jako Legiony

Polskie, bezpośrednio-dowództwem armii austriackich - młodzi ludzie z Warszawy byli mobilizowani do tworzonej przez Niemców Polskiej Siły Zbrojnej /Polnische Wehrmacht/, którą początkowo chciał opanować swoimi zwolennikami i podkomendnymi Józef Piłsudski. To mu się nie udało. Polskie Siły Zbrojne były podporządkowane gubernatorowi niemieckiemu gen. Beselerowi i w latach 1916-1918 mobilizowano do nich Polaków z potoru przymusowego - a ci powołani korzystali z rozmaitych pretekstów, by się z tej służby wycofać. Stąd te wezwania mobilizacyjne, które miały tok pracy harcerskiej, stąd powroty do cywila, i znowu powtórne wezwania. W lecie i jesienią 1918 roku, wyjaśnił to od razu, by już do tego nie wracać więcej, polska Rada Regencyjna próbowała przejąć Polskie Siły Zbrojne pod swoją dyspozycję i zaczęła też od powszechnego do nich potoru.

A więc, mimo iż armia polska nie istnieje - Polacy byli powoływani do polskich oddziałów wojskowych, których żołnierze raz mają nadzieję, iż służą odrodzeniu Ojczyzny, drugi raz, tracąc tę nadzieję, prótują się z nich wycofać. Taki polityczny i patriotyczny kontredans trwał łądzie aż do listopada 1918 roku. Sytuacja jest więc skomplikowana - i to wszystko nie ułatwia drużynie jej spraw organizacyjnych. Drużyna nie jest w stanie wyłonić ze swego grona jakiegoś jednego drużynowego. Po Eniewskim Szestanską kolejno prowadzą bracia Gutowscy, a to Stefan i Tadeusz, potem znów wraca Eniewski, szytko wymieniony przez Stefana Polkowskiego. Jest już rok 1918 - drużynę obejmuje Tadeusz Gutowski, by dosłownie po tygodniu przekazać ją Aleksandrowi Miłnowskiemu /który tak starannie prowadzi kronikę drużyny/, a gdy i ten jesienią 1918 roku odchodzi do ochotniczej służby w odrodzonym Hojsku Polskim, drużynowi zmieniają się dosłownie co kilkanaście dni. Andrzeja Włodarkiewicza zastępuje Tadeusz

Weissner /potem słany kapitan żeglugi wielkiej, rodzony brat Janusza, niezmiernie popularnego, szeroko czytanego pisarza, wtedy również będącego członkiem Szesnastki, o której wspomina w swych literackich pamiętnikach/.

Chyba bardziej silną, swą gromadą musiała być nasza Szesnastka, jeżeli te wszystkie zmiany drużynowych przez długi czas nie przerwały pracy harcerskiej, choć nader istotnie jednak ją osłabiały. W 1917 roku Szesnastka potrafiła zorganizować obóz letni w Joankach - oswarty z kolei. W trakcie obozu zainicjował się jego komendant Tadeusz Gutowski zdał tę funkcję Stanisławowi Gołębiowskiemu. W rok później - w ostatnich miesiącach wojny - Tadeusz Gutowski zdołał zorganizować następny obóz letni Szesnastki w Grotowicach, na tym samym folwarku państwa Żdziarskich dokąd przed wojną tyle razy wędrowali chłopcy na swe dłuższe wycieczki. Ale znów, jak rok woseśniej, przychodzi wezwanie wojskowe i po pierwszym tygodniu Gutowski musi odjechać, przekazując komendę Aleksandrowi Mianowskiemu. Obóz był dobry i udał się. W jakimś czasie potem przychodzi do drużyny smutna wieść. W bitwie pod Dunikowiczami, nie opodal Wilna, ginie Tadeusz Gutowski podporucznik 6 pułku piechoty Legionów. Po żołnierskiej śmierci został mianowany Honorowym Harcerzem Rzeczypospolitej.

Na jesieni ciągle nowi Zawieszacy odchodzą do wojska, a drużyny zmieniają się nieustannie. Aż wreszcie 10 listopada 1918 roku - w wielki dzień historii - Zygmunt Tyseka, dawny zastępowy, który po trzech latach pobytu w Moskwie wrócił do Warszawy, obejmuje drużynę. I tego dnia, i nasajutrz starci Zawieszacy biorą czynny udział w rostrajaniu Niemców. Polska stała się państwem niepodległym.

Lecz w samej Szesnastce nadal trwał kryzys, prawdziwy kryzys, szły dla drużyny lata najcięższe - tak to, może nieco paradoksalnie, tyła w losach pojedynczych ludzi i całych instytucji czy grup społecznych, że to co się dzieje w skali historii nie zawsze pokrywa się z tym, co się dzieje w dniach codziennych i u zwykłych ludzi. Ale przecież i dla kraju również te pierwsze lata nowej niepodległości nie były łatwe bynajmniej; z trudem, po omacku niemal, w krwawych zmaganiach powstawało to, co się patetycznie nazywa zębami państwa własnego. Oczywiście: inaczej trudne to były lata dla nowego państwa, inaczej dla drużyny, która z tytułu konspiracyjnego dawniej, a okupacyjnego dopiero co, wkraczała w zupełnie nowe okoliczności działania, wkraczała - w ciągle trwającym stanie wojny, ba, wojny dla społeczeństwa polskiego przecież jeszcze się nasilającej. Si parva comparere licet magna - i Ojczyźnie było trudno i ciemno, i Szesnastce również było trudno i ciemno.

W drużynie trawowało starszej młodzieży, która mogłaby kierować zajęciami swych młodszych kolegów. Ciągłe nowi zastępowi i przytoczni szli do wojska polskiego, które walczyło niemal na wszystkich frontach. Szli - i ginęli. Wielu poległo śmiercią żołnierską. 13 stycznia 1919 roku Jerzy Bogucki ginie w walkach o Lwów. Po śmierci otrzymał *Virtuti Militari* i został mianowany Honorowym Harcerzem Rzeczypospolitej i honorowym drużynowym 16 WDH. W kilka dni później ginie Leon Suchecki. Bez wieści przepada, jako kurier wojskowy, Bożydar Żłotnicki. W obronie Płocka pada Bolesław Skinder. Giną Roman Mrozowicz, Stanisław Kuksz, Mieczysław Popielewski.

Ogółem we wszystkich walkach wojsk polskich, od 1914 do 1920 roku, ginie dziewięciu Zawiszaków. Paru z nich otrzymało po

śmierci stopień Honorowego Harcerza RP. Ich nazwiska zostały wyrze na tablicy pamiątkowej w holu budynku gimnazjum im Stanisława Staszica przy ulicy Polnej. Znać je musiał na pamięć każdy młody chłopak, który w naszej drużynie przed wojną, przed II wojną światową, zdawał na stopień młodzika, wówczas najniższy stopień harcerski. Pamięć o nich była w Szesnastce żywa i czczona, choć nikt z nas już ich nie znał. Podczas II wojny światowej i drugiej, tym razem hitlerowskiej, okupacji lista żałobna Zawiszków poległych i wymordowanych została wielokrotnie pomnożona.

W samej drużynie - ciężkie łapanie tehu. Zygmunt Tyszka z trudem daje sobie radę. W funkcjach drużynowego przemieniają się z Janem Włodarkiewiczem. W lecie 1919 roku drużyna już nie może się zdobyć na urządzenie obozu, tylko paru druhów pracuje przy pomiarach regulacyjnych niewielkiej rzeki - rodzaj pracy społecznej. Jakżeż im musiało być ciężko i nieskładnie, jeżeli w lutym 1920 roku rada szarż decyduje się na krok niezwykły: Szesnastka zostaje rozwiązana - na dwa tygodnie - aby przeprowadzając nowe zapisy pozbyć się tych wszystkich, którzy lekce sobie wazą pracę drużyny, są w niej tylko członkami nominalnymi. Przez dwa tygodnie nie ma Szesnastki! Po tej pustce nowe zapisy - cztery zastępy i zastęp instruktorski, w skład którego wchodzi również zastępowi. Wiosną, po reorganizacji, 12 chłopaków wyjeżdża na parudniową wycieczkę mającą sens polityczny i narodowy - do Gdańska. W początkach lipca do wojska zaciąga się Zygmunt Tyszka; aż do jego powrotu w listopadzie drużynę prowadzi Wacław Bisier. Po ciężkim lecie - mowy nie ma oczywiście o żadnym obozie - gdy w wojnie polsko-radzieckiej zostaje zawarte zawieszenie broni, a szkoły rozpoczynają normalną pracę, powoli ruszają zajęcia w drużynie. Rozpoczynają się lata odtudowy Szesnastki -

długo będą to próby nieudane . W roku 1936 autor książki o 25-letniej historii drużyny powie bardzo prosto: "Są to najcięższe lata w historii Szesnastki". Te od 1919 do 1924 roku.

Są to zresztą trudne, kryzysowe lata i dla całego harcerstwa. Głównie zresztą męskiego. Historyk tak scharakteryzował ten okres:

"... Marazm przenikał drużyny, hufce, chorągwie. Wojna i okres powojenny, dla niektórych trudne urządzenie się w nowym życiu, wykruszały poważną liczbę starszych harcerzy, a nowe roczniki bynajmniej nie garnęły się do Związku tłumnie. Młodzi ludzie podróżowali po kraju, szukając miejsca pracy i zamieszkania, porzucając swe macierzyste drużyny, nie zawsze wchodząc do drużyn nowych. Harcerstwo było materialnie biedne i utogie w inwencję drużynowych, którzy zmieniali się jak w kalejdoskopie. Rozpadały się drużyny, rozlatywały gromady wilczą. Programy zajęć w drużynach były jałowe. /.../ Wojna nie zagrażała, a o Ojczyznę nie trzeba było już walczyć. /.../ Harcerstwo straciło równowagę. Dawniej sensem istnienia tej organizacji była konspiracja niepodległościowa, potem udział w akcjach wojennych. We własnym państwie zabrakło harcerstwu nie tyle ideowej, co społecznej - w znaczeniu pełnienia jakiejś służby - osi, wokół której można było skupiać pracę organizacji. W drużynach nie wiedziano na dobrą sprawę, co robić...".

Z niewielkimi różnicami opis ten dość dokładnie charakteryzuje sytuację w Szesnastce. Nie wiedziano dobrze co robić i nie miał kto robić. Nie ma zastępowych, nie ma kandydatów na drużynowego. Jeden - Wacław Bisier - ciężko choruje na gruźlicę. to wyjeżdża do Zakopanego, to wraca, by znów, pełen najlepszych chęci, prowadzić drużynę, na koniec musi zrezygnować. Ostatecznie - umiera w 1924 roku. Zygmunt Tyszka, który raz jest przy-

lucznym raz drużynowym. też odejść musi z drużyny. Tadeusz Klarnier zda je akurat maturę, składa egzaminy na politechnikę - toteż ciągle odchodzi i wraca do drużyny. Gdy po latach odczytujemy kalendarzyk tego kontredansu, tych nieustannych zmian na stanowisku drużynowego - jedno wypada skonstatować: ta gromadka, parosobowa gromadka starszych nieco chłopców, bardzo musiała być przywiązana do swej drużyny, do i d e i swej drużyny, swej Szesnastki, jeżeli tak rozpaczliwie, tak uparcie stale do niej wraca; stale odrzucana i odsuwana jakimś swoimi, dla nich przecież bardzo ważnymi, ci młodzi rozpoczynają swe zawodowe życie, sprawami.

Kilka miesięcy - i zmiana drużynowego, kilka tygodni - i nowa zmiana. A potem, po jakimś czasie, powroty. Oczywiście jedna czy druga niewielodniowa wycieczka pod Warszawę, jedna czy druga bardziej efektowna gra na ulicach miasta niczego nie są w stanie zmienić, tak długo nie wykształci się jakaś grupa czołowa drużyny, jak się nie znajdzie instruktor, który tędzie miał wolę i czas, by tę drużynę dźwignąć z jej dna. Obozy nie są urządzone - a przecież to właśnie obozy letnie dawały drużynom te szanse całorocznej, gorszej lub lepszej, egzystencji.

W połowie roku 1921 kryzys w całym harcerstwie warszawskim jest już tak powszechny, że Mazowiecka Komenda Chorągwi szuka wyjścia: starsze drużyny łączą się w hufce, właściwie spełniając mające rolę drużyn, albo - jeżeli przyrównywać do otecnego ZHP - rolę szczepli. Szesnastka zostaje przydzielona do hufca, na czele którego stoi Witold Wierzkowski - przodownik, /przodownik - najniższy podówczas stopień instruktorski, potem zlikwidowany/.

Pragnę zwrócić uwagę na ten moment i na tego młodego przodownika, choć akurat jego związki z Szesnastką okazały się raczej

krótkotrwałe. Zapamiętajcie sobie jego nazwisko - głównie nazwisko. Otóż Witold Wierzbowski, jako hufcowy, dostrzegł tę szalutką, rachityczną, chorą Szesnastkę. Coś musiało w tych chłopcach zafrapować przodownika. Może ich przywiązanie do drużyny, może ich śmieszna chwilami duma i zadziorność, która sprawiła, że chłopcy ci są okurzeni, gdy im "szarża K.Komendy" zwróci uwagę; napiszą w zażaleniu: "druh Botoli uważa, iż ma prawo przemawiać podniesionym głosem wobec szarży 16-ej drużyny". Może to, może coś innego. Dość, że Wierzbowski, przecież ktoś spoza drużyny, decyduje się, oddawszy hufiec, objąć tę właśnie drużynę, jako jej komendant. Krótko trwa ta współpraca, ale kilka miesięcy drużynowani Witolda Wierzbowskiego natychmiast zaznacza się poważnym ożywieniem całej Szesnastki. Ułożony zostaje pierwszy regulamin jej służby wewnętrznej - śmieszny w swym rygoryzmie i rozrzewniający naiwnością. Tak już bywa, że młodsi, a nierzadko i starsi, wierzą, iż lekarstwem na złą pracę jakichś zespołów czy organizacji społecznych bywa nie dotór ludzi odpowiednich i energicznych, ale ogłoszenie regulaminu, statutu czy konstytucji. Jest to pospolite złudzenie. Tak długo jak Szesnastka była drużyną dobrą - nie trzeba jej było żadnych "regulaminów" - z chwilą kryzysu drużyna ułożyła swój pierwszy regulamin, który jej nie stawił oraz wysłała do Komendy Chorągwi, podówczas jeszcze Mazowieckiej, króciutki, dwuzdaniowy, a więc szalenie realistyczny program pracy. W programie tym samokrytycznie napisano o "upadku poziomym pracy w drużynie", w związku z tym podjęte zostały działania tylko w zakresie młodzika - dla młodszych, wywiadowcy - dla starszych, a więc dwóch najniższych stopni organizacji.

W roku 1922, gdy Witold Wierzbowski oddaje drużynę swym krótkotrwałym następcom, druhom Henrykowi Seydemanowi i Władys-

ławowi Rotsteinowi, znów rozpoczyna się sztafeta drużynowych. Po tych dwóch przychodzi Jan Mieszkowski, po nim wraca na Krótko Wacław Bisiér. Znów drużyna kuleje na obie nogi. Bisiér w swym nowym rozkazie pisze rozpaczliwie: "Mam nadzieję, że nie pozwolicie na to, aby jedna z pierwszych drużyn zawiązanych w Warszawie, została usunięta z ZHP albo zaliczona do okręgu drużyn przygotowawczych".

Wezwanie, jak zazwyczaj takie wezwania, pomaga niewiele. Znów trzeta, pod koniec 1922 roku usunąć z drużyny całą gromadę starszych chłopców, którym wyraźnie znudziła się ta, nazbyt dla nich widać dziecinną, zabawa. Jest źle i krucho. więc trzeta odwoływać się do ofiarności chłopców - czyli po prostu rozpiśnąć składkę, by móc urządzić parodniową wycieczkę drużyny. W zasadzie postępowanie jest prawidłowe. Chłopcy sami fundują sobie swą przyjemność, to znaczy wycieczkę. Ale fakt ten dowodzi, że kasa drużyny jest pusta, że chłopcy nie potrafią w inny sposób - jak dawniej, podczas wojny - zarobić na swą drużynę. Jest źle i krucho - więc się ulepsza regulamin służby wewnętrznej od niedawna otowiających w Szesnastce.

Jest źle - ale jakoś jest. Chłopców jest nadal czterdziestu i drużyna ani nie zostaje wyrzucona z ZHP, na to trzeta by pracować się niewyraźnie źle, ani zdegradowana na przygotowawczą. ZHP był tolerancyjny wobec klubskich drużyn, sam zresztą ciągle trwał w kryzysie.

Tak rozpoczyna się 1924 rok, w którym - w rok później już było to jasne - wszystko się obróciło na lepsze. Choć początkowo niewiele na to wskazywało - drużynowi ciągle się zmieniali. Po Wacławie Bisiér wrócił Tadeusz Klarner, lecz wkrótce ustąpił, czas absorbowała mu nauka na Politechnice. Wreszcie drużynowym zostaje, po raz pierwszy, 16-letni zaledwie Włodzimierz Boerner,

który potem odegra tak ważną w drużynie rolę.

I oto jak gdyby w Szesnastce coś się ruszyło! Tadeusz Klarner /który w roku 1945 tyle energii jako dyrektor włożył w uruchomienie warszawskiej elektrowni/ dołożył ogromnych starań, aby odtworzyć stare archiwum drużyny zaginione w czasie wojny. Ztierał dokumenty i fotografie, spisywał wspomnienia dawnych komendantów i szeregowych Szesnastki; była to praca mozolna, choć obejmowała okres zaledwie trzynastu lat. Udało mu się zgromadzić te dokumenty i przedstawić je jury konkursu, urządzonego w przededniu Narodowego Zlotu Harcerskiego na Siekierkach. W rezultacie Szesnastka znów została uznana za jedną z pięciu najstarszych drużyn Rzeczypospolitej.

Być może, iż świadomość tego starszeństwa miała jakies znaczenie dla antycji chłopców. Być może również, iż to właśnie zadecydowało o wydarzeniu dla drużyny nader istotnym - o powstaniu Koła Przyjaciół Harcerzy przy 16 WDH. Zatiegał o jego założenie Klarner, który zorientował się /albo któremu to podpowiedział jego stryj, Czesław Klarner, zresztą ojciec trzech innych wybitnych Zawiszaków: Jerzego, Janusza i Zbigniewa, wybitny ekonomista i minister przemysłu, handlu oraz skartu tamtych lat/, że tego rodzaju finansowe i moralne poparcie drużyny ze strony rodziców może mieć niezmiernie dodatni wpływ na chłopców. Tak się zresztą stało. Klarner kalkulował trafnie. Pierwszy prezes Koła Przyjaciół, inżynier Jan Girtler, okazał się tak świetnym organizatorem i tak gorącym przyjacielem drużyny, że Koło Przyjaciół wkrótce stało się nie tylko ważnym inspiratorem nadchodzącej poprawy, ale przez długie lata właśnie pod przewodnictwem inż. Girtlera, /który w Szesnastce wytrwał dłużej niż jego syn, i został Honorowym Zawiszakiem/ zajmowało niezmiernie istotne miejsce w życiu i sukcesach drużyny. To nasze Koło Przyjaciół

stało się potwierdzeniem aż banalnej zasady, że dzieciom zawsze muszą towarzyszyć rodzice, i że taka - tyle umiejętna - troska każdej harcerskiej drużynie wychodzi na dobre. Ale - to trzeba powiedzieć - może i KPH na niewiele by się zdało, gdyby sama drużyna nie stanęła na nogi.

Na to trzeba było jeszcze poczekać parę miesięcy. Wprawdzie Szeanastka poczuła się już na siłach, aby na początku 1924 roku, wziąć udział w ogólnochorągwanym konkursie na największą liczbę wycieczek i na najlepszą wycieczkę oraz w konkursie gier ruchowych, a zamierzała również wziąć udział w Narodowym Zlocie na Siekierkach pod Warszawą i urządzić wreszcie letni obóz wędrowny - ale zamierzenia te się nie udały. Drużynowy ustępuje, na Złot, pozbawiona kierownictwa i rozdarta wewnętrznym konfliktem wśród swych szarż, drużyna również nie jedzie, obóz do skutku nie dochodzi. Kryzys trwa. Kryzys tak poważny, że w Komendzie Chorągwi rodzą się projekty rozwiązania drużyny. Aby jednak móc to uczynić - trzeba było poddać drużynę gruntownej kontroli. Wizytatorem Szeanastki z ramienia Komendy Chorągwi zostaje - 4 czerwca 1924 roku - przodownik ZHP dh Zygmunt Wierzbowski, student politechniki, absolwent szkoły morskiej w Tczewie, który do harcerstwa wstąpił w 1915 r. w Będzinie. A przy tym - i tutaj przypomnijcie sobie nazwisko już raz wymienione - brat rodzony Witolda. Jeżeli znamy wszystko co nastąpiło później, jeżeli wiemy jak pozytywną, serdeczną, najserdeczniejszą opieką otoczył nowy wizytator tę rozpadającą się drużynę - wolno nam będzie powziąć podejrzenie, iż Szeanastkę jak gdyby poleciał jego serdeczności Witold Wierzbowski właśnie. Sam Zygmunt Wierzbowski zapisze, iż zwrócił uwagę na drużynę w trakcie wystawy harcerskiej urządzonej w gmachu Podchorążówki, a poprzedzającej Złot na Siekierkach. Wtedy już - według jego wspomnień - wielo-

krotnie rozmawiał z młodymi Zawiszkami i zafrapowała go ich wielka ochota do działania. "/.../ W pierwszych dniach września spotkaliśmy się znowu z Szesnastką. Tym razem byłem delegowany jako jej wizytator, z własnej zresztą ochoty, aby ją bronić przed projektowanym rozwiązaniem. Wierzyłem bowiem mocno w chłopców i w dotychczasowych kierowników jej pracy...".

To wszystko - prawda! Ale ile w tym pierwszym spotkaniu drużyny z jej przyszłym drużynowym i mistrzem było zachęty ze strony brata?! W moim przekonaniu - musiało być bardzo wiele.

2 października 1924 roku Zygmunt Wierszowski, rezygnując ze stanowiska w Komendzie Chorągwi, zostaje drużynowym Szesnastki. Po 20 października 1911 roku jest to w dziejach naszej drużyny drugą najważniejszą datą. Nie mam na ten temat nawet cienia wątpliwości.

I oto natychmiast - jest to określenie najsupełniej ścisłe - okazało się, że o pracy drużyny, zaledwie kilkudziesięciosobowej gromadki społecznej, decyduje drużynowy i przede wszystkim drużynowy. Drużynowy, który wie czego chce i który, jeżeli sam nie posiada fantazji przywódczej i odpowiednio wynalazczej inicjatywy, ma za sobą kilka lat pracy w drużynie dobrej lub bardzo dobrej. Wtedy wystarczy, aby po prostu kopiował - rozsądnie i inteligentnie oczywiście to, co się działo w jego macierzystej drużynie. Najlepszymi instruktorami harcerskimi byli ci, którzy wyrosli, od najmłodszych lat w drużynach, w których się wiele działo. Czy Zygmunt Wierszowski miał za sobą taką dziesięcioletnią - gdyż tyle był już wtedy harcerzem - szkołę w swojej innej, macierzystej drużynie? Czy nade wszystko był obdarzony własnym, znakomitym instynktem pedagoga i organizatora? Sądzę, iż to

oba warunki zbiegły się w jego osobie. Tak sądzę po sposobie jakim momentalnie, rzec można "z kopyta", ruszył ospałe życie Szesnastki, w której oś go safrapowało.

Wystarczyło kilka, dosłownie kilka tygodni, aby ta mała gromadka ospałych i skłóconych ze sobą chłopców wpadła w galop. Zygmunt Wierszowski z ogromną świadomością uderzył w kilka kławięzy pedagogicznych i organizacyjnych, doskonale zdając sobie sprawę z ich funkcjonowania. Wyraźnie określił ramy organizacyjne drużyny. Zażądał karności i dyscypliny. Skończył z osobliwym i nieustannym wiecowaniem, jakie ostatnimi laty wobec bezsilny bądź nieobecności drużynowych rozpleniko się w Szesnastce. Można się krzywić - dryl wojskowy - ale ten dryl okazał się znakomitym instrumentem wyzwalającym energię chłopców najwyraźniej potrzebujących właśnie rygoru i perspektyw sukcesu. Nowy drużynowy z miejsca wyzwolił szanse konkurencji; stałe konkursy między zastępami o pierwszeństwo w gromadzie. Stary, hadanpowelowski chwyt został wykorzystany i uarty. Chłopcy chcą być pierwsi. Dość prędko zrodziła się w zastępach pewna solidarność, mająca na celu zdobycie najlepszego zespołowego miejsca. W latach późniejszych solidarność ta doprowadziła nawet do pewnych wynaturzeń, do swoistej ksenofobii zastępów, ale zawsze była ona motorem pobudzającym mechanizm życia w drużynie.

Zygmunt Wierszowski uważał, że w drużynie powinno się ciągle dzieć coś nowego. Ułożono nowy regulamin drużyny, który był tylko sformalizowaniem rozkazów i swychajów wprowadzonych przez drużynowego. Ścisłe przewidywał: co tydzień zbiórka zastępu z obecnością absolutnie nieodzowną, co dwa tygodnie zbiórka drużyny. Bardzo szybko okazało się, że od tych terminów nie ma odwołania. W Szesnastce nikt nie śmiał nawet sobie wyobrazić, że zbiórka zastępu może się nie odbyć, że zastępowy może się

na niej nie pojawić, że zbiórka drużyny może się jakoś odwiec
czy rozpłynąć. Tym bardziej, że zbiórki te były ciekawe - przy-
najmniej gdy je porównywanę z odbywanymi dawniej. W pierwszym
kwartale pracy nowego drużynowego, a był to czwarty kwartał
roku 1924, Szesnastka odbyła 11 zbiórek drużyny, w tym 4 wycie-
czki, 52 zbiórki trzech zastępów, a w tym 9 wycieczek po mie-
ście lub za miasto. Rada drużyny zebrała się 14 razy. Równocześ-
nie rozpoczęto konkurs na najlepszego, co dwa miesiące oceniany,
zastęp drużyny. Uruchomiono wareszaty: szabawkarski i radiotech-
niczny. Trzy razy w tygodniu odbywały się treningi lekkoatlety-
czne i siatkarskie. Zygmunt Wierszowski, już wtedy nazywany
krótko Zygien, zasiadał bynajmniej nie byle jakiego wysiłku od
tej 50-osobowej gromadki, w której bez mała połowę stanowiły
młode "wiloski".

W drużynie się po prostu zagotowało. Raz jeszcze okazało się,
że wygrywa ten pedagog, który od swych wychowanków łąda dużo
i bardziej dużo, który sprawia, iż czas ich jest wypełniony cią-
gle czymś żywym i absorbującym.

Wierszowski odwołał się do jeszcze jednej wartości - do tra-
dycji. Tej już nagromadzonej przez piętnaście bez mała lat ist-
nienia jednej z najstarszych drużyn marszowskich, i tej dopiero
tworzonej. Czynił to z pełną świadomością, że w gromadzie, je-
żeli ma ona być spójna i swarta, należy tworzyć ciąg rytualnych
nieleńwie gości sziorowych, stale powtarzających się imprez,
świąt, spotkań, wyróżników.

Nie wystarczyły zbiórki, pojawiła się instytucja nieobowią-
zkowych zebrań towarzyskich, a nawet towarzyskich wycieczek.
Dobrowolna na nich obecność była dla komendy drużyny sprawie-
nem, jak dalece chłopak jest przywiązany do swej gromadki, jak
bardzo chce być wśród sawiszackich przyjacielów. Nieobowiązkowe,

pozbawione rygoru musztrowego zebrania towarzyskie, na których się po prostu bawiono i razem jedzono ciastka, bardzo prędko stały się jedną z elementów integracji drużyny i zastępów. Razem jedzono ciastka, razem jeżdżono na rowerach, razem chodzono do kina czy teatru. A potem razem uczono się tańczyć, razem tańczono na dorocznych "śledzikach" Szesnastki i kochano się w tym samych dziewczynach.

Z tych zebrań towarzyskich, czyli znacznie mniej sformalizowanych zbiórek zastępów, wyłoniła się z biegiem czasu instytucja tak zwanych "herbatek". W latach trzydziestych, ale sądzę, iż od razu teraz warto o nich wspomnieć, gdyżśmy już mieli własną, piękną iść, parę razy w roku spotykało się grono ojców i matek ze starszymi chłopcami, zastępowymi i szarżami drużyny. Przy herbacie i ciastkach dyskutowano - na zasadach równouprawnienia, ale bez jakiegokolwiek porządku z góry opracowanego, przy dyskretnej jednak inspiracji drużynowych - o organizacyjnych, lecz nade wszystko wychowawczych, moralnych, społecznych problemach i samej drużyny, i w ogóle młodego pokolenia. Dyskusje były zapalonye. Atmosfera tolerancji stworzona przez rodziców pozwalała młodym nastolatkom /nikt ich wtedy tak nie nazywał/ na nader śmiałe, osuporne, nawet kłótlive wystąpienia będące krytyką i szkołą, i rodziców, i w ogóle świata dorosłych. Młodzi szersali się między sobą, gdyż w tej dość jednolitej Szesnastce młodzi ludzie nie mieli bynajmniej jednolitych poglądów ani politycznych, ani społecznych, a podczas "herbatek" raczej zachęcano nas do ujawniania swych prawdziwych opinii, aniżeli do ich skrywania i uniformizowania. Po dyskusjach z rówieśnikami - "herbatki" były dla niejednego młodego Zawieszaka forum, na którym ucyż się wypowiedzieć swoje, prsewianie mało uciesane, poglądy. Nie potrzebuję dodawać, że te "herbatki" smakowicie

służyły przyjaźni zarówno starszych chłopców między sobą, jak i pewnym istotnym więzom łączności między rodzicami i Zawiszakami, więzom które w kilka lat później, w czasie okupacji hitlerowskiej, nabrały wielkiego znaczenia.

Wybiegłem nieco naprzód - choć może nie tak bardzo, gdyż właśnie te dość specyficzne spotkania były nader konsekwentnym efektem wszystkich przemian wychowawczych i organizacyjnych, jakim drużyna zaczęła podlegać od 1924 roku.

Wierzbowski na początku 1925 roku, już całkowicie "swojego", urządził pierwszą choinkę drużyny, coś w rodzaju specjalnego, tyle że obowiązkowego zebrania towarzyskiego, zorganizowanego razem z rodzicami KPH, gdyż KPH zaczęło bardzo intensywnie uczestniczyć w życiu drużyny. Zyg organizował - czynił to świadomie i zawsze - i synów i rodziców. Razem. Pierwsza choinka drużyny odbyła się 10 stycznia 1925 roku. Pięćdziesięciu chłopców i tyle samo gości: rodzice, siostry, bracia. I reprezentacja władz harcerskich stolicy. Ciastka, kakao i popisy mniej czy bardziej artystyczne - taki harcerski kabarecik. Oczywiście specjalny, uroczysty rozkaz. Nie wiem czy już wtedy, ale wkrótce potem, gdy choinki stały się corocznym świętem drużyny, drugim tak solennym obok święta obozu, utarł się bardzo piękny zwyczaj, że właśnie na choince i na święcie obozu składano przyrzeczenia harcerskie. I powiem Wam coś jeszcze, jeżeli któryś z nas właśnie w rozkazie "choinkowym" otrzymywał pochwałę za swą harcerską pracę - liczyło się to więcej, niż taka sama pochwała w jakimś zwykłym, normalnym wydawanym co dwa tygodnie rozkazie drużynowym. Może dlatego, że rozkazu choinkowego wysłuchiwali również rodzice i goście.

Sądzę, a bardzo już długiej perspektywy moich lat harcerskich, że Wierzbowski miał całkowitą świadomość czym powinna

być choinka w życiu drużyny i organizując pierwszą widsiarkę już ich dżugi, następny ciąg.

Wiersbowski wiedział, że drużyna musi być umundurowana - i to specjalnie starannie. Mundur jest bardzo istotnym elementem integracji społecznej. Toteż bardzo szybko, wiosną 1925 roku, w pół roku po tym, jak objął Szesnastkę, ustanowiony został nowy, specjalny model munduru Szesnastki. Do tej pory Zawiszacy chodzili ubrani tak, jak inni harcerze warszawscy, tzn. granatowe, krótkie - oczywiście krótkie! - spodnie, koszula khaki, kolorowa chusta, rogatywka. Teraz w Szesnastce zmieniono krój. Khaki spodnie, z tego samego co spodnie materiału koszula, i z tego samego materiału uszyta rogatywka. Krajka o specjalnych barwach, które długo wyszukiwano jeżdżąc do Łowicza, do tamtejszych warsztatów tkackich. Czarne, obowiązkowo czarne, skarpetki pod kolana i czarne, obowiązkowo czarne, półbuty lub buciki. Mundury szyte specjalnie, zajęło się tym WPH z panią dr Mieczysławą Glińską na czele, w której mieszkaniu założono istny warsztat krawiecki. Zniknęły dowolności w ubraniu - drużyna musiała wyglądać i wyglądała jednolicie. Mundur stał się wyróżnikiem, symbolem, nawet jakąś nagrodą. Zaczęto bardzo rygorystycznie przestrzegać wyglądu i całej drużyny i każdego z nas, harcerzy oddzielnie. Nic dziwnego, że tak jednolicie umundurowana drużyna wywołała na zlocie chorągwi w Płudach entuzjazm całej harcerskiej młodzieży. Zresztą wśród drużyn warszawskich, tych lepszych i wyróżniających się, zrodziła się wtedy właśnie tendencja do posiadania odmiennego charakterystycznego stroju, a nawet sposobu noszenia munduru, odrębnego dla każdej z tych drużyn. Wszystkie nasze mundury były w zasadzie szyte według jednego wzoru harcerskiego, ale każda z tych drużyn modyfikowała go - nieco innym odcieniem zieleni, nieco innym układem całości,

specjalnymi chustami w odmienny sposób. Inny był mundur Szesnastki, inny Dwudziestej Trzeciej, inny Trójki, Dwójki, Ósemki, Piątki - po kolorach i krojach można było rozpoznać drużynę. Tylko słabsze i - co tu ukrywać - biedniejsze drużyny zaopatrywały się w bardziej stereotypowe i jednolite mundury sprzedawane w CKDH, centralnym sklepie harcerskim.

Wkrótce potem, po najbliższym letnim obozie, rogatywki Zawiszków zostały ozdobione góralskimi muszelkami, co ostatecznie zaakcentowało szczególność naszego munduru. W jakieś dwa - trzy lata później, w 1927 lub 1928 roku, w Głównej Kwaterze Męskiej przeprowadzono specjalną weryfikację tych indywidualnych, drużynowych elementów munduru harcerskiego. Wtedy to dopiero mundur Szesnastki i mundury innych drużyn warszawskich uzyskały oficjalne potwierdzenie i przyzwolenie. Przegląd odbywał się w lokalu GKM, a modelem demonstrującym ubiór Szesnastki był 15-16-letni Dzidek Eberhard, nieco później jeden z czołowych instruktorów drużyny, który zginął w 1940 roku w Tatrach, przekradając się z Warszawy na Węgry, do wojska polskiego we Francji.

Był więc mundur - nie było sztandaru! Gdy inżynier Girtler - przewodniczący KPH zapytał swego syna Józka /w Polsce już ludowej wybitnego organizatora przemysłu, laureata - za te zasługi - nagrody państwowej/, co by chciał dostać na imieninowy prezent, chłopak przytomnie odpowiedział: sztandar drużyny! I to był już efekt tych ambloji Zawiszackich, o których rozważanie tak świadomie starał się Wierzbicki. Ojciec spełnił prośbę syna. W październiku 1925 roku, już po pierwszym powojennym obozie letnim, obozie bardzo udanym, Szesnastka otrzymała swój sztandar /z jednej strony amarantowy - z owsem białym, z drugiej biały - z krzyżem harcerskim i napisem: "16 WDH im. Zawiszy Czarnego"/. Sztandar poświęcił prefekt gimnazjum Staszica ks.

Trepkowiaki - stryj znanego później - jednego z najwybitniejszych naszych grafików - Tadeusza Trepkowskiego. Byli Zawiasacy, ci starszy, z lat przedwojennych i wojennych, zjechali się na tę uroczystość. Ufundowali srebrną tabliczkę, przybitą do drzewca. Na tabliczce wyryto dziewięć nazwisk Zawiasaków poległych żołnierską śmiercią - od Jerzego Boguckiego do Bożydara Żłobnickiego.

Odczytany też został i podpisany akt erekcyjny sztandaru o dość zawilej, barokowej polszczyźnie, która dzisiaj budzi raczej nasz uśmiech. Opuszczę ten mniej stylistycznie fortunny wstęp aktu erekcyjnego - przypomnę jego akapity dalsze, jego esencję: "Przeto wiadomym czynimy całemu stanowi harcerskiemu i ludziom, i nam bliższym, że roku Pańskiego 1925, miesiąca października, dnia 4-go ku chwale Ojczyzny i pamięci poległych Zawiasaków, ślubujemy w dzień ów, jako poświęcenia Sztandaru państwowy, zawsze godło nasze wysoko trzymać. I tym to właśnie dokumentem tę swoją wiarę i ochotę dla potomnych przekazać pragnąc, a jako świadków ludzi obecnych biorąc, ich i swoimi inicjałami rzecz tę potwierdzamy, aby te słowa, które nam Miłość Najjaśniejszej Rzeczypospolitej ku jej chwale nakazała, w sercach i umysłach zatrzymali. Dan w Warszawie 4.X.1925". Przyznam się, iż wolę tę samą treść wyrażoną albo w liście Jerzego Wądołkowskiego: "Wpajajcie w chłopców, że obowiązkiem ich jest wszystko poświęcić dla Ojczyzny", albo ówczesnym prawie harcerskim: "Harcersz służy Ojczyźnie i dla niej sumiennie wypełnia swoje obowiązki". Mowa prosta jest lepsza od mowy zawilej.

Mundur, sztandar, choinka - to były te wyróżniki wielkie. Ale Zyg z całą świadomością znakomitego pedagoga tworzył i wyróżniki popolityse, bardziej może trywialne, lecz również podbudzające fantazję chłopców. Myślę o zwyczaju tak zwanej menaż-

ki, zupełnie specyficznym i odrębnym, nigdzie poza Szesnastką przeze mnie nie spotykanym. Na obozach śpiewaliśmy:

"Menażka to zguba ludzkości,
a gdy zgubisz jakiś frak
wnet chwytają cię mdłości,
na pewno trafi cię szlag.
Więc gub, gub, gub bracie, gub!
Dostaniesz kilka menażek.
Przygotowania rób -
przed frontem stoi już ptaszek.
Wnet z menażki woda spływa
Spalone karki zmywa.
Nie wychodzi z ust jęk -
mimo szalonych męk."

Menażki wyklinano jak torturę. Należało udawać, iż każdy z nas menażki się boi piekielnie. A w gruncie rzeczy była to znakomita zabawa i obyczaj tak osobliwy, że stwarzający istotną więź uczuciową. Zaczęło się w Białce, na obozie letnim urzędowym w 1925 roku. Chłopcy gubili swe rzeczy, siali je gęsto na terenie całego obozu. Znaleziony but, pantofel czy koszulkę oboźny chował do worka i na wieczornym, przedkolacyjnym apelu publicznie okazywał. Skruszony właściciel zguby wychodził przed front i z całym ceremoniałem, gdy drużyna stała na baczność, oboźny wlewał mu menażkę wody - pół menażki! - za kołnierz. Otblany musiał w ciągu pięciu minut zameldować się w innej, suchej koszuli. Menażki zaczęto stosować zresztą nie tylko za rzeczy zgubione. Lano je za brudną, źle umytą po jedzeniu menażkę odkrytą w cowieczornej inspekcji, lano je za przeklinania. I za parę jeszcze innych postępków godnych nagany. Można było dostać dwie, a nawet trzy i cztery menażki za jednym razem: za

kołnierz, z przodu, w rękaw lewy i w prawy. Nasze mamy na wieść o menażkach mdlały z obawy o przeziębienie się synków - myśmy bawili się cudownie. Nikt się nigdy nie przeziębził /w zimne, deszczowe dni obozowe menażki odkładano na pogodne i ciepłe/. Opracowaliśmy cały system takiego ułożenia koszuli, by włana woda nie zamaczała spodni, co miało ułatwić szybkie meldowanie się w suchym ubraniu. A to też był wyścig - kto prędzej! Menażka przynosiła w konkursie na najlepszy zastęp na obozie ujemne punkty, ale menażka była wyśmienitą zabawą i ten z nas, kto by jej nigdy nie dostał, w mniemaniu własnym i kolegów byłby kimś gorszym.

Przepraszam, że tak długo o "menażkach". Ale naprawdę jestem głęboko przeświadczony, że ten specyficzny obyczaj obozowy bynajmniej nie był bagatelnym instrumentem w tworzeniu sprawności i zwartości drużyny. Sądzę, iż naszemu społeczeństwu, nie tylko harcerskiemu, często brakuje takich "menażek".

Drużyna tak prowadzona oczywiście musiała wyjechać na obóz letni. Urządzono go w Białce, na Podhalu, nie opodal Bukowiny Tatrzańskiej. Pierwszy obóz Szesnastki od 1918 roku, od Grotowic. Przez sześć lat drużyna nie miała letniego obozu. Obóz w Białce był jeszcze kolonią w budynku, ale tryb życia był już niemal całkowicie obozowy. Ćwiczenia techniczne, pionierskie - ustawiono wysoki maszt, co również stało się tradycją obozów naszych! - sygnalizacyjne, terenoznawcze. Wycieczki w góry - w tym jedna 14-dniowa, obóz wędrowny właściwie, przez polskie i słowackie /wtedy raczej rzadko tam chodzono/ Tatry. Podchody i gry. Stoczono taką podchodową batalię z inną, też bardzo świetną, najstarszą w Warszawie 27 WDH obozującą nie opodal. W obozie brały udział trzy zastępy - Żuhrów, Orków i Rysiów. Komendantem był oczywiście Zyg, oboźnym ówik Tadeusz

Klarnier, gospodarzem wywiadowca Włodzimierz Boerner. Celowo podaje te nazwiska i te niewysokie stopnie, to jeszcze przed rokiem drużynowi, młodzi ochłopczy, którzy dopiero pod komendą Zygą stali się prawdziwymi przywódcami drużyny. Lekarszem obozu - a jakże był i własny lekarz! "Eskulap" - Józef Stawicki, student medycyny, który do Szesnaastki przyszedł razem z Zygim i razem z nim, jak gdyby fundamentował wielkość drużyny. Potem wyjechał do Lublina.

Pierwszy powojenny obóz nowej Szesnaastki był pod każdym względem pionierski. Dopiero on, i to wszystko co się działo w drużynie w 1925 roku określiło charakter Szesnaastki na następne lata - na piętnaście lat pokoju i potem na lata okupacji, i na pierwszych parę lat bezpośrednio powojennych. Może dlatego warto było tyle słów poświęcić tym piętnastu pierwszym miesiącom odrodzenia Szesnaastki. W tym roku 1925 drużyna uzyskała II miejsce w ogólnej klasyfikacji drużyn warszawskich, dokonanej w wyniku zawodów rozegranych na slocie w Piłudach. To był sukces! Na przełomie grudnia i stycznia, w czasie ferii bożonarodzeniowych, urządzono pierwszy obóz zimowy w Ostojewie /w nadleśnictwie Łączna w Kieleckiem/, na którym jednak nikt jeszcze nie jeździł na nartach, tylko intensywnie trenowano różnorodną technikę harcerską. W efekcie, Szesnaastka otrzymuje przyznawany przez Naczelnictwo ZHP upragniony tytuł "drużyny harcerskiej". I odąd nigdy już tego tytułu nie utraci, dyplom taki odbierać będzie co rok.

Kryzys lat powojennych został nieodwołalnie przełamany. Nawet już i zapomniany.

Następne lata potwierdziły ten 1925 rok. Wierzbowski prze-
myślnie montował wokół drużyny rozmaite struktury, które by
mogły ją wesprzeć na wypadek nowego kryzysu - choć kryzysu
tego nic nie zapowiadało. Obok Koła Przyjaciół Harcerzy słocho-
nego z rodziców, tworzy Koło Zawiszków z dawnych lub star-
szych członków Szesnastki. Koło Zawiszków zorganizowane w po-
łowie 1926 roku rzadziej było drużynie potrzebne, przynajmniej
w tamtych, międzywojennych latach, niż KPH. Rodzice - co natu-
ralne - byli na co dzień; matki i ojcowie z pewnością nie sami
chłopcy organizowali imprezy drużynie przydatne, potrafili
gromadzić fundusze i otaczali chłopców troską. Koło Zawiszków
było bardziej odświętne. Raz ufundowało tabliczkę na sztandar,
innym razem przydało się w zabiegach o izbę harcerską, o czym
będą pisać nieco dalej. Póki co mamy rok 1926, izby Szesnastka
nie ma, zbiórki odbywają się w sali gimnastycznej, na koryta-
rach i na podwórku szkolnym albo też w mieszkaniach prywat-
nych. Ale odbywają się stale. Rytm życia drużyny, nadany jej
przez Zygę i ciągle przez niego kontrolowany, nie słabnie ani
na chwilę. Do tego nowy obyczaj integrujący drużynę: po przy-
rzeczeniu, po uzyskaniu krayta, każdy Zawiszek, nawet najmłod-
szy najstarszemu mówi po imieniu. Niby mało, a jednak to też
ma swoje znaczenie. Zbiórki, konkursy, gry, wycieczki - na Wiel-
kanoc paru chłopców jedzie do Krakowa i Wisliczki. Z pomocą
KPH - organizuje się rozmaite imprezy dochodowe. Obóz należy
wyposażyć w coraz lepszy sprzęt. Głównie - w namioty. A namioty
były drogie.

Nie tylko namioty. Dobry obóz, i wtedy i dzisiaj również,
jest imprezą wymagającą pieniędzy. Dobrze, gdy rodzice mogli
ponieść koszty wyjazdu i miesięcznego utrzymania dziecka, ale
gdy nie mogli? Drużynowi ówczesnych drużyn radzili sobie roz-

malicie. A to odwołując się do ofiarności wielkich przedsiębiorstw przemysłowych lub handlowych, z których każde przeznaczało w swym budżecie pewne kwoty na cele charytatywne, to w inny sposób - nierszadko sami chłopcy zarabiali na pomoc obozową dla swych uboższych kolegów. W Szesnastce stworzono w 1926 roku kasę im. Wacława Bisiéra - zmarłego drużynowego - do której wpływały rozmaite kwoty, a to z różnorodnych imprez zarobkowych, a to ze stałej miesięcznej składki wszystkich członków drużyny. Z kasy im. Bisiéra udzielano pożyczek zwrotnych lub bezzwrotnych tym chłopcom /raczej ich rodzicom/, którzy mieli trudności w uiszczeniu opłaty obozowej.

W 1926 Szesnastka wytiera się na obóz letni. Siódmy w jej całej historii, z pomocą KPH - organizuje się rozmaite imprezy dochodowe; obóz należy wyposażyć w coraz lepszy sprzęt. Głównie w namioty. A namioty są drogie.

Drużyna jedzie na obóz letni. Siódmy w jej całej historii, drugi z kolei w cyklu odrodzenia. Do Meczyszczu w Karpaty Wschodnie, daleko od Warszawy. Obóz jest trudny, komendant stawia chłopcom wysokie wymagania w technice harcerskiej, pionierskiej, krajoznawczej. No i najważniejsze, że są już dwa duże namioty! Namioty, stanowiące modyfikację tak zwanych kanadyjek, zostały specjalnie zaprojektowane przez Zygmunta Wierszowskiego i uszyte na zamówienie drużyny. Komenda i zastęp najukłodazy jeszcze mieszkają w baraku, nie opodal leśniczówki - dwa starsze zastępy już są pod namiotami.

To z Meczyszczu właśnie pozostała w tradycji drużyny piosenka ułożona na obozie. Potem trawestowana pod każdego komendanta kolejnego obozu. Może przetrwała do dzisiaj?

"W Meczyszczu Zygmunt srożył się
straszliwe dając kary.

Za kołnierz wodę co dzień lał
znęcając się bez miary.

A teraz Pietrek /Gryzmuś, Włodek, Gutek, Midas i tak dalej,
jak tam kolejno trzeba było/ sroży się
i terror jest straszliwy.

Gdy na ganiankę wezwie mnie
Nie wyjdę chyba żywy..."

I menażki były fajne, i ganianki też jakoś miały swój okrutny urok. Wszyscy wychodzili żywi. I alarmy, którymi wieść gminna straszyla młodzików, również były czymś cudownym - zdarzało się, że "Mecenas" - Jurek Hellmans, ze stoperem w ręku ćwiczył fazy ubierania się i pakowania rynsztunku, a oto jakiś najmłodszy szczawik pierwszy potrafił stanąć na linii zbiórki w pełnym, przepisowym ekwipunku marszowym.

16 października 1926 roku, równo w dwa lata po objęciu drużyny - Wierzbowski przekazuje pałeczkę komendanta swemu przyhocznemu - Piotrowi Pawlikowskiemu. To przekazanie drużyny było czymś bardzo ważnym. Harcerstwo znało sjawisko długoletnich, wiecznych drużynowych - instruktorów, którzy tak znakomicie prowadzili swe drużyny, iż wydawało się i im, i innym, że są niezastąpieni. Z punktu widzenia pedagogicznego było to szkodliwe - gdyż blokujące drogę kolejnym młodym ludziom, studentom, robotnikom, pracownikom, którzy też powinni sfinalizować swą własną samowychowawczą pracę harcerską możliwością pełnienia tej najbardziej odpowiedzialnej funkcji swiątkowej. Ponadto sądzę, że długoletni drużynowy, to niemal harcerski zawodowiec. A to też nie jest dobre. Zygmunt Wierzbowski wiedział, że w prawdziwie dobrej drużynie, dobrze realizującej swe cele wychowawcze, drużynowi powinni się zmieniać, każdy powinien unieść przygo-

tować swego następcę. A równocześnie on sam, studiujący na Politechnice pragnął być normalnym obywatelem, mającym swój normalny zawód, któremu chciał i mógł się poświęcić. Ukończony studia politechniczne Zygmunt Wierszowski był przez długie lata, aż do powstania Sierpniowego, inżynierem elektrykiem kierownikiem technicznym sieci elektrycznej całego okręgu warszawskiego. Czynny w swej inżynierskiej pracy - potrafił nadzierać nad Szesnastką. Chwała, że nie stał się ani zawodowym harcerzem, ani naszym wiecznym drużynowym.

Piotr Pawlikowski we wrześniu 1939 roku poległ jako oficer rezerwy bohaterską śmiercią żołnierza. Już jako wychowanek Wierszowskiego swym talentem organizatorskim i pedagogicznym, rzetelnością, obowiązkowością i twórczą inicjatywą odegrał istotną rolę w całym procesie odnowy Szesnastki. On i następny po nim Włodzimierz Boerner okazali się najbardziej odpowiedzialnymi kontynuatorami działań zainicjowanych przez Zygę. Zygę, który odszedł - ale odszedł, aby pozostać. Aby zostać w drużynie na zawsze, aż do dni, w których piszę tę gawędę, to znaczy przez następnych pięćdziesiąt lat - pięćdziesiąt lat! - odchodzi i zostaje nie tarasując sobą miejsca i funkcji drużynowego. To znaczy umożliwiając najbardziej prawidłową realizację harcerskiego cyklu wychowawczego, który dopiero, gdy młody chłopak zostaje zastępowym, zyskuje swą najgłębszą rację, jako samowychowywanie koronowane ambicją, nadzieją, szansą każdego młodego na to, że pewnego dnia on sam może stanąć na czele drużyny. Możliwość zostania drużynowym jest tym pięknym motorem pedagogicznie oddziaływającym na samowychowującą ambicję harcerzy. Prawdziwe działanie wychowawcze harcerskie realizuje się wówczas, gdy chłopak czy dziewczyna zostaje zastępowym, plutonowym, drużynowym, dzisiaj szczerpowym - to znaczy, gdy

musi brać na siebie odpowiedzialność za innych, nieco od siebie tylko młodszych. -Sytuacje, a takie sytuacje bywały, w których ten sam, przeważnie znakomity instruktor, był drużynowym przez dłuższe lata, wypaczały naturalny cykl harcerskiego wychowania, gdyż przekreślały szansę ambitnych, by kiedyś samemu zostać drużynowym. Sądzę, że Wierzbowski mógłby przez wiele lat być drużynowym Szesnastki, nawet biorąc urlopy na jakies okazje dłuższe, na przykład na czas swej wojskowej służby w marynarce, ale byłoby to rozwiązanie o wiele gorsze z punktu widzenia zadań wychowawczych drużyny, niż to, które zostało zastosowane. Wierzbowski odszedł po dwóch latach sprawowania swej funkcji - już miał też następców, co świadczyło jak dobrze potrafił przebudować tę drużynę. W Szesnastce ustalik się pewien zdrowy rytm. W zasadzie drużynowym było się dwa lata, potem rozglądano się za następcą. W ten sposób każdy z bardziej ambitnych przyhocznych miał szansę swansu, a ten, który obejmował drużynę miał świadomość, ważną dla wchodzącego w życie zawodowe, że dwa lata musi ofiarnie pracować, ale też tylko dwa lata, że więc nie stanie się żadnym zawodowym harcerzem, co jest niedobłą perspektywą życiową.

Wierzbowski oddał drużynę swemu następcy, ale pozostał w niej - formalnie w Kole Zawiszaków, faktycznie jako najwyższy autorytet moralny, bez wiedzy i rady którego nic się w drużynie ważnego nie mogło stać. Najbardziej spolegliwy - by użyć określenia profesora Kotarbińskiego - opiekun i przywódca, ten najprawdziwszy gdyż faktyczny, a nie formalny.

Drużyna już była mocna. Odejście Wierzbowskiego z funkcji drużynowego nie osłabiło pracy. W czasie ferii bożonarodzeniowych tygodniowy obóz simowy, na który pojechało 10 chłopców, odbył się w Starachowicach.

Tak minął rok 1926. Choinka - już tradycyjna - rozpoczęła rok 1927. Polepszano jakość pracy. W zastępach starszych zapoczątkowano gawędy, raczej odczyty, połączone z pewnego rodzaju dyskusjami na tematy już nie ściśle harcerskie, ale - tak trzeba je nazwać - obywatelskie. A więc z historii Polski, a więc o sławnych Polakach, o budowie portu w Gdyni, o polskim lotnictwie, o polskim wojsku, o dziejach nauki i techniki. Urządzano były rozmaite wycieczki - a to do gazowni, do fabryk, do radia, do muzeów. Odkrywały się gry na mieście - popularne i ulubione przez chłopców przekradanki i przetieranki. Pracowano we własnych zakładach rzemieślniczych. Robiono krótkofalówki, konstruowano modele statków, budowano kajaki, oprawiano książki, klejono zabawki. Kontynuowano treningi sportowe. Wreszcie, po raz pierwszy tak poważnie, zajęto się pracą społeczną. Bardzo pożyteczną. W schronisku dla niewidomych na Polnej niedaleko gimnazjum Staszica, brakowało wtedy jeszcze książek wypukle drukowanych. Codziennie paru harcerzy z Szesnastki chodziło tam, by niewidomej młodzieży przygotowującej się do zawodu nanosycielskiego głośno czytać podręczniki. Piękna praca społeczna.

Organizowano imprezy dochodowe: wieczerki taneczne, szopki, filmy. Szybcie namiotów letnich było bardzo kosztowne. Jak również potrzebowano pieniędzy, aby umożliwić chłopcom uboższym udział w obozie letnim. Cała drużyna sprawiła sobie nowe mundury, a mundur taki nie był tani - kosztował aż 25 zł!

Obóz letni urządzono nad jeziorem Studzieniocznym nie opodal Augustowa. Ustalała się już pewna mapa obozów letnich. Białka - niemal w Tatrach, Meczyszcze - Karpaty wschodnie, Studzieniocznia - Augustowskie. Plan ułożony był na kilka lat naprzód. Chodziło o to, by co roku wyjeżdżać w inną część kraju, by

chłopcy poznawali Ojczyznę. Nad jeziorem Studzienicznym, gdzie już wszyscy mieszkali pod namiotami, pod dużymi namiotami typu szesnastka obozuje 31 chłopców. Cztery zastępy - Orły, Ryś, Kruki i Bobry. Komendantem jest Piotr Pawlikowski.

Pawlikowski nie może jednak zbyt wiele czasu poświęcić drużynie. W zimie z 1927 roku na 1928 rok Szesnastkę najpierw jako po. potem, jako właściwy drużynowy, obejmuje Włodzimierz Boerner. Ale nie jest to już szesnastoletni wywiadowca, tylko podharc-mistrz, który przeszedł świetną szkołę Zyga Wierzhowskiego.

Od reform Zyga minęło już parę lat i oto w Szesnastce - w innych drużynach działa się podobnie - wybijają się, jako praco-dujący jeden zastęp - wtedy w 1928 roku był to zastęp Orłów. W prawidłowo funkcjonującej drużynie powinien pojawić się taki czołowy zastęp; w naturalny sposób gromadzi się garstka chłop-ców, specjalnie zżytych, która trafia na dobrego zastępowego i która, ożywiona ambicją, a przede wszystkim dobrze się ze so-bą czująca, zaczyna wygrywać konkurencję, górować nad innymi. Z takich to zastępów przeważnie rekrutują się przyszli drużynowi. Prawdziwą wartość zastępu poznaje się zazwyczaj dopiero wtedy, gdy zbliża się on do swego kresu - dobry zastęp w Szesnastce istniał trzy, cztery lata. Po tym okresie chłopcy sami stawali się zastępowymi. Zastęp rozwiązywano, ale ślad po nim zostawał w tradycji drużyny. W roku 1929 rozwiązany został taki właśnie zastęp - Orłów - najpierw prowadzony przez Romualda Narbutowi-cza, potem przez Jerzego Klarnera, z tego rozbudowanego rodu zawiszackich Klarnerów, który tylu świetnych przywódców dał drużynie. W lecie 1939 Janusz Klarner był jednym z tych czte-rech alpinistów, którzy pierwsi, i pierwsi Polacy, weszli na himalajski siedmiotysięcznik Nanda Devi. Zastęp Orłów dobrze zasłużył się drużynie, choć później dopiero tego rodzaju poch-

wałą zegnano co wybitniejsze zastępy. Z Orków wyszło dwóch następnych drużynowych Szesnastki: Gryzmań - Zygmunt Piaskowski i Toto - Włodzimierz Hellmann.

Rok 1928 toczył się pod znakiem Bulli. Szesnastka, już wtedy drużyna wyróżniająca się, została wysłana jako reprezentacja ZHP na Narodowy Zlot Skautów Lotewskich, który miał się odbyć w Bulli na Łotwie. Przygotowania do wyprawy rozpoczęto już w zimie. Trwały kilka miesięcy, a w ich trakcie na wiosennym zlocie ochotnicy warszawskiej w Wawrze /jeszcze wtedy był on podmiejską miejscowością leśną i letniskową/ Szesnastka zdobyła po raz pierwszy, lecz nie ostateczny, tytuł "reprezentacyjnej drużyny Stolicy" i srebrną tabliczkę na sztycy, jako nagrodę przechodnią.

W czerwcu drużyna wyjechała za granicę - 2-tygodniowy obóz w Bulli poprzedzać miał również dwutygodniowy obóz zlotowy. W legendzie drużyny pozostała z tego czasu pewna anegdota. Gdy urzędnik w biurze paszportowym skonstatował, iż nie da rady w terminie wystawić tak wielu paszportów dla harcerzy Szesnastki - Włodzimierz Boerner przywiózł w taksówce paru Zawiszków, wprowadził do biura i kazał im, pod kierunkiem owego urzędnika, szybko wypisywać druczki i formularze, na których wypełnienie brakowało urzędników. Paszporty wypisano w terminie. Legendarna anegdota nie podaje jednak istotnego elementu tej biurokratycznej przygody. Otóż Włodzimierz Boerner był synem jednego z najbardziej prononowanych piżsudczyków. Ułatwiło to oczywiście działania młodemu Włódkowi, choć i jego własna energia miała w tej impetycznej ofensywie udział. Był to w ogóle człowiek energiczny i pełen fantazji. Przed II wojną światową był sekretarzem Stefana Starzyńskiego - prezydenta Warszawy, po wojnie, jako działacz społeczny, potem jako profesor wyż-

szej uczelni, należał do tej grupy ludzi, którzy położyli zasługi w stworzeniu i utrwaleniu polskiej administracji we Wrocławiu, już naszym Wrocławiu.

Udział w obozie i zlocie na Łotwie był kolejnym sukcesem drużyny. W konkurencji z gospodarzami oraz skautami z Węgier i Niemiec, Szesnastka, wepół z kilkoma chłopcami z 35 WDH, zdobyła pierwszorządne lub równorzędne wyniki. Z Łotwy drużyna przywoziła sobie dwóch Honorowych Zawiszaków - ustalenie tego tytułu było również elementem strategii Zyga Wierzbowskiego, aby wokół drużyny gromadzić nieco starszych, mogących opiekować się młodzieżą. Tytuł Honorowego Zawiszaka otrzymał hm. Ignacy Wołkowicz, z ramienia Głównej Kwatery komendant polskiej wyprawy na Łotwę /Boerner był tylko komendantem obozu Szesnastki/, wieloletni Komisarz Zagraniczny ZHP, w 1941 roku zamordowany w Oświęcimiu. Drugim Honorowym Zawiszakiem został Józef Pancer, drużynowy 121 ryskiej polskiej drużyny skautowej, który z Szesnastką żył się w czasie zlotu bardzo blisko, jako nasz opiekun ze strony gospodarzy.

Rok 1929. Szesnastce grozi znów odmłodzenie szarż. Włodek Boerner ma za dużo pracy na wyższej uczelni, już rad[by] oddać drużynę następcy, którego chwilowo brakuje. Nie jest to już jednak drużyna ta sama, nie jest to już drużyna słaba. Z poręki Zyga powstaje przy drużynie Rada Instruktorów, wszystkich podharcistrzów Szesnastki, a jest już ich czterech: Wierzbowski, Stawicki, Pawlikowski, Boerner, która na krótko przejmując obowiązki po drużynowym - wiosną 1929 roku drużynowym zostaje młody Zygmunt Piasekowski, zwany Gryzmasiem. W jakiś czas potem otrzymując nominację podharcistrzowską obejmuje samodzielnie Szesnastkę. I okazuje się jednym z naszych drużynowych znakomitych.

Te perturbacje na stanowisku drużynowego nie mają już jednak żadnego wpływu na bieg codziennego życia w drużynie. Silne zastępy pracują swym własnym rytmem, zbiórki i wycieczki drużyny odbywają się bez zakłóceń. Tak jak powinno być w moonej, zwartej drużynie. W lecie - obóz! Jakże mogłoby być inaczej?! Nad jeziorom w pobliżu wsi Przewóz w powiecie kartuskim na Pomorzu. Coraz więcej chłopców - czterdziestu pięciu. Komendantem - sam drużynowy Piaskowski. Oboźnym - Włodzimierz Hellmann, ten który powinien z czasem objąć drużynę. Najzdrowszy i najwłaściwszy schemat organizacyjny. Po raz pierwszy obóz letni bez opiekuna z Koła Przyjaciół i bez jakiegokolwiek instruktora z Koła Zawiszaków. Dopiero po dwóch tygodniach pojawili się jako wizytatorzy Zygmunt Wierzbowski i Piotr Pawlikowski. Uroczayony wyprawami kajakowymi. Wtedy też, w Przewozie podczas święta Obozu miał miejsce pierwszy w Szesnastce bieg harcerski z trzynastoma przeszkodami. Aż dziwne to sobie wyobrazić - prawda? Bieg harcerski dopiero w osiemnastym roku istnienia drużyny, dopiero na X obozie! I to tylko jako element święta obozu. Już wkrótce biegi harcerskie - i to niekiedy kolosalne, o kilkudziesięciokilometrowych trasach, niezmiernie wynalazcze w układzie przeszkód - staną się codziennym elementem naszych obozów letnich.

Szesnastka rośnie. Jesienią dzieli się na dwa plutony. Jeden liczy 43 chłopców, drugi - 33. Ponadto gromada najmłodszych, z najniższych klas gimnazjum, których wtedy - zania nowina suchowa dotarła do Szesnastki - nazywano "hiszkoptami" lub "wilosętami", a którzy faktycznie byli jak gdyby przedszkolem harcerskim przygotowującym chłopców do możliwie szybkiego, w ciągu roku, złożenia próby na stopień młodzika, kiedy to wraz ze złożeniem przyrzeczenia stawali się pełnymi harcerszami. Razem

Szesnastka liczyła niemal stu członków, w tym - co świadczy o sile drużyny - dziesięciu studentów, więc instruktorów, jeżeli nie formalnych to faktycznych. Studenci to drużynowy, przybocznik, plutonowi.

Szesnastka dzieliła się na plutony. Rola plutonów w tej drużynie, która istniała po rok 1939, jest dość specjalna. Bywała oceniana nader rozmaicie; nie będę tałk, jako autor tej gawędy, że w moim przekonaniu, którego nabrałem jako szeregowiec, zastępowy, potem instruktor, plutony nie odgrywały w pracy Szesnastki żadnej specjalnej roli; czy były dwa, trzy czy cztery, nie stały się nigdy istotną jednostką organizacyjną, to znaczy - w moim przeświadczeniu - nigdy nie one były więzią uczuciową łączącą chłopców w drużynie. Chłopak w Szesnastce czuł się - i to niekiedy w zdumiewająco silny sposób /a było to bardzo korzystne wychowawczo/ członkiem swojego, określonego zastępu, którego był zapalczym "patriotą". Ponad zastępem była dlań od razu drużyna, Szesnastka, tytuł do dumy, chwały, uwielbienia nas wszystkich. Liczyła się Szesnastka. Pomiędzy nią a zastępem pluton był niemal niedostrzegalny, niewyczuwalny, nikt się nie przejmował przynależnością do tego czy innego plutonu traktowanego dość formalnie. Może również i dlatego, że zbiórki zastępów odbywały się z żelazną regularnością, zbiórki drużyny również. Zbiórek plutonów niemal nie bywało.

Istnieje jednak pogląd odmienny. Reprezentuje go na przykład mój wspaniały zastępowy, stary, zasłużony Zawiszek Stefan Jedliński, który w dyskusji ze mną broni stanowiska, że może nie tyle plutony jako jednostki organizacyjne, ale plutonowi mieli wielkie zadania i wykonywali je. Oni kontrolowali bezpośrednio i odcienne zastępowych, oni wizytowali - choćby przez chwil kilka - większość zbiórek zastępów, odczytywali kroniki, dys-

kutowali z zastępowymi o programach zajęć, byli tym dydaktycznym i organizacyjnym "okiem opatrności", które stale śledziło zastępowego i weryfikowało jego pracę. W zależności i współpracy zastępowych z plutonowymi, Stefan Jedliński upatruje jedną z istotnych "tajemnic" dobrej pracy zastępów, w tych trudnych międzyobozowych okresach, gdy niejeden kiepski zastępowy mało mógłby dbać o powierzoną sobie gromadkę. Trudno mi się zgodzić z poglądami Stefana. Jako zastępowy nie odczuwałem na sobie opieki plutonowego, zawsze czując opiekę drużynowego - być może jednak, że był to indywidualny przypadek. Może rację ma Jedliński? Jedno jest pewne, że w obecnym szczepie Szesnastek tak przez Stefana Jedlińskiego określona, zarysowana rolę plutonowych spełniać powinni drużynowi. Prawda? Ich zadaniem jest dbałość o to, by zastępy pracowały regularnie przez cały okrągły rok.

Na Boże Narodzenie 1929 roku znów urządzono - po dwuletniej przerwie - obóz zimowy. W Miętne pod Garwolinem, w jednej z izb szkoły rolniczej. Na obozie tym zjawiała się cała czołówka Szesnastki, gromadka tych znakomitych chłopaków, z których nie każdy miał zostać drużynowym. Drużynowymi Szesnastki nigdy nie zostali tak znakomici Zawiszacy, jak: Jan Eberhard, Zbyszek Klarner, Jurek Doliwa-Jankowski, Pepuś Leinweber, Ryś Mechanicki, Jurek Hellmann - lecz oni właśnie tworzyli wiodącą gromadkę nadającą drużynie ton i fundującą jej dzielność.

Obóz w Miętne był pyszną zabawą /a co rozumiem pod słowem zabawa - wytłumaczę nieco dalej/ tej właśnie gromadki młodych ludzi, sżytych z drużyną, w drużynie realizujących swą młodość. Gdy 31 grudnia o północy bawili się w ów sylwestrowy obrządek, również należący do tradycji Szesnastki, nikt z nich zapewne nie sięgał pamięcią wstecz, by reasumować to, co się z drużyną

stało w ciągu dziesięciu lat, ty wspomnieć trudny szlak prowadzący od żalosnej gromadki chłopców, którym groziło rozwiązanie tej ich Szesnastki, lecz którzy pod koniec dziesięciolecia zdołali zakwalifikować ją do najlepszych drużyn w Polsce. Nadchodzące lata trzydzieste miały stać się dla Szesnastki jej złotą dekadą.

Rok 1930 był naprawdę dla drużyny złotym, bogatym w inicjatywę, w sukcesy, w zdołanie, o których trzeba powiedzieć nieco szerzej - charakteryzują one drużynę w tamtym czasie.

15 lutego 1930 roku wyszedł pierwszy numer "Sulimczyka". W pięć lat później drużynowy poeta tak napisał w jubileuszowym wierszyku: "Zastępu Bobrów jest to chlubne dzieło, ale o Bobrach pamięć już zanika". Istotnie! "Sulimczyk" był skrzyżowaniem zastępu Bobrów z indywidualnością i talentem Gustawa Radwańskiego, obok Zygmunta Wierzbowskiego drugiego, którego osobowość wywarła tak istotne piętno na Szesnastce lat trzydziestych.

Najpierw słowo o Bobrach. Już raz napisałem, że w normalnej, zdrowej drużynie co pewien czas pojawiają się zastępy - indywidualności, które są jakąś szczególną postawą, fasonem, ambicjami wybijają się ponad inne. Autor książki "25 lat dziejów Szesnastki" wydanej w 1936 roku scharakteryzował ten zastęp bardzo trafnie. Pozwólcie, że zacytuję: "Zastęp /założony w 1926 z gromady wilczęcej/ zaczął żyć dopiero wtedy, gdy zastępowym został w styczniu 1928 dh Jerzy Doliwa-Jankowski, który podniósł Bobry do poziomu high-life'u drużyny. Werwa i ekscentryczność zastępowego /to już ja przypominę, że Doliwa lubił się przedstawiać pełnym składem imion, które należało recytować jednym tchem: Jerzy Adolf Konstanty Doliwa-Jankowski - przyp. K.K./ opromieniały zastęp, który znowu dał swemu wodzowi opar-

cie i świadomość, że jest zastępowym najbardziej zwartej i błyszczącej jednostki w Drużynie /.../ Bohry to właśnie nadawały Drużynie ton i szyk, one były arbitrami elegantiarum, one były przykładem najbardziej żytego zastępu na terenach nie-harcerskich. Krótko mówiąc: Bohry była to złota młodzież Szesnastki".

One też pierwsze wymyśliły dla siebie, i uzyskały w rozkazie najbardziej formalne potwierdzenie, specjalną odznakę zastępu Bobrów: sygnet z wygrawerowaną harcerską lilią. Po Bobrach jeszcze dwa zastępy miały swoje odznaki: Łosie i Orły. W 1930 roku Bohry już były zastępem bardzo starym; ale że dla każdego z nich jeszcze nie starczyło zastępów własnych, więc się już zaczęły "obijać" - i wtedy Doliwa po naradzie z Zygiem przypomnieli sobie, że wiele lat temu już się był ukazał i szybko zniknął "Sulimczyk" - pismo drużyny. Niech Bohry na nowo zaczną robić Sulimczyka!

Do robienia pisma nie wystarcza jednak nawet najlepszy zastęp. Jeszcze potrzeba maszyny drukarskiej, choćby powielacza, oraz kogoś takiego, kto ma talent, może raczej temperament redaktora. Taki ktoś też był w drużynie - w zastępie Kruków - Gustaw Radwański.

Teraz słowo o Gustawie Radwańskim. Mały, z dużym nosem, ze skłonnościami literackimi, które nigdy nie rozwinęły się poza dla siebie samego pisane wiersze czy opowiadania, i które największe ujęcie znajdowały w listach prywatnych tudzież w pismach drużyny, szkoły czy /w wiele lat później/ małej emigracyjnej grupy literackiej. Pięknie rozwinął się natomiast inny talent Gustawa - talent pedagogiczny. Szesnastka była tego pierwszym, choć nie ostatnim dowodem. Do Szesnastki Gustaw wstąpił dość późno - tak jakos się składało, że nie chciał czy nie

mógł zapisać się gdy miał lat jedenaście czy dwanaście, uczynił to dopiero nastolatek, a więc była to decyzja indywidualna, przemyślana. Gdy chłopak w tym wieku wstępował do harcerstwa - w wieku, w którym większość chłopców zaczyna się z drużyn wykruszać - swykie bardzo prędko zajmował miejsce w drużynie ważne, szybko stawał się kimś znaczącym. Gustaw bardzo prędko stał się pierwszoplanową postacią w Szesnastce. Rok 1930 to był właśnie początek jego wielkiej - naswijmy to - kariery. W tym czasie uczeń wyższej klasy w gimnazjum Staszica był redaktorem naczelnym "Grafomana", pismka klas wyższych. Pismka takie wychodziły niemal w każdym gimnazjum. Jako szef "Grafomana" miał dostęp do mechanicznego powielacza - Gestetnera. Doliwa szybko porozumiał się z Radwańskim. Bohry dały organizację, rzutkość i paru piszących, Radwański - Gestetnera oraz talent redaktorski. Został redaktorem naczelnym "Sulimczyka", i jako "Nie-rad" wywarł decydujący wpływ na charakter pisma.

Co było główną wartością "Sulimczyka"? Przecież nie sam fakt ukazania się pierwszego czy drugiego numeru. Tego rodzaju inicjatyw kończących się szybko było i w szkołach polskich, i w drużynach całe masy. Może nawet nie strona literacka pismka była tą największą wartością. Reportażyki, artykułiki, felietoniki, wierszyki, lokalna kronika - to wszystko nie wyrastało ponad sztabacki poziom, jaki zawsze mają takie szkolne, powielane pismka - mieszanina naiwnego humoru z porcją banalnych frazesów. Wartością największą tego pismka, a dziś ją z perspektywy dalekich lat oceniam niezmiernie poważnie, była regularność i długootrwałość ukazywania się. Począwszy od 15 lutego 1930 roku do 15 czerwca 1939 roku, co dwa tygodnie, bez żadnej przerwy, co drugi, najpierw poniedziałek, potem wtorek, od września do czerwca, każdy chłopak w drużynie otrzymywał nowy numer.

Trochę egzemplarzy sprzedawane w odręcznym kolportażu kolegom ze szkoły, pewną listę rozsyłano w abonamencie dawnym Zawiszkom. Ta regularność miała, jak się okazało, kolosalne znaczenie dla integracji drużyny, miała ogromny wpływ na jej swartość, była istotnym instrumentem grupowego oddziaływania poprzez tak zwaną tradycję drużyny. "Sulimczyk" stając się z biegiem lat elementem tej tradycji, z kolei też ją stale tworzył. Sztandar, kostki i krajki, "męsałki", osoba Zyga Wierszowskiego, isba harcerska i wreszcie ten "Sulimczyk" były to jakieś autentyczne, żywe wyznaczniki spójności Szesnastki, symbole, hasła niemal, które pomnażane o rozmaite elementy następne, stworzyły pewną sumę wartości, oddziałujących na dalsze pokolenia Szesnastki przez długie jeszcze lata, jeszcze wtedy gdy na druknię znów przyszły lata ciężkie i chude. Oczywiście "Sulimczyka" nie robiła cała drużyna. Zawsze była to praca, ciężka praca paru zapaleńców, którzy sami pisali, szarpało się, że jeden wypełniał całe numery, sami wystukiwali klisze na maszynach, sami kręcili korby powielaczy. I dla nich - mogę powiedzieć dla nas - gdyż mnie tak właśnie wychowywał "Sulimczyk" - przysnę regularności ukazywania się pisma, od której - jak w normalnej prasie - nie mogło być żadnego wyjątku, był smakowitą szkołą samowychowywania. Praca w redakcji "Sulimczyka" była bardziej wychowawcza niż w normalnym zastępie.

"Sulimczyka" rozpoczęły właśnie Bobry i Gustaw Radwański, lecz bardzo prędko stracił on bazę w szkolnym Gestetnerze, a zyskał w domu państwa Ładów - inżyniera Zygmunta Łady dyrektora warszawskiego biura Huty Bankowej, który mając w Szesnastce trzech synów - Zygmunta, Tadeusza i Jerzego - ofiarował "Sulimczykowi" wspaniałą bazę techniczną. Po południu w biurze Huty Bankowej /ul. Poksał 11 - dom zachowany do dzisiaj/ można było

pisać klisze na maszynach, i tam też co drugą niedzielę odbijaliśmy "Sulimczyka" na Gestetnerze huty, mając sresztą również własne, już drukowne powielacze ręczne. Maszyny do pisania, Gestetner, lokal, no i trzech bracia Ładowie, którzy byli kolejnymi redaktorami technicznymi pisma - dla "Sulimczyka" opieka państwa Ładów była tym, czym dla całej drużyny serdeczność, troska i bezgranicznie oddawany drużynie czas wielu innych naszych matek i ojców.

A więc 1930 rok to początek "Sulimczyka". Były inne sukcesy również. Pierwsze miejsce w zawodach strzeleckich o mistrzostwo Chorągwi. Wielki, następny sukces sportowy. Drużyna siatkarska Szesnastki biorąc udział w rozgrywkach, już nie tylko harcerskich ale ogólnostołecznych, zdobyła sobie miejsce w klasie A - na dwadzieścia jeden meczów rozegranych wygrywając aż szesnastcie, w tym z takimi potęgami sportowymi jak AZS czy Makabi. Szesnastka reprezentowała Chorągiew Warszawską w zawodach siatkówki, jako mistrzyni i w lekkiej atletyce jako wicemistrzyni.

Kolejny Złot Chorągwi w Płudach przynosi nam I miejsce wśród drużyn klasy A i powtórzenie tytułu "Reprezentacyjnej Drużyny Stolicy". Trzeba wiedzieć, że podówczas, może inaczej niż dzisiaj, harcerstwo stołeczne było w Polsce przodujące. Równocześnie harcerze z Szesnastki biorą udział w najrozmaitszych kursach, konkursach itp., zawsze zdobywają pierwsze, drugie lub trzecie miejsca.

Tytuł Pierwszej Drużyny Chorągwi łączył się z przybitciem srebrnej tabliczki przechodniej na drzewcu sztandaru. Przechodziła ona z drużyny na drużynę tak długo, aż któraś trzy razy pod rząd zdobyła to pierwszeństwo. Wtedy srebrna tabliczka już na zawsze miała prawo pozostać na jej sztandarze. Szesnastka tytuł Reprezentacyjnej Drużyny Chorągwi uzyskała trzy razy pod

rzęd - srebrna tabliczka na zawsze została przybita do drzewca naszego sztandaru.

Obóz letni urządzony zostaje w Niedzicy pod Nowym Targiem nad rzeczką Łapazanką. Komendantem jest Zygmunt Piaskowski, obywatelami kolejno Jerzy Doliwa-Jankowski i Włodzimierz Hellmann. Na obozie - oczywiście wyłącznie pod namiotami, ale to już normalne - 60 chłopców, 6 zastępów. Jest to więc już obóz bardzo duży. Do Niedzicy wyjeżdża blisko 80% członków drużyny.

Po obozie w sierpniu kurs podharc mistrzowski, co roku przez komendę chorągwi urządzany nad Wigrami, wyjeżdża cały zastęp starszych chłopców pod komendą Doliwy-Jankowskiego. Nazwą się Orkami i odtąd każdy zastęp Szesnastki na wigierskim kursie będzie nosił takie nazwanie. Nad Wigrami składało się zawsze egzaminu na podharc mistrza i na Harcerza Rzeczypospolitej, nie licząc sprawności. W 1939 roku podharc mistrzów zdobyli też Doliwa, Jerzy Kozłowski, czyli Midas, i Ryszard Mechanicki.

Po obozie wielką sprawą drużyny stała się izba!

Nad izbą debatowano od lat. Szesnastka, drużyna już tak silna, nie miała swojej izby, a rzeczą wiadomą, że drużyna bezdomna, drużyna bez swego kawałka podłogi i dachu jak bezdomna rodzina - istnieje gorzej. W 1930 roku podjęto staranie w rozmaitych kierunkach. Ktoś powędrował do Bohdana Pniewskiego, dawny Zawiszak był już wybitnym architektem i budowniczym. Zaoferował budowę domku dla drużyny. Pomysł upadł - w mieście nie było stosownej działki. Wtedy pani profesorowa Stefania Jedlińska, obok inż. Girtlera najczynniejsza w KPH, uzyskała od dyr. Otto Kuczewskiego, dyrektora gimnazjum Staszica - a szkoła miała powody, by coraz bardziej szczerzyć się swą drużyną - zgodę na przebadanie strychu gmachu szkolnego: a może da się tam zbudować izbę?

Przyszedł sam Pniewski. Obejrzał, podrachował i zaprojekto-

wał bardzo piękną izbę. Powołano komitet budowy, wypuszczono tak zwane "cegiełki", rodzice z KPH zebrali pieniądze, odwołano się do starych Zawissaków, wśród których Pniowski i Olewiński byli już ludźmi wybitnymi. Swoje zrobiły nasze matki - może należy wspomnieć o aktywności pani Ksawery Zielińskiej, żonie konsula RP, a matce znanego dziś pisarza Stanisława Zielińskiego, który też był chłopcem w Szesnastce. Ogólny koszt budowy wyniósł 6 500 ówczesnych złotych. Nie było to bardzo drogo - dla naszych harcerzy wszyscy pracowali taniej. Pod koniec roku izba była gotowa. Duży pokój, którego trzy okna wychodziły na ulicę Polną i zwieńczały, jako piętro czwarte, szary gmach gimnazjum. Pokój miał kształt dużej litery "L". Szupy nośne pokryto boazerią, na jasnych deszczułkach, które Musiek Łada elektrycznym palnikiem wypalił piękne, kwietne ornamenty. Mały przedpokój, w którym też od biedy można było odbyć zbiórkę zastępu. Strzałki schody, z których cudownie się spadało i trudno się na nie wchodziło. Obszerny kawał strychu, gdzie urządzono magazyn sprzętu obozowego drużyny. Izba była śliczna - i nasza. Po miesiącu już nikt sobie nie wyobrażał, że może istnieć drużyna bez izby!

Pod koniec roku Zygaunt Piaskowski, po dwóch bez mała latach niezmiernie owocnego kierowania Szesnastką, przekazał ją Włodzimierzowi Hellmannowi. Czwarty obóz zimowy, ciągle na nizinach, w Żegrzynku. Ale jest to pierwszy obóz, na którym mamy już narty! Jeszcze biegamy w nich po polu, ale narty już są! Sygnał szaleństwa, które niebawem ogarnie drużynę.

"10 stycznia 1931 roku o godzinie 17 odbyło się uroczyste poświęcenie Izby Harcerskiej 16 Drużyny Warszawskiej imienia Zawiszy Czarnego, wybudowanej w siedzibie Gimnazjum im. Staszica przy ul. Polnej 60." - Tak rozpoczynał się akt otwarcia izby, oficjalny dokument przekazania nam owego pięknego skrawka ziemi naszej, który Szesnastce służył tak krótko, tak bardzo niestety krótko, od stycznia 1931 roku do sierpnia 1939 roku, a potem kilkanaście dni w Powstaniu Warszawskim - lecz który w ideowym, moralnym, uczuciowym życiu Zawiszaków miał tak kolosalne znaczenie. Nasza izba! Pokój z przedpokojkiem zaledwie - dzisiaj by powiedziano M-2 - a ileż się tam działo! Zbiórki zastępów, rady drużyny, wszystkie kursy, zebrania towarzyskie, posiedzenia KPH i herbatki KPH, wszystko, wszystko, wszystko. Izba była tą osią, na której obracało się całe bogate ruchliwe życie Szesnastki w ciągu następnych osmiu i pół lat. Nie należy się dziwić, że dzień oddania izby Drużynie wydaje mi się być trzecią niezmiernie doniosłą datą w historii Zawiszaków.

A potem osiem i pół bardzo jednakowych lat. W biblijnych legendach mowa jest o siedmiu latach tłustych wymieniających się z siedmioma chudymi. Takiej regularności w dziejach Szesnastki nie było. Od 1925 do 1939 roku to dla nas lata tłuste, ale wśród nich te od roku 1930 były najtłustsze. Gdy spojrzeć na nie z perspektywy już tak bardzo odległej, wydają się one, te lata trzydzieste, okresem spokojnej stabilizacji, choć przecież dla nas, którzy je przeżywalismy w drużynie, wypełnione one były rozmaicie - i cudownymi obozami letnimi i zimowymi, pełnymi radości i chłopięcych przygód, i zatargami personalnymi, gdy raptem ktoś, a czasem nie sam ale w gromadzie, opuszczał drużynę. Odejścia były przecież rozmaite - niekiedy znaczyły je moralne i wychowawcze klęski - nie wobec wszystkich harcerstwo

potrafiko osiągnąć moralne sukcesy. Było raz i tak, że Zawiszaka złapano na kradzieży - zniknął spośród nas nagle i w smutnym miloszeniu. Było raz i tak, że chłopak wpakował sobie kulę w głowę - może zbyt słaba była opieka zastępu czy drużyny dla ogarniętego jakąś swoją rodziną i szkolną rozpaczą chłopaka. Bywały odejścia polityczne - a jakie! Po śmierci Józefa Piłsudskiego wychodzi raptem z Szesnastki paru bardzo do niej przywiązanych młodych ludzi, w proteście, iż drużyna wraz z całym stołecznym harcerstwem bierze udział w państwowych uroczystościach pogrzebowych. Będący ściśli. Był to protest podjęty ze strony prawej, przez tych, którzy uważali się za nacjonalistycznych przeciwników zmarłego polityka. Bywały i odejścia śmiertelne, raz po raz czarna krepa owijała na kilka tygodni sztandar drużyny, a na krzyżach harcerskich nosiliśmy czarną, wąziutką wstążeczkę. W sierpniu 1931 roku ginie w Pilicy, ratując tonącego kolege, nasz wspaniały drużynowy i przyjaciel podharcmistrza Zygmunt Piaskowski. Tę śmierć, a raczej pamięć o Jego pięknym życiu, upamiętniła srebrna tabliczka na sztandarze. W kilkanaście miesięcy później umiera po krótkiej chorobie jego brat, ów Jerzy Piaskowski. W pół roku później, we wrześniu 1932 roku umiera chory podharcmistrz Ryszard Mechanicki, niedawny przyboczny 16 WDH, a wtedy już drużynowy 4 WDH w szkole tramwajarskiej na Woli. W styczniu 1933 roku umiera pani doktorka Mieczysława Glińska - od 1924 roku wierny przyjaciel drużyny, z ramienia KPH opiekunka trzech letnich obozów, pierwszy spośród rodziców Honorowy Zawiszek. W lecie 1934 roku znów topi się w Bugu, ratując tonących, Jerzy Suchenek-Suchocki "Pipcią" swany, jeden z tych, którzy tworzyli, tak to można nazwać, fa-son Szesnastki.

Smutki i odejścia przeplatały się z radościami. Miło było

nadawać godność Honorowego Zawiszaka wielu naszym przyjaciołom - jakoś pomnażało to nasze własne szeregi. Prócz doktorowej Mieczysławcy Glińskiej tę godność otrzymali wtedy pan inżynier Girtler i pani Stefania Jedlińska trzecia z kolei /drugim był pan sędzia Kozłowski - ojciec Jerzego, drużynowego Szesnastki/ przewodnicząca KPH. Honorowym Zawiszakiem został ks. Jan Mauersberger, ten który w harcerstwie odegrał wielką rolę, a jeszcze większą miał odegrać. Tę samą zawiszacką, honorową godność otrzymał hm Tomasz Piskorski, jeden z komendantów warszawskiej chorągwi, instruktor wielkich dla Związku zasług. Honorowym Zawiszakiem był hm Ignacy Wołkiewicz, komendant wyprawy polskiej na Złot Skautów Lotewskich. Był nim również hm Artur Hirszbandt, który wojażował z nami razem do Szwecji. No i Józef Pancer, o którym pisałem. Honorowym Zawiszakiem został wreszcie Zygmunt Wierzbowski - było to połączenie w jednej osobie Zawiszaka najbardziej autentycznego i najpiękniej Honorowego.

Przez osiem i pół lat drużyna rosła liczebnie - nieustannie. Coraz więcej chłopaków z młodszych klas gimnazjum Staszica wstępowało do drużyny - wstępowało oczywiście dobrowolnie. Po-tem z biegiem czasu wykruszali się z drużyny - był to proces najbardziej naturalny, ale jednak w ogólnym rachunku drużyna była coraz liczniejsza. Przy paru prywatnych szkołach powszechnych nasi Zawiszacy prowadzili gromady zuchowe - były to gromady Szesnastki. O ile zuchy doskonale znieśli się w organizacji, programie i stylu Szesnastki, o tyle ze starszymi chłopcami była raczej bieda. Zresztą nie tylko w Szesnastce - w całym harcerstwie. Niewiele pomogła tutaj programowa ogólnozwiązkowa inicjatywa Juliusza Dąbrowskiego, który pragnął, by istniało harcerstwo nie tylko dla młodych, ale i dla starszych chłopców. W Szesnastce ta programowa inicjatywa nie przyjęła się - starsi

chłopcy, którzy w drużynie zostawali przez lata, zajmowali się pracą organizacyjną, wychowawczą - byli zastępowymi, przybocznymi, funkcyjnymi, wreszcie drużynowymi. Nie zdradzali tendencji do tworzenia jakichś samodzielnych zastępów o specjalnym, ideowym bądź intelektualnym programie działania. Nie! Koncepcja tak zwanych starszych chłopców, jako niemalże samodzielnej organizacji o własnym programie działania, i to działania jakos na zewnątrz społecznie ekspansywnego, w Szesnastce się nie przyjęła. Powtarzam - nie przyjęła się nie tylko w Szesnastce, większość męskiego Związku nie umiała sobie z tym poradzić. Przez jakiś czas, w połowie lat trzydziestych, istniał w drużynie naszej tak zwany zastęp Oldboyów, zlepek starszych chłopców z Jastrzębi, Cietrzewi, Turów i innych, którzy pod przewodnictwem Gustawa Radwańskiego spotykali się w mieszkaniach prywatnych, najczęściej u państwa Ładów, by dyskutować, po prostu i tylko dyskutować, na tematy pasjonujące nastolatków: moralne, etyczne, oświatowe, estetyczne, psychologiczne /Radwański był psychologiem, uczniem prof. W. Witwickiego/, erotyczne i seksualne. Były to spotkania mające istotny wpływ na rozwój intelektualny i moralny młodych chłopców, ale nie były to żadne próby działania społecznego. W ogólnozwiązkowym Trzyletnim Wyścigu Prasy /zapoczątkowanym w 1936 roku/ pomyślanym jako inicjatywa programowa mająca inspirować rozwój pracy drużyn i rozwój zastępów chłopców starszych - Szesnastka, jak niemal wszystkie tak zwane wybitne drużyny, brała udział jedynie formalny. Szesnastka dla jakości jej pracy żadne inicjatywy obejmujące całe ZHP nie były potrzebne. Pod względem programowym, metodycznym, personalnym była to drużyna, już wtedy, jak - powtarzam - większość silnych drużyn stołecznych, zupełnie samowystarczalna. Pracowała i rozwijała się w ramach ZHP, które jej tę pracę umożliwiło,

ale inicjatywy czerpała z własnych dokonań i z własnego zespołu ludzi. Szesnastka była jedną z tych drużyn, które więcej do ZHP wносиły, aniżeli zeń brały. Po roku 1925 to już instruktorzy z Szesnastki obejmowali inne drużyny, by czynić je lepszymi, silniejszymi, przenosząc na nie doświadczenia swej drużyny macierzystej - myślę o Ryszardzie Mechanickim, który objął 4 WDH, o "Dzidku" Janie Eberhardzie, który objął 14 WDH, o Tadeuszu Lubańskim, który był twórcą 89 WDH, o autorze tej gawędy, który poszedł na drużynowego 31 WDH. Instruktorzy Szesnastki - z małymi wyjątkami - nie bardzo sobie cenili jakąkolwiek pracę w wyższych komendach ZHP, znacznie chętniej Szesnastka ich desygnowała, by wzmacniali i bogacili inne drużyny.

Przez dwa lata, od listopada 1930 do września 1932 roku, drużynowym był pkm Włodzimierz Hellmann - sumienny, opanowany, surowy, który istotnie oddziałł na podniesienie się poziomu etycznego i technicznego drużyny. Dziś jest profesorem na Politechnice Gdańskiej. Potem przez rok - do jesieni 1933 roku drużynową pkm Jerzy Kozłowski czyli "Midas". W październiku 1933 roku drużynę obejmuje pkm Gustaw Radwański i prowadzi ją przez dwa lata, by w październiku 1935 roku oddać ją pkm Włodzimierzowi Giżyckiemu.

Oczywiście - bardzo skrupulatny historyk drużyny byłby w stanie ustalić różnice każdego "panowania". My - ówcześni szeregowcy, zastępowi, przytoczni drużyny odczuwaliśmy znakomicie odmiennosc między skupioną powagą Włodka Hellmanna, oschłą dokładnością Jurka Kozłowskiego, reformatorską fantazją Gutka Radwańskiego, który - następny po Zygu - potrafił Szesnastkę wprowadzić w kolejne przyspieszenie, wreszcie "twardą rękę" Włodka Giżyckiego umiającego przy tym snuć cudowne plany, zupełnie swariowane, zbyt często przekraczające realne możliwości

ich realizacji. Te różnice wodzowskich temperamentów istniały, lecz w codziennej praktyce drużyna była już tak silną i okrzepniętą jednostką, że zmiany w kierownictwie nie od razu powodowały, jak ongiś, jakieś istotne perturbacje. Natomiast zalana zastępowego potrafiła - i to było bardzo harcerskie, wynikało z metody wychowawczej - wywołać w parosobowym zespole chłopięcym nieraz kolosalne ruszy, potrafiła taki zespół ożywić, przydać mu nowych barw, lub też przeciwnie, dotychczasowe barwy gasić, impet wytracać. Zastępowy decydował o wigorze zastępu, zastępowy, jeżeli spotkała się grupa doskonałych chłopców, z jak gdyby dla siebie stworzonym przywódcą, potrafił z zastępu uczynić gromadkę w dużym już krajobrazie drużyny dostrzegalną i liczącą się. Im bardziej drużynowi trafnie obsadzali zastępy, tym drużyna była lepsza. I chyba to prawo obowiązuje po dziś dzień.

Między rokiem 1925 a 1939 skład osobowy drużyny ulegał nieustannym przemianom, jak to być powinno w drużynie gimnazjalnej czy szkolnej, przez którą ciągle płynie strumień chłopców młodych, dorastających bardzo szybko. Dziś młodzik, który dopiero co zapisał się do drużyny - za pięć lat ówlik lub harcerz orli, a w dwa lata później maturzysta, student, niemal dorosły mężczyzna, który opuszczał harcerstwo, by pracować na innych polach życia społecznego, zawodowego, narodowego. Związująca się ku górze piramida wieku drużyny była czymś najbardziej naturalnym i zdrowym. Harcerstwo miało nas wychowywać dla społeczeństwa, a nie dla siebie. Mimo tej stałej rotacji osobowej, ciągle nowych wstępujących i ciągle starszych wychodzących z drużyny - Szesnastka odrodzona w roku 1925 - była ciągle drużyną bardzo dobrą, w tamtych latach jedną z najlepszych. Zmieniali się chłopcy, zmieniała się kadra instruktorska - Szesnastka była ciągle drużyną o wysokim poziomie wymagań i osiągnięć.

Szesnastka mnożyła sukcesy rozmaitego rodzaju. Po dawnym w zawodach sportowych. Nawet w 1931 roku do Piotrkowa na zaproszenie tamtejszych szkół średnich pojechała nasza reprezentacja siatkówki. Tam wprawdzie zaszkły jakieś nieporozumienia. Prasa piotrkowska relacjonowała o przegranej warszawiaków, nasz "Sulimczyk" chwalił się wygraną. Czy jednak zdobyte bądź stracone punkty były najważniejsze? Najważniejsze było to, że Zawiszacy ciągle byli w ruchu. To zawody sportowe, to kursy - zaczęły się wtedy mnożyć kursy samarytańskie i obrony przeciwgazowej - w Szesnastce ciągle jakiś zastęp w czymś gdzieś się szkolił. Pływanie trenowano w basenie Domu Akademickiego na pl. Narutowicza, siatkę - w hali na ul. Myśliwieckiej /gdzie dzisiaj jest radio/. Rozpoczął się w drużynie szal kajakarski i szal narciarski. Chłopcy budowali kajaki i strugali dla siebie narty. Urządzano spływy kajakowe, obozy wodne i wędrownie, brano udział w zawodach narciarskich. Raz przegrywano, raz drugi przynoszono nagrody. Cześćniej jednak zajmowano miejsca zaszczytne - i to chyba miało ogromny wpływ na chłopców.

Kolarstwo zawsze było w Szesnastce popularne. Ale do granic kuneztu dźwignęły go dopiero Cietrzewie, znów jeden z tych zastępów, które zaznaczyły się w życiu drużyny. Wśród Cietrzewi Andrzej Zieliński, późniejszy podharcemistrz i przyboczny, dzisiaj wybitny konstruktor obrabiarek, osiągnął niezwykłą umiejętność jazdy figurowej, niemal akrobatycznej, na zwyczajnym turystycznym rowerze. Pociągnął za sobą całą resztę zastępu, w którym niemal wszyscy mający rowery zaczęli ćwiczyć się w indywidualnej i zbiorowej jeździe figurowej. Powstał prawdziwy cietrzewiowy balet rowerowy, którym Szesnastka zaczęła się popisywać na zlotach krajowych i międzynarodowych - budząc niemały podziw. Można oczywiście wzruszyć ramionami - paru chłopców przez

parę lat bawiko się w ładną jazdę rowerową. Ale z takich zabaw, z takich rozmaitych pasji małych zastępów tworzy się mozaikowa całość drużyny, która w młodych chłopakach kształtuje i zbiorową solidarność, i poczucie obowiązkowości jednostki wobec grupy, i pewną elementarną solidarność w wykonywaniu zadań, których się podejmuje. Dlatego ważne było i wydawanie "Sulimczyka", i figurowa jazda na rowerach, i przerzucanie piłki nad siatką. Ważne były te kursy sanitarne, i ta - też arcyciekawa - praca społeczna, którą paru Zawiszaków z "Kłaczuciem" Jerzym Kobylińskim i Tadeuszem Ładą na czele prowadzili na obozach drużyny i w zimie. Myślę o społecznej pracy metodycznej. Na obozach letnich Szesnastki, w tych trzydziestych latach, drużyna, a przede wszystkim Kobyliński, niezmiernie ofiarnie świadczyła pomoc sanitarną i lekarską chłopcom z okolicznych wsi. Szły na to ogromne fundusze z KPH i paru chłopców oddawało się temu, niemal wyłącznie, przez wszystkie dni obozowe. W ówczesnej zaniedbanej zdrowotnie wsi polskiej - była to piękna i niezmiernie realna pomoc społeczna. Zimowe, kilkanaście miesięcy trwające, dyżury sanitarno-felczerskie paru starszych chłopców w warszawskim pogotowiu lekarskim, wtedy mieszczącym się na Łesznie, połączone z wykonywaniem zabiegów w ambulatorium oraz wyjazdami karetką na miasto - jako pomocnicy lekarza - miały już mniejsze znaczenie dla pogotowia czy dla chorych, natomiast ogromne dla samych tak dyżurujących kilka razy w miesiącu harcerzy. Z takich działań społecznych uprawianych z ofiarną pasją wyrósł zawód lekarski paru Zawiszaków - Jerzego Hellmanna, Jerzego Kaczyńskiego, Tadeusza Łady, a przede wszystkim Felicjana Lotha, znakomitego ortopedy, dyrektora chirurgicznego szpitala dziecięcego w Warszawie, a w latach hitlerowskiej okupacji niezwykle ofiarnego lekarza-więźnia Pawiaka, jednego z tej ekipy, której tyłu aresz-

towanych warszawiaków zawdzięczało często życie, a zawsze możliwość kontaktowania się z bliskimi w mieście.

To wszystko składało się na różnorodność i różnobarwność życia drużyny w tamtych latach.

Zaczęła się tworzyć pewna postawa, może nawet maniera. Szesnastka musiała być wszędzie i wszędzie chciała być pierwsza. I najlepiej wyglądać na defiladzie w dniach świąt państwowych, i w każdych zawodach musiała zbierać najwięcej punktów.

Taka postawa miała swoje ogromne zalety wychowawcze, ale miała też - błądny szczyt - swoje niebezpieczeństwa. Rodziło się zadufanie, a przy tym pewne lekceważenie dla wszystkich innych drużyn. Zawiszak niemal nie dostrzegał harcerstwa poza swą Szesnastką - choć przecież raz po raz jacyś Zawiszacy pozostając w drużynie macierzystej obejmowali jako drużynowi inne drużyny, choć drużynom tym Szesnastka świadczyła czasem poważną pomoc i finansową i programową - na przykład organizując im kursy na zastępowych. Tante wszystkie drużyny były daleko, były samostne. Choć Zawiszacy istotnie oddziałali na wzrost poziomu ich pracy, wokół Szesnastki nie powstał żaden krąg innych drużyn. W gruncie rzeczy był to ciekawy fenomen organizacyjny i psychiczny. W jakiś sposób nawet niebezpieczny. Niebezpieczeństwo to zauważono. W samej drużynie odezwały się głosy ostrzegawcze. Namiętnie dyskutowano na ten właśnie temat na herbatkach towarzyskich, co czas jakiś urządzanych w izbie dla rodziców i starszych chłopców. Dramatyczna historia Polski przerwała jednak ten proces. Wspomnijmy więc tylko, że i takie problemy były w ówczesnej Szesnastce, która na wszystkich zlotach, a to chorągwi, a to nawet na Jubileuszowym Zlocie Narodowym w Spale w 1935 roku, uzyskiwała stale najwyższe wyniki.

Coraz lepsze były obozy letnie. W 1931 roku w Karwieńskich

Błotach, tuż nad brzegiem Bałtyku, w morzu myto menażki po każdą posiłku. Komendantem obozu był Włodzimierz Hellmann. Uczestnicy zapamiętali, prócz cudownych kąpiei w Bałtyku, solidną porcję ćwiczeń pionierskich i to w pionierce wodnej, specjalny alarm gazowy oraz wycieczkę do Danii i Szwecji. Jadąc do Szwecji mieliśmy reprezentować ZHP na narodowym zlocie tamtejszych skautów. Wskutek skomplikowanych operacji organizacyjnych, nie przez drużynę zawinionych, wyprawa ta stała się po prostu tygodniową wycieczką krajoznawczą statkiem z Gdyni przez Kopenhagę do Szwecji, podczas której Szesnastka tylko pół dnia była na owym zlocie. I dobrze, i na zdrowie..

W 1932 roku wyjechaliśmy w daleką i surową Czarnohorę, aż 17 kilometrów za Worochtę, gdzie na kamienistej polanie nad zimnym, górskim strumieniem wypadło pod komendą Włodzimierza Hellmanna w ciężkim trudzie rozbijać namioty. W tak kamienistym gruncie trudno nam było ustawić maszty, ale go ustawiliśmy! Wysokie maszty to ambicja Szesnastki. Na naszych obozach maszty musiały być specjalnie wysokie, czasem sztukowaliśmy je, aż z dwóch sosnowych pni. Stawiano je za pomocą paru specjalnych narzędzi, trwało to zazwyczaj cały dzień i było intensywnym ćwiczeniem pionierskim. Na kamienistej rzeczce musieliśmy wytudować tamę, by stworzyć casen do kąpiei. Grabiły ręce, gdy w zimnej, górskiej wodzie szorowaliśmy kuchenne garnki. Wycieczki na Klewań, Kukul, Howerlę połączone z noclegami na położonych bezludnych jeszcze, zrytych okopami z czasów pierwszej wojny światowej, wymagały i dużego wysiłku fizycznego, i dobrej orientacji w terenie. Był to obóz ciężki, dający jednak ogromną satysfakcję tym, którzy na nim byli. Trwał cztery i pół tygodni. Zdano na nim 147 sprawności.

Parę słów o sprawnościach. Były one szaleństwem niektórych

ched nie wszystkich, Zawiasaków. Mieć duże kółka na prawym rękawie - to była swoista ambicja. Niektórzy z nas mieli po dwadzieścia i więcej sprawności, inni jednak ograniczali się do kilku czy kilkunastu. Niektóre z nich były do uzyskania bardzo łatwe, inne - niezmiernie trudne, były sprawności pospolite - były wyjątkowe. Nigdy jednak w Szesnastce nie było takich sprawnościowych szaków, jak na przykład w warszawskiej Ósemce, w której starsi chłopcy mieli dosłownie cały rękaw pokryty kółkami naszywanych i po ostery w rzędzie.

W sierpniu, po powrocie z Worochny, paru chłopców pojechało na kurs instruktorski nad Wigrami - siedmiu innych, pod wodzą samego Hellmanna, dokonało 550-kilometrowego spływu kajakowego, z Czarnej Hańcsy, przez Wigry, jeziora augustowskie, Bugo-Marwią i Wisłą do Warszawy.

W Rytrze za Nowym Sączem mieliśmy obóz w 1933 roku pod komendą Jerzego Koszkowskiego. Mokry, nieprawdopodobnie deszczowy, a więc też trudny - tylko już nie przez ziemię, ale przez niebo. Maszt jednak też postawiliśmy wysoki - i też go zostawiliśmy odjeżdżając. Gdy w dziesięć lat potem, w czerwcu 1943 roku przekradałem się przez "zieloną granicę" słowacko-polską, jako kurier konspiracji do okupowanego przez hitlerowców kraju, wypadła mi droga akurat nie opodal szczytu Radziejowej, trafiłem na tę samą polanę pod Rytrem, na której obozowaliśmy - i zobaczyłem pieńek masztu, złamanego czy ściętego, tego który wtedy zostawiliśmy. Czy gdziekolwiek stoją jeszcze maszty naszych innych zawiasackich obozów?

Po Rytrze pojechaliśmy, w półtoratysięcznej gromadzie harcerzy, na międzynarodowe Jamboree skautowe do GÖDÖLLE pod Budapeszt. Wesołe, barwne, pyszne Jamboree, jedno z najprzyjemniejszych w dziejach skautingu. Żadnych jednak zwycięskich tytułów

stamtąd nie przywieśliśmy, jako że Baden-Powell, jeszcze wtedy
tyjący Skaut Naczelny, zakazał urządzania jakichkolwiek zawo-
dów, uważając, iż podniecają one tylko narodowe antagonizmy,
a skauting powinien być dążyć do Światowego pokoju. Idea piękna,
ale pogląd naiwny.

Następny obóz w 1934 roku był w Obabiu na przesmyku między
dwoma uroczymi jesionami uplasowanymi na najdalszym, północnym
cyplu kraju, tuż nad granicą Łotewską. Przepiękny krajobraz,
liczne wycieczki piesze i wyprawy Kajakowe oraz wyjątkowo sło-
neczna pogoda. A mimo to obóz, którego komendantem był Gustaw
Radwański, nie został jednoznacznie uznany za dobry. Przeciw-
nie, skrytykowano go ostro. Unacoznik on bowiem kryzys metodycz-
ny, uświadomił on wszystkim, iż dalej już nie sposób kontynuować
takiego programu zajęć obozowych, jaki uprawiano dotychczas.
Obóz bowiem nie powinien być przedłużeniem zbiórek zimowych,
tyle że urządzanych w lesie. To nie mogą być lekcje techniki,
ani kursy techniki - to muszą być harce, gry, zabawy, ruch,
nieustanny ruch i nade wszystko ruch. Każda godzina stracona
na wykład uznana została za złą. To co było dobre pięć lat te-
mu, gdyż wtedy jeszcze same obozy były w drużynie sukcesem i
rewelacją, teraz zostało skrytykowane i odrzucone.

Wnioski z Obabia wyślagnięte zostały na następnym obozie,
kierowanym również przez Gustawa Radwańskiego, na którym ruch
był wszystkim. Był to obóz przygotowujący drużynę do udziału
w Narodowym Zlocie w Spale, urządzonym na 25-lecie ruchu har-
cerskiego i mającym być wielkim kompleksem zawodów, konkurencji
i pokazów. Obóz w Rybniku był jednym, nieustannym pasmem gier,
biegów harcerskich, zawodów pełnych ruchu, wycieczek > i w ten
sposób, a nie przez egzaminy teoretyczne, przysznawano stopnie
i sprawności. Obóz był przełomowy dla Szesnastki, już nigdy

nie wrócono do starego modelu kursów i lekcji niemal. Podczas obozu swiedzaliśmy, również na rowerach, Śląsk, jego huty i kopalnie. Ponadto wybuchł też skandal. Starły się ze sobą dwa znakomite zastępy - Cietrzewie i Tury, których wzajemna pasja konkurencyjna, zanim przemieniła się w przyjaźnię osobiste, doprowadziła, i to ze strony starszych i bardzo dla drużyny zaszkodzonych Cietrzewi, do ataków mało harcerskiej agresji. Konflikt groził usunięciem z obozu grupy świetnych chłopców - skończył się, jak zwykle bywa, na przechaczeniu i kompromisie. Wspominam go tutaj dlatego, by uświadomić, że wychowanie harcerskie nie zawsze realizuje się bezkonfliktowo, że ambicje rozpalane przez metody stosowane w drużynie, przynosząc rezultaty świetne, przynosiły również i niebezpieczeństwa. Przypominam taką jedną awanturę, a przecież bywało ich więcej. I - bądźmy szczerzy - być one musiały. Bez konfliktów i starć niczego rzetelnego zrealizować nie sposób.

Może warto w tym właśnie miejscu powiedzieć kilka słów o wybitnych zastępach.

Wspomniałem już, że w dobrej drużynie zawsze - im częściej tym lepiej - pojawiają się zastępy wyraźnie znaczące w życiu harcerskiej gromadki. Takim zastępem były kilka lat wcześniej Orły, takim były Bobry. Takim świetnym zastępem były Jelenie. Jeleniom przewodził znakomity instruktor, ba! autentyczny wódz harcerski Jerzy Hellmann. Z zastępu tego wyszła cała gromadka młodych ludzi, którzy w latach trzydziestych i później wywarli poważny wpływ na oblicze drużyny, a dwaj pierwsi z poniżej wymienionych czynnie przyczynili się do restaurowania Szesnastki już po wojnie, w latach pięćdziesiątych. Jeleniami byli: Stefan Jedliński - w Polsce Ludowej jeden z czołowych organizatorów elektryfikacji wsi, Andrzej Pfeffer - jeden z wybitnych

twórców "polskiej siarki", Jerzy Kaczyński - dzisiaj poważny lekarz, Jerzy Kobyliński - który zginął w czasie wojny, Jerzy Mierzejewski - syn malarza i sam tęgi malarz, profesor Wyższej Szkoły Filmowej, Stanisław Zieliński - znany pisarz. Takim też zastępnymi byli właśnie Cietrzewie, które poprzez swego zastępowego Stefana Jedlińskiego uważały się za synów Jeleni. Cietrzewie uformowane w 1931 roku, rozwiązane w 1936 roku, gdy większość już starszych chłopców objęła własne nowe zastępy, w rozkazie rozwiązującym otrzymały wyróżnienie: "zastęp dobrze zasłużył się drużynie". Było to, po Losiach, drugie tego rodzaju jakże chlubne pochwalenie. Następnie tak dla drużyny zasłużone były właśnie o rok młodsze Tury. Pierwszym zastępowym Cietrzewi był Felicjan Loth, drugim był zamordowany w Oświęcimiu Jan Perkowski. Trzecim, najdłuższym przewodzącym, był Stefan Jedliński, dziś jeden z najbliższych Szesnastce Zawiszaków. Jedliński ostаточно ukształtował charakter tej zdolnej gromadki chłopaków, z których wyszło aż trzech podharcistrzów /Jan Bugajski, Andrzej Zieliński i opowiadający te słowa/, a czterech innych - Jan Pfeffer, Jan Pawłowski, Tadeusz Łada i Andrzej Kontkiewicz również wywarło istotny wpływ na życie Szesnastki. Przepraszam, że o Cietrzewiach tyle mówię, ale łatwo się domyślić, iż mam osobiste usprawiedliwienie. Zastępowymi Turów byli dwaj wybitni Zawiszacy, których rola w Szesnastce była ogromna: Włodzimierz Giżycki - drużynowy Zawiszy oraz Michał Wojnicz-Sianołęcki - świetny drużynowy konspiracyjnej Szesnastki w latach hitlerowskiej okupacji. W Turach znaleźli się chłopcy tak świetni, jak Sławomir Potępski, Jerzy Gorzycki, Wojciech Sarnecki, Andrzej Sanecki, Jerzy Wojno, Juliusz Chomicz, Wojciech Okupski. To oni, razem z Cietrzewiami tuż przed wojną, istotnie wpływali na oblicze drużyny. I Cietrzewie i Tury były znakomitą przykładem

zastępów, w których osobowość i inteligencja chłopców trafiła i zespoliła się z indywidualnością i wodzowskimi skłonnościami zastępowych. Tak w dziejach każdej drużyny powstają znaczące zastępy. W ogóle we wszelkich układach społecznych tak właśnie powstają twórcze komórki zespołowego działania.

Ale dość o wybitnych zastępach. Po obozie w Rybniku Szesnastka pojechała na Złot w Spale. W konkurencjach spalackich wzięły udział trzy zastępy: Oldboys - mieszanka starszych chłopców, Cietrzewie - raz jeszcze zgromadzone dla celów reprezentacyjnych oraz Tury. Jako całość drużyna brała udział w obozownictwie - nasz zawsze pomysłowo i starannie zbudowany obóz był oceniany w każdym aspekcie i w tej domenie uzyskaliśmy tytuł "bardzo dobrej drużyny Rzeczypospolitej". W zawodach między zastępami rozgrywanymi w ramach każdej chorągwi, w biegu harcerskim, wyścigach dwudniowej, samarytance, łączności i pionierce, trzy nasze zastępy w sumie obdarowały Szesnastkę punktacją plasującą ją wśród pięciu najlepszych drużyn chorągwi stołecznej. Na wielkiej arenie zlotowej, a potem na zlotowej estradzie, Cietrzewie demonstrowały rowerowy, akrobatyczny pokaz, który wzbudził entuzjazm. Złot w Spale był naszą ogromną satysfakcją i w przededniu 25-lecia istnienia drużyny raz jeszcze znaleźliśmy się wśród najlepszych drużyn polskich.

A w tym czasie ranga "najlepszej polskiej drużyny" nie była już hyle jaka. W tym samym okresie, w którym Szesnastka przeżywała swój proces wzrostu - całe harcerstwo również poważnie się zmieniło. Tak, jak kryzys Szesnastki w pierwszej połowie lat dwudziestych był elementem ogólnego kryzysu w harcerstwie, tak sukcesy Szesnastki z lat następnych rozgrywały się na tle stale rozwijającego się harcerstwa. I w tym okresie również Szesnastka była elementem, częścią całego ruchu - w żadnym natomiast

razie jakąś tam oazą na pustyni. To nie była pustynia - to był już piękny ogród i bogaty sad. Lata trzydzieste to świetne lata całego Związku Harcerstwa Polskiego. To trzeba widzieć bardzo dokładnie. Szesnastka była drużyną doskonałą, ale wśród wielu innych i dobrych, i bardzo dobrych, i doskonałych.

Tym większa zresztą dla nas chwala.

W 1936 roku odbył się pięciodobowy obóz w Czerwenogrodzie nieopodal Zaleszczyk, na pięknej ziemi podolskiej. Obóz i długi i wielki: 74 uczestników pod komendą Włodzimierz Głogockiego. Był to, pod względem programowym, obóz w całości nowym stylu. Szerokie przestrzenie podolskie znakomicie nadawały się do wielogodzinnych gier, wielokilometrych, całodziennych biegów, do pysznych wycieczek. Jerzy Kobylński tym razem już nie tylko leczył okoliczną ludność, ale zbudował na rzece turbinę elektryczną, z której prąd oświetlał - słabo ale jednak - namioty. Któregoś dnia Dniestrem, czajkami, spłynęliśmy do Zaleszczyk. Był to obóz, którym drużyna naprawdę doskonale zamykała swoje 25-lecie.

Prócz obozów letnich odbywały się stale obozy zimowe. Mogły trwać dłużej niż tydzień, gdyż wtedy akurat wydłużono bożonarodzeniowe ferie szkolne do prawie trzech tygodni. Od 1931 roku aż do 1936 roku, każdego grudnia jechaliśmy na obóz zimowy do Zakopanego, do willi "Wierzbianka" na Pardołównie. Pierwszy obóz w "Wierzbiance" - dwunastu chłopców, potem jeździło i kilkudziesięciu. Były to obozy przede wszystkim narciarskie. Uczyliśmy się jeździć na deskach. Dużo i codziennie chodziliśmy w góry. Ćwiczeń ściśle harcerskich było stosunkowo mało. Natomiast kwitło, w rozmaitych formach, życie towarzyskie. Gadano, dyskutowano, spierano się na wszystkie możliwe tematy. Latano do Zakopanego na... wodę pstrągową. Obozy te były niezmiernie wesole.

Tradycyjne obchody Sylwestra, przypominające nieco chrzty równikowe na okrętach /może efekt morskich szkół Zyga Wierzbewskiego/, przygody czasem i niebezpieczne, narciarskie, skupienie mieszkaniowe - wszystko razem sprawiało, że rola obosów zimowych w procesie integracji drużyny była niezmiernie wysoka. Ten naprawdę dobrze czuł się w Szesnastce i z tym Zawissakom było dobrze, kto jeździł z nami nie tylko w lecie, ale i w zime.

Taka drużyna święciła kolejno w latach 1935 i 1936 dwa jubileusze. Jubileusz mały - pięciolecie "Sulimczyka" w 1935 roku i jubileusz wielki - 25-lecie drużyny - 20 grudnia 1936 roku.

16 lutego 1935 roku obchodzono pięciolecie "Sulimczyka". Już mówkiem o roli pisma w życiu drużyny. Po zastępie Bobrów, opiekę nad "Sulimczykiem" objął zastęp Łosi, a po długim redaktorskim naczelnym sprawowanym przez Gustawa Radwańskiego - redaktorem został Jan Perkowski, wtedy również zastępowy Cietrzewi. On to właśnie wciągnął Cietrzewi - Tadeusza Ładę, Jana Pawłowskiego, Jana Pfeffera, piszącego te słowa - do pracy w redakcji, początkowo technicznej, potem autorskiej i redaktorskiej. We wrześniu 1934 roku Perkowski przekazał pałeczkę redaktora naczelnego Romanowi Różyckiemu, który w krótkim, ledwo ośmiomiesięcznym czasie, poważnie zwiększył atrakcyjność i poziom naszego dwutygodnika. W połowie lutego 1935 roku wydany został jubileuszowy numer pismka i urządzona uroczysta herbatka dla rodziców i starszych Zawissaków. Publicznie stwierdzono, że "Sulimczyk" dobrze zasłużył się drużynie.

W kwietniu 1935 roku redaktorem naczelnym "Sulimczyka" został niżej podpisany - będący równocześnie zastępowym Rysiów. Prowadziłem to pismo razem z Tadeuszem Ładą do stycznia 1937 roku. Po nas redakcję objęła następną dwójka: Andrzej Saper -

chłopak z Rysiów /syn wybitnego chirurga warszawskiego, sam zapowiadający się jako talent literacki, który w dorosłym życiu został anawą problematyki niemieckiej i wykładowcą na wyższych uczelniach politologicznych/ oraz Jerzy Łada - trzeci z rodu Ładów w "Sulimczyku". Ci dwaj doprowadzili "Sulimczyka", aż do ostatniego przed wojną numeru, w czerwcu 1939 roku. Ekipie redaktorskiej zawsze służyli jeszcze i tak zwani administratorzy pisma, którzy przyjmowali prenumeratę, prowadzili kasę, dbali o kolportaż. Kiedyś takim administratorem był Jan Maciek Pfeiffer; ostatnim przed wojną był Zdzisław Haman, brat Janusza. Oba Hamanowie bardzo byli w Szesnastce słynni, Janusz wyróżnił na wybitnego polskiego uczonego agronoma, dziekana Wydziału Techniki Rolniczej warszawskiej SGGW oraz członka PAN.

Zmieniali się redaktorzy, zmieniali się zastępy wokół "Sulimczyka", pozostawało pismo - to lepsze, to gorsze - ale zawsze odgrywające ogromną rolę w kształtowaniu się postawy Zawiszaka. Drużyna lubiła swego "Sulimczyka", choć każdy redaktor toczył nieustanne boje z obojętnością pisarską swych przyjaciół, którzy - zgodnie z prawem natury - ani rusz nie chcieli do "Sulimczyka" pisać, a tylko chcieli go czytać. Toteż zawsze pisywało paru - trzech, czterech - a czytawali wszyscy.

Jeżeli wspomniemy "Sulimczyka" musimy przywołać postać Tadeusza Lubańskiego, popularnego "Lulu". Umarł ciężko schorowany w 1969 roku; pamięć o nim bardzo jest żywa w 80 WDH, dla której był jej "Zygmunt Wierzbowski". W "Sulimczyku" miał on swą wielką kartę jako grafik, twórca projektujący i odbijający własnoręcznie na powielaczu kolorowe okładki, tak bardzo podnoszące elegancję numerów. Tadeusz Lubański wstąpił do Szesnastki dopiero na rok przed maturą. Raz już to powiedziałem, że ci wstępujący tak późno zawsze okazywali się świetnymi harcerzami. Student

architektury, znakomity "technik" pionierski, w Szesnastce przyczynił się nie tylko do okładek naszego pisma, ale - przed wszystkim - do wzrostu poziomu naszych umiejętności pionierskich i obozowniczych. Wiele uczyniwszy dla naszej drużyny - objął 80 WDH, nadal pozostając w Szesnastce.

O wiele większy był - oczywiście! - jubileusz 25-lecia drużyny obchodzony w grudniu 1936 roku, tuż przed Bożym Narodzeniem i wyjazdem na kolejny obóz zimowy. 25 lat czciliśmy hucznie i różnorodnie. Ustanowione zostały dwie honorowe odznaki 25-lecia. Jedną otrzymali wszyscy drużynowi Szesnastki, dawni komendanci obozów drużyny, przewodniczący KPH, Honorowi Zawiszacy. Drugą - w rysunku graficznym nieco inną - otrzymaliśmy my wszyscy, ówczesni członkowie drużyny. A było nas wtedy niemal 150 działających w 15 zastępach, w czterech plutonach działających i na terenie naszej drogiej, starej budy Staszica, i w czterech innych szkołach warszawskich: w Liceum Francuskim, u Szadebergowej, Goldmanowej i Stopczykowej - Zawiszacy prowadzili tam gromady zuchowe. Tak liczna drużyna otrzymała, właśnie w 25-leciu, swój hymn specjalnie napisany i skomponowany przez pana Stefana Bugajskiego, jednego z najstarszych harcerzy polskich, ojca Jana i Stanisława Bugajskich - dwóch Zawiszaków. Hymn zaczynał się tak: "Śmiało patrz i stój w szeregu, a mocne czuwać innym ślij. Wytęż krok gdy trzeba biegu, słabości więzy zawsze rwij. Czuj duch, bo to Szesnastka, czuj, bo to nie garatka, czuj! harcerzy jest nas ponad stu. I zespołonych, czuj, i wyrokionych, czuj, gotowych stawić czoła zku! Klaw-boy!" Ten hymn śpiewaliśmy zawsze potem w specjalnie uroczystych chwilach.

Kulminacją jubileuszu była uroczysta choinka, ośmiodzienna impreza, odbywająca się w całym gmachu szkolnym równocześnie.

Był Apel Poległych Zawiszaków. Specjalny rozkaz. Uroczyste przyrzeczenie młodzików, jak zawsze odebrane przez Zygm. Wierzbowskiego. Pojawili się i najstarsi Zawiszacy: Janusz Rudnicki i Stanisław Olewiński. Honorowy Zawiszak ks. Jan Mauersberger wygłosił gawędę. Wydane specjalnego "Sulimczyka". I urządziliśmy pyszną wystawę. Albumami, fotografiami i modelami - na przykład urządzeń obozowych - pokazaliśmy życie drużyny.

Bardzo wiele z tych eksponatów było owocem pewnego wymagania, którego w Szesnastce starannie przestrzegano. Zdający na stopień ćwika /a był to trzeci z kolei, począwszy od najniższego młodzika, stopień w harcerstwie męskim; zdawali na ćwika chłopcy mniej więcej piętnasto- szesnastoletni, po pomyślnym złożeniu egzaminu zyskując prawo przybicia do krzyża złotej lilijki/ musieli przedstawić tak zwane prace okazowe, coś poważnego, zrobionego zupełnie samodzielnie - mógł to być wytwór manualny lub organizacyjny. Na ćwika robiono, czasem reperowano, sprzęt obozowy i pionierski, na ćwika robiono meble do izby i oprawiano książki do biblioteki, na ćwika robiono kajaki, narty, odbiorniki radiowe, ktoś porządkował archiwum, a ktoś inny - np. niżej podpisany - uporządkował dość zaniedbaną a liczną bibliotekę drużyny. Prace na ćwika stanowiły zawsze jakąś wartość materialną, niekiedy również bardziej duchową. Prace na ćwika uzupełniały majątek ruchomy drużyny, służyły estetyce izby, a razem z podobnymi, wykonywanymi w trakcie egzaminu na rozmaite sprawności /np. stolarza, introligatora itp./, uczyły młodych ludzi pewnej solidarności, akuratności - z tym lepszym rezultatem, że o ile podobne prace manualne wykonywane w ramach lekcji szkolnych były na ogół byle jak zżywane przez uczniów, nawet uczniów-harcerzy, o tyle te "na ćwika" traktowane były i przez zdających, i przez egzaminatorów z ogromną powa-

gą, jako że "złota lilijka" to był stopień cieszący się autorytetem wśród harcerzy. Były to prace wymagające często wielomiesięcznych nawet działań i zabiegów, systematycznego realizowania pewnych zobowiązań. Otóż, gdy zbliżyły się uroczystości 25-lecia - bardzo wielu kandydatów na ówika lub zdających na niektóre sprawności otrzymywało terminowe zadanie wykonania tego, czy innego eksponatu na wystawę.

Na wystawie wyłożone zostały również kroniki zastępów, dokumenty i fotografie z dziejów drużyny.

Uroczystość jubileuszową urozmaiciły, jak każdą choinkę, specjalne pokazy - i bardziej sentymentalne i bardziej kabaretowe.

Istotnym bardzo elementem uroczystości 25-lecia było wydanie książki - 154 strony sporego formatu, plus arkusze fotograficzne - "25 lat dziejów Szesnastki". Opracował ją młody podówczas, ledwo osiemnastoletni chłopak - Roman Różycki, były redaktor naczelny "Sulimczyka", obdarzony pewnym talentem pisarskim i publicystycznym - już wówczas od jakiegoś czasu znajdujący się poza drużyną i poza harcerstwem. Powstała ona z inicjatywy Zygmunta Wierzbowskiego. Każdy napisany kolejny rozdział przynosił Roman na zebranie, które odbywało się w mieszkaniu państwa Jedlińskich, na ulicy Wepólnej obok Ogrodu Pomologicznego. Tam rozdziały wspólnie dyskutowano, uzupełniano, nadawno im kształt ostateczny. Książka wydana "nakładem funduszu im. śp. Zygmunta Piaskowskiego", w beżowej okładce przyozdobionej rysunkiem kasetek zawieszackich, drukowana w Zakładach Drukarskich Piekarniaka /Warszawa, ulica Ordynacka 3/ jest niemal zupełnie unikalnym wydawnictwem harcerskim. Żadna inna drużyna nie zdobyła się na tego rodzaju edycję - na przykładzie jednej drużyny mogącej być przyczynkiem do dziejów harcerstwa w Polsce. Pomijając już nie...

zmierną wartość tej książki dla postawy samych członków Szesnastki - książka ta stanowi poważny wkład w historię polską lat tak zwanych międzywojennych. W miarę upływu czasu jej wartość staje się coraz większa. Ocalone egzemplarze "25 lat dziejów Szesnastki" znajdują się do dzisiaj w prywatnych bibliotekach, jak również są one w największych księżnicach publicznych: w Bibliotece Powszechnej na ul. Koszykowej, w Bibliotece Uniwersyteckiej w Warszawie, w Bibliotece Narodowej. Archiwum Szesnastki opiewało się w Powstaniu Warszawskim. Przytaczane w tej książce ustalenia, cytaty z dokumentów kronik, reprodukcje fotografii umożliwiły mi dziś, po latach, powtórna refleksję nad dziejami drużyny. Gdyby w 1936 roku nie było inicjatywy Zyg, pracy autorskiej "Rurwy" /tak nazwaliśmy Romka Rózyckiego/, edytorskiej krzątającej pani Jedlińskiej i innych naszych rodziców z KPH - napisanie dzisiaj tych kilkudziesięciu stron o już 70-letniej historii drużyny byłoby po prostu niemożliwe. Z czułością tedy pochylam się nad zachowanym egzemplarzem "Dziejów Szesnastki" i myślę o Romanie Rózyckim w Oświęcimiu zamordowanym przez hitlerowców.

Szesnastka uczciła swe święto pewnymi decyzjami natury również społecznej. Postanowiła otoczyć opieką którąś ze słabszych drużyn warszawskich. Chorągiew zdecydowała, że trzeba się zaopiekować 31 WDH, niegdyś drużyną dobrą, wtedy już słabą, znajdującą się w szkole powszechnej na placu Narutowicza. Wydelegowano paru starszych - Kazimierza Koźniewskiego, Tadeusza Ładę, Stefana Kozłowskiego. Drużynowym 31 WDH został Koźniewski i prowadził ją aż do wybuchu wojny. KPH Szesnastki i sama Szesnastka świadczyła tamtej drużynie sporą pomoc materialną - potem już niepotrzebną, gdyż 31 WDH z powrotem stanęła o własnych siłach.

25 lat Szesnastki! Gdy dziś obchodzimy siedemdziesięciolecie Szesnastki - 25 lat wydaje się okresem krótkim. Wtedy było to bardzo dużo. Akurat tyle, ile istniało całe harcerstwo. W ciągu tych swoich 25 lat Szesnastka, jedna z pierwszych, najstarszych drużyn Warszawy, miała trzy okresy. Pierwszy - gdy była drużyną silną i dobrą, drugi - gdy była drużyną słabą i rozpadającą się, i trzeci - od 1925 roku aż, jak już to teraz wiemy, po samą II wojnę światową, gdy była drużyną znakomitą, bardzo silną. 25-letnie drużyny obchodziła stu pięćdziesięcioosobowa gromada młodych ludzi bardzo zżytych, doskonale się ze sobą czujących - nie ma ani słowa przesady w określeniu, iż tworzyli oni coś w rodzaju wielkiej, bardzo związanej uczuciem rodziny. Jak dalece określenie to było prawdziwe okazały wydarzenia wojenne i okupacyjne, w czasie których egzamin z przyjaźni zadziergniętej między Zawiszkami został zdany w najwyższym stopniu. Szesnastka lat trzydziestych, Szesnastka w czasie swego pierwszego jubileuszu - to istotnie była jakaś rodzina.

Była to również gromada chłopców znakomicie wyćwiczona w technice harcerskiej i sprawna w społecznych, rozlicznych działaniach i służbach - wspominałem o pomocy świadczonej niewidomym, o służbie w świetlicy dla zaniedbanych dzieci, o dyżurach felczerskich w pogotowiu ratunkowym. Oczywiście te wszystkie i inne działania społeczne - jak pomoc instruktorska dla drużyn nieco słabszych - realizowane były nie przez całą drużynę, ale przez pewną grupkę harcerzy z Szesnastki, tych - czasem tylko paru - którym ten typ pracy szczególnie przypadł do serca. Ale przecież każde wychowanie, w tym również wychowanie w drużynie harcerskiej, to zawsze podejmowanie prób rozmaitego oddziaływania, różnorodnymi sposobami, na rozmaite, często małe zespoły. Wychowanie, które nie posługuje się bardzo zróżnicowanymi, nie-

mal indywidualnymi działaniami, które ogranicza się do działań masowych, nie przynosi na ogół rezultatów.

Jeżeli po latach stwierdzamy, że wielu wychowanków Szescnastki z najlepszymi rezultatami spełnia rozmaite funkcje i zadania w państwie, społeczeństwie, że wielu z nich miało i ma rzeczywiste zasługi w rozwoju polskiej gospodarki, administracji, nauki i sztuki /o wielu już w trakcie tej gawędy wspominałem, o innych wypadnie mi jeszcze mówić/ - to można się zastanowić, w jakim stopniu jest to rezultat tego wszystkiego, co się w Szescnastce działo. Kiedyś spierałem się - podczas okupacji - z Aleksandrem Kamińskim na temat harcerskiej metody wychowawczej. Reprezentowałem młodzieńczy wówczas pogląd, iż to nie harcerstwo wychowuje, to znaczy stwarza pewne dodatnie społecznie postacie, pewnych społecznie pożytecznych ludzi, ale że do organizacji o tym charakterze co harcerstwo przychodzi przede wszystkim młode dziewczęta i młodzi chłopcy już z góry przez swą naturę dysponowani do takiego właśnie, społecznie użytecznego, trybu życia; harcerstwo tylko rozwijało pewne wrodzone cechy charakteru. Kamiyk ze mną dyskutował, bardzo łagodząc i wyuktelniając moje poglądy, jednak większą wagę inicjatywy charakterotwórczej przyznając metodom wychowawczym, które potrafią nie tylko rozwinąć pewne cechy wrodzone /to zawsze!/, ale nawet je przekształcić, a więc uformować. Dzisiaj, po latach nie rezygnując ze wszystkim z moich poglądów - gotów jestem przyznać o wiele większą rację Kamiykowi. I właśnie w Szescnastce z pełną świadomością paru czołowych instruktorów tej drużyny, z Gienzbowskiem na czele, a instynktownie przez całą gromadę jej przytoczonych, zastępowych i innych funkcyjnych, stosowane ze znakomitym rezultatem te wszystkie chwyt i zacięgi metody harcerskiej - a więc zbiórki i gry, obczy i prace ręczne, i społeczne, zabawy

towarzyskie i zajęcia obowiązkowe, konkursy i wszelkiego rodzaju eliminacje, system zastępowy w całym jego bogactwie form, które w ostatecznym rezultacie zdołały ukształtować u pewnej ilości młodych ludzi /nie wszystkich oczywiście!/ postawę obywatelstwa wobec podejmowanych przez siebie dobrowolnie prac, a więc również prac zawodowych, postawę służby społecznej i bardzo silnie akcentowaną postawę służby narodowi, ojczyźnie, państwu. Nie wolno przy tym sądzić, iż tego rodzaju osiągnięcia wychowawcze były szczególnym i odosobnionym osiągnięciem Szesnastki. Takie mniemanie byłoby głęboko fałszywe. W innych drużynach - jeżeli były to drużyny dobre - osiągnano również pozytywne wyniki wychowawcze. Szesnastka była drużyną, której wyszkolenie techniczne i sprawność organizacyjna chłopców pozwoliła zdobyć tytuł najlepszej w chorągwi czy w Związku, ale Szesnastka nie była jakąś wyjątkową drużyną. Drużyn mających prawo szczycić się rezultatami wychowawczymi - choć nie wszystkim udało się zdobyć czołowe tytuły w zawodach czy na zlotach - było dużo. Chciałbym, moi drodzy, byście zdawali sobie sprawę, iż mówiąc o Szesnastce mówię o niej jako o przykładzie, przykładzie, o którym mówić mi jest najłatwiej - ale jest to tylko przykład pracy jednej z harcerskich drużyn. Ta gawęda mogłaby nosić tytuł: "Na przykład Szesnastka..."

Szesnastka miała prawo - w dniach swego jubileuszu - uważać się za jedną z najlepszych drużyn Rzeczypospolitej. Ale była to również drużyna może zbyt ambitnie zapatrzona tylko w swój krąg harcerski - była to przecież drużyna jednej szkoły gimnazjum, a to zawsze jakoś koncentrowało się na zamkniętym terenie działania, który drużynie zupełnie wystarczył. Szesnastka delegowała swych instruktorów do pracy w innych drużynach, ale sama nie rozprzestrzeniała się na inne tereny, nie otwierała

na całe ZHR, nie budziła w swych instruktorach ambicji uczestnictwa we władzach harcerskich. ZHP był tłem jej działania, ale nie był celem. Celem było wychowanie w drużynie obywateli kraju. Stosunkowo mało starszych chłopców, jak na tak silną drużynę, osiągając stopień instruktorski, pragnęło działać w wyższych instancjach ruchu harcerskiego, w komendzie chorągwi czy w Głównej Kwaterze. Stosunkowo mało Zawiszaków zapisało się w historii całego ZHP, choć bardzo wielu zapisało się na pokojowych czy na wojennych kartach współczesnej historii państwa polskiego.

Drużyna wspierana była przez doskonale pracujące Koło Przyjaciół Harcerzy. Najpierw pod kierownictwem inżyniera Jana Girtlera, potem pani profesorowej Stefanii Jedlińskiej, wreszcie krótko przed wojną, inżyniera Jana Szeronosa, przy gorącym i niezmiernie czynnym współudziale matek tak blisko z drużyną związanych jak pani Walentyna Zielińska, pani Helena Pfefferowa, pani Konczykowska, pani Schellenbergowa i wiele innych. Koło Przyjaciół drużyny było ważnym elementem i działań wychowawczych, i fundowania świetności harcerskiej tej gromadki chłopców.

Na kilka lat przed wojną opiekunem drużyny z ramienia szkoły został nauczyciel gimnastyki, a później polskiego - Witold Berezecki, sam młody podówczas instruktor harcerski, który z nami zaprzyjaźnił się bardzo, brał udział w naszych obozach i pracach, a potem - po wojnie już - odegrał istotną rolę w reaktywaniu drużyny.

25-lecie obchodziła więc drużyna silna, liczna, mająca duży zespół starszych chłopców i instruktorów ogromnie do niej związanych. Mająca izbę, sztandar, pismo, hymn, wielki magazyn sprzętu obozowego i turystycznego, zasobną bibliotekę /z której za mało korzystano!/ i bogate archiwum. Ta drużyna cieszyła się

uznaniem w chorągwi, w szkole, opieką rodziców. I sama umiała się cieszyć swym zawieszackim życiem. Umiała się dobrze bawić w Szesnastkę. Tak jest - bawić w Szesnastkę, co uznaję za wielką umiejętność, za wielki sukces życiowy; umieć się bawić w to coś społecznego, co nam przynosi radość i zadowolenie, a równocześnie jest jakąś społeczną korzyścią. Można się bawić w swój piękny i pożyteczny zawód, można się bawić w swą twórczość i w swą rodzinę. Nie trzeba się gorszyć słowem zabawa. Można się pięknie bawić w Polskę. Myśmy się pięknie i pożytecznie bawili w Szesnastkę.

Pozwólcie na kilka słów dygresji, gdyż widzę już Wasze zdziwione miny. Zabawa w Szesnastkę? Jakże to? Mówiłem o wychowawczych skutkach Szesnastki, wspominałem - i wspominać będę - o tym czym byli i są Zawieszacy, jakie korzyści dali z siebie swojemu społeczeństwu - a teraz mówię o zabawie. Zabawa w naszym mniemaniu to jakaś rozrywka, coś niepoważnego, coś co nie pasuje Wam do solidnej pracy w dobrze rozwijającej się drużynie.

Otóż mam zupełnie inny pogląd na istotę i sens zabawy. To zabawa jest dla mnie najpiękniejszą częścią życia. Gdy memu synowi i jego żonie składałem publicznie ślubne życzenia, nie powiedziałem ani słowa o obowiązkach - mówiłem, by się dobrze ze sobą bawili, by życie ich wspólne było dla nich piękną zabawą i przede wszystkim zabawą. Praca nosi w sobie znamię pewnego przymusu, zabawa - radości! To co sprawia nam radość przestaje być pracą, staje się właśnie zabawą. Gdy fizyk z radością rozwiązuje swe zadania - to nie jest dla niego praca trwająca osiem godzin dziennie, to jest zabawa, której poświęca życie. Umieć bawić się tym co się tworzy, tym z czego się żyje, umieć bawić się z ludźmi sobie najbliższymi, rodziną, przez całe życie umieć bawić się pracą zawodową, twórczą i społeczną - to znaczy

czierpać z nich najwyższą satysfakcję moralną, obywatelską, zawodową i twórczą. Można się bawić swym pięknym zawodem, można się bawić swą twórczością, szczęśliwe uosucia są najpiękniejszą naszą zabawą. Można się pięknie bawić w Polskę. Myśmy się pięknie i bardzo pożytecznie bawili w Szesnastkę.

Zrozumieliście już co pragnę wyrazić, gdy mówię, że bawiliśmy się w Szesnastkę. Wam, moi starzy przyjaciele z drużyny, dziękuję za tę "zabawę w Szesnastkę", dziękuję najpiękniej. Wam przyjaciele z dzisiejszej drużyny, tej zabawy w Szesnastkę życzę z całego serca.

Gdy zmęczeni, ale szczęśliwi, późno w nocy wracaliśmy z juti-leuszowej choinki do domów, a niejeden został przy tym pochwalony publicznie za wkład w pracę drużyny i w organizowanie juti-leuszu, nikt z nas nie przypuszczał, że tej znakomitej "zabawy w Szesnastkę", mamy przed sobą zaledwie dwa i pół roku.

Te dwa i pół roku wprawdzie nie przyniosło drużynie żadnych istotnych, wyraźnych, łatwo dostrzegalnych zmian - Szesnastka była nadal organizmem bardzo silnym i okrzepłym - za to pojawiły się pewne, raczej niesoczekiwane, trudności, które - możemy tak je określić - były kłopotami wzrostu. Dość trudnymi kłopotami wzrostu. Linia ciągłego rozwoju jakoś proste wiodąca od 1925 roku uległa w tym czasie krótkim zasadniczo, lecz wcale nie tak krótkim w całym rachunku lat 1925-1939 zwichrowaniom.

Tuż przed Bożym Narodzeniem 1938 roku ukazał się czternasty /ogólnego zbioru 151/ numer "Sulimczyka", w którym pod nagłówkiem "Wolna Trybuna" publicysta podpisujący się "Żwawy Cietrzew" dokonał dość gwałtownej oceny pracy w drużynie, oceny, która - z perspektywy wielu lat wydaje się niesprawiedliwa, była ona na pewno polemiczna i celowo przesadzona, by wywołać reakcję, lecz w której odzwierciedlały się jednak trudności

ówczesnej drużyny. Niech wolno mi będzie zacytować nieco dłuższy fragment i jego pointę: "Dość z tym mazgajstwem! Dość z wielkim narzekaniem i malkontemctwem. Jakże często słyszemy teraz skargi okrutne "biednych harcerzy" i "czułych rodziców", Skargi na lekcje, na czas, na huk roboty, na pracę, że wątły, że pracuje, że nie może. Na zbiórkę - trzy zastępy stawiają się w si-le... człowieka, a sami zastępowi, np. nie umieją sygnalizacji. Czas, praca itd. A Drużyna i KPH patrzy przez palce, bo to - oczywiście - młodzi, zapracowani, nasze dzieci.

Doprowadza ta pobłażliwość do strasznych skutków: chłopiec nie przyzwyczaja się do stawiania pracy w harcerstwie na pierwszym planie swego aktualnego życia, odzwyczaja się od spełniania rozkazów, od chodzenia na zbiórki, od nauczania się harcerskich umiejętności, lekceważy Drużynę i myśli, że on jej łaskę robi, że... nosi krzyż i przychodzi na zbiórki.

Niedawno widziałem starego chłopaka - już powinien być zastępowym - który na rozkaz drużynowego włożenia pantofli obraził się i wyszedł ze zbiórki. Jeszcze jest w Drużynie. Inny skom-promitował dobre imię 16-stki na instruktorskiej imprezie Cho-rągwi - też jeszcze jest w Drużynie. Znacomity przykład dla młodszych.

Trzeba zapomnieć o złej tradycji ostatnich trzech lat Szes-nastki, gdy powiększywszy ją licztowo zapomniano o należytych przytrzymaniu cugli różnym panom".

Przepraszam za ten przydługi cytat. Ale on właśnie chyba należycie oddaje ferment, jaki trawił wtedy drużynę. Młodzieńki publicysta mówi o trzech latach ostatnich, a więc kryzys rozpoczął się gdzieś w okolicach jubileuszu. Na kilka tygodni przed opublikowaniem w "Sulimczyku" tej krytyki, jesienią 1938 roku,

drużynowym zostaje phm Stefan Jedliński, z którym wiązano nadzieję, iż "odnowi" drużynę.

O co szło? Co było istotą kryzysu? Autor w "Sulimczyku" napisał wyraźnie: "powiększywszy ją - drużynę - liczbowo zapomniano o należytych przytrzymaniu cugli". Inaczej mówiąc, drużyna wraz z jej suchowymi przybudówkami tak się powiększyła, że wystąpiły trudności z doborem zastępowych, należytych zastępowych, a bez dobrych zastępowych praca w drużynie musi kuleć. I drużynowy i rada drużyny, i "olimp" - ta rada najstarszych członków drużyny, od paru już lat wspierająca drużynowego i stanowiąca jak gdyby kościół Szesnastki - otóż te wszystkie instancje uległy, gdzieś na przełomie 1936/37 roku, fascynacji ilościowego wzrostu, fascynacji pewnej bardzo trudnej dla każdego organizmu społecznego mającego oczywiste sukcesy - mianowicie pewnej gigantomanii. Znacze to określenie: zawrót głowy od sukcesu. Zapomniano o proporcjach niezbędnych w pracy wychowawczej - o proporcjach pomiędzy ilością dobrej kadry zastępowych a masą członków. Drużyna mogła tyle tylko powiększać się ilościowo - ilu miała dobrych zastępowych. Tymczasem zaczęto forsować zasadę nieco inną: im większa drużyna tym lepiej, zastępowi i tak się znajdują! Więc przyjmowano do drużyny młodych chłopców, oczarowanych wspaniałością Szesnastki - a tymczasem nadal utrzymywała się, jak w całym ówczesnym harcerstwie, piramida o szerokiej podstawie, ale zwężająca się gwałtownie ku górze - dużo młodych chłopców w drużynie, lecz potem, gdy stawali się oni nastolatkami, w większości porzucali harcerstwo; zostawali tylko ci, którzy czuli w sobie instynkty i pasje pedagogiczne bądź organizatorskie, a tych okazało się zbyt mało na dobrych zastępowych dla tak rozbudowanej drużyny.

W drużynie było dużo suchów, dużo młodzików i wywiadowców,

relatywnie mniej/choć rośli oni w liczbach bezwzględnych -
- sumowała się praca lat/ ćwików i harcerzy orlich, Harcersy
Rzeczypospolitej i podharcistrzów. Harcistrzen nowym, trze-
cim po Wierzbowskiu i Staweckim harcistrzen Szeznastki, został
Gustaw Radwański. Ale nie piramida wieku była problemem - tylko
owa szeroka młodość drużyny, którą należało opanować, lecz któ-
rą opanować okazało się wcale niełatwo. Problem wzrostu. Po-
ciągnął on za sobą rozluźnienie dyscypliny i jakości pracy,
które - jak widać z zacytowanego artykułu - zaalarmowało star-
szych Zawiszaków. Tym bardziej, że równocześnie rozpoczęły się
- a to już były pewne przypadki losowe - kłopoty z obsadą druży-
nowego, co oczywiście pogłębiało te trudności, jeszcze nie
przeradzające się w kryzys, ale już przez niektórych instruktorów
zawiszackich odczuwane.

Ale wróćmy do chronologicznej kroniki tych dwóch i pół lat.

W kilka dni po uroczystościach jubileuszowych pojechaliśmy
na obóz zimowy do Sławaska w Karpaty Środkowe. Pierwszy od lat
obóz zimowy urządzony nie w Zakopanem. W Sławasku było bardzo
dużo bardzo dobrej - i trudnej - jazdy na nartach. Była intensyw-
na, piękna praca społeczna, zorganizowaliśmy wielodniową świet-
licę dla tłumnie przychodzących dzieciaków z biednych, górals-
kich wsi. Był z nami nasz opiekun szkolny profesor i podharc-
mistrz Witold Berezcki. Komendantem obozu był Włodzimierz Gi-
zycki. Pod komendą "Dynka" - oboźnym był pkm Jan Bugajski -
mieliśmy też najbliższy obóz letni w 1937 r. W Charzykowie
nad jeziorem Środkowego Pomorza w Borach Tucholskich. Ze wzglę-
du na wielką liczbę chłopców, obóz zorganizowano w dwa sąsied-
jące ze sobą podobozy - by liczba uczestników nie przemieniała
imprezy harcerskiej w masową kolonię letnią. Po pełnym gier
i wycieczek Charzykowie w końcu lipca, czterdziestu Zawiszaków

wyjechało, jako członek parusetosobowej delegacji ZHP na kolejne Jamboree skautowe do Holandii do Vogelensang nie opodal Haarlemu. Podróż pociągiem przez Niemcy - już wtedy hitlerowskie - spowodowała polityczną awanturę. Na dworcu we Frankfurcie nad Odrą hitlerjugendowcy usiłowali zedrzeć flagi biało-czerwone, które rozpięte trzymaliśmy między oknami wagonu. Szarpanina o flagę trwała kilka minut - pociąg ruszył. W pociągu na powielaczu drużyny wydrukowaliśmy pierwszy numer "Jamboryka holenderskiego", którego redakcję tworzyli pod komendą hm Kazimierza Gorzkowskiego trzech "Sulimczykowcy": Tadeusz i Jurek Ładowie oraz niżej podpisany. Vogelensang był dla nas znów przyjemnym sukcesem. Nasz obóz, reprezentacyjnie rozbity u wejścia na teren Polaków, pięknie przyozdobiony przez utalentowanego Tadeusza Pfeila rzeźbami z korzeni, podobał się cudzoziemcom. Nasz skromny pokaz rowerowy, tym razem wspólny Cietrzewi i Turów, był z sukcesem powtarzany tyle razy, aż zakończył się katastrofą, upadkiem i awarią rowerów. Po obozie grupa Zawiszków wybrała się na wycieczkę do Paryża.

Jesienią 1937 roku Włodzimierz Giżycki przekazał drużynę Marianowi Przetockiemu - bardzo surowemu rygorystce i drobiazgowemu, aż pedantycznemu organizatorowi, któremu jednak zdrowie nie pozwoliło być drużynowym przez czas dostatecznie długi, by mógł on opanować ten kryzys dyscypliny, jaki zagroził Szesnastce. Zdążył on jedynie poprowadzić obóz zimowy w Wysocku Wyrzynie w środkowych Karpatach, lecz już na obozie letnim komendantem być nie mógł.

Komendantem letniego obozu w 1938 roku, założonego w Susku nad wołyńskim Horyniem był pkm Jan Bugajski - z zastępu Cietrzewi niegdyś. Na ten obóz pojechało już tylko sześćdziesięciu harcerzy. Susk upamiętnił się wielkimi grami i ćwiczeniami po-

lowymi, z których szczególnie ostre były parudniowe walki o zdobycie obozu między dwoma doskonałymi drużynami warszawskimi: Dwudziestą Trzecią i Szesnastą. Według niezgodnych zeznań zanotowanych reporterskim trybem w pismach obu drużyn, ta wielka gra, w której wszystkie chwytły były dozwolone, została wygrana... przez każdą z drużyn wedle swojego mniemania. I dobrze! Wielkie wojny też tak często bywają wygrywane, dlategoż by i gry harcerzy nie miały być równie przyjemne dla obu stron. Szło przecież nie o zwycięstwo, lecz o zabawę. Jej ćwiczący przebieg był ważniejszy niż rezultaty.

Po obozie, jesienią 1938 roku drużynowym Szesnastki został p. hm Stefan Jedliński, znakomity zastępowy Cietrzewi i jeden z tej gromady Zawiszaków, która w latach trzydziestych kształtowała oblicze drużyny. Stefan Jedliński był ostatnim drużynowym przedwojennej Szesnastki, ostatnim w tym ciągu instruktorów zapoczątkowanym przez Zygmunta Wierzbowskiego, który z Szesnastki uczynił drużynę doskonałą.

W tych dwóch latach sensacją Drużyny była - działka w Zalesiu nie opodal Warszawy. Kupiło ją Koło Przyjaciół - została ogrodzona - zastępy i cała drużyna zaczęły wyjeżdżać tam na swe niedzielne "wykapki". Ale w stałym powtarzaniu wycieczek do tego samego miejsca był coś sprzecznego z krajoznawczą ruchliwością harcerską. Był zamiar wybudowania na działce czegoś w rodzaju letniego domku - takiej łączy, jak gdyby drugiej izby drużyny. Zamiar ten nigdy nie został zrealizowany.

W KPH zaszyły pewne zmiany. Pani Stefania Jedlińska przekazała swą funkcję przewodniczącemu panu inż. Janowi Szaronosowi dyrektorowi linii oceanicznych Gdynia - Ameryka. On to - może warto przypomnieć - swoimi nieco samodzielnymi rozkazami idącymi na wspak instrukcji rządowych spowodował, iż w dniu 1 września

1939 roku cała polska flota pasażerska znalazła się poza zasięgiem agresji hitlerowskiej i została uratowana dla wojennej sprawy polskiej i alianckiej.

Na obóz zimowy Stefan Jedliński zdecydował się - po dwóch latach przerwy - znowu wytrać Zakopane. Powrót do "Wierzbianki" miał wyraźny zamysł: powrotu do tej drużyny, która była silna i sprawna, powrotu do pewnych dobrych tradycji i miejsc z tymi tradycjami związanych. Obóz był intensywny i silnie obsadzony. Obożnym był Andrzej Pfeffer.

W zimie 1938-39 roku drużyna, jak całe harcerstwo, jak i całe społeczeństwo, zaczęła odczuwać pierwsze podmuchy wojennej już wichury. Drużynowy, przytoczni, zawieszacy studenci zaczęli być mobilizowani do wojska. Nie dezorganizowało to pracy w drużynie - Szesnastka była silna - ale mnożyło kłopoty organizacyjne. Szczególnie było to wyczuwalne na obozie letnim w 1939 roku urządzonym w Jeziorach nie opodał Grodna. Komendant - Stefan Jedliński - podporucznik rezerwy, w połowie obozu wezwany do wojska, musiał swą funkcję przekazać obożnemu Michałowi Wojnicz-Sianczęcekiemu, który - na domiar złego - tak ciężko rozchorował się po tygodniu, że obóz przejął i zakończył Andrzej Silberger, zwany "Zośką". Mimo tych zmian 60-osobowy został uznany za jeden z najlepszych w ciągu ostatnich lat. Wzorowa dyscyplina, a przy tym i wesoło było, i bardzo dużo gier, wycieczek i biegów, konkursów sportowych, a nawet elektryfikacja i radiofonizacja. Ponadto ćwiczenia obronne: przeciwlotnicze, przeciwgazowe, łącznościowe - co zgodne było z nastrojami panującymi w społeczeństwie. Jeszcze jeden bardzo udany obóz - ostatni akord złotych zawieszackich lat.

Gdy skończyło się lato 1939 - pierwszego września Niemcy hitlerowskie zaatakowały Polskę.

Na wszystkich frontach wrześniowej kampanii walczyli harcerze Szesnastki. Jako szeregowcy, ochotnicy, jako podchorążowie i oficerowie rezerwy. Byli w lotnictwie i w piechocie, w kawalerii i w artylerii. Walczyli w obronie Warszawy i w ostatecznej bitwie września pod Kockiem.

Gdy starsza kadra odeszła do wojska - młodzi Zawiszacy wraz ze wszystkimi innymi harcerzami Warszawy pełnili służbę w obronie cywilnej, w akcji wojennego Pogotowia Harcerzy. Na dworcach kolejowych, jako patrole obserwacyjne obrony przeciwlotniczej, jako młodzi sanitariusze. 6 września, gdy rozkaz radiowy pułkownika Umiastowskiego nakazał mężczyznom opuszczenie Warszawy, bo poza Wisłą zabezpieczona mogła być rezerwa mężczyzn zdolnych do służby wojskowej - cała grupa Zawiszaków, na rowerach zresztą, pod komendą pfm Andrzeja Zielińskiego, wyjechała na wschód. W tłumach uchodźców dojechali do Lublina - i zorientowawszy się w małym sensie tej wędrówki, dowiedziawszy się, że Warszawa będzie się bronić, zawrócili z powrotem do stolicy. Ale drogi były już zamknięte, Warszawa otoczona przez wojska hitlerowskie. Z przygodami - zatrzymani przez Niemców i z trudem uwolnieni wskutek zręcznych perswazji Andrzeja Zielińskiego - dwa tygodnie przesiedzieli na wsi w Parysowie, pracując u chłopów. Potem znów ruszyli do swego miasta. Do Warszawy wrócili drugiego października.

W walkach wrześniowych zginęło żołnierską śmiercią paru Zawiszaków: Tadeusz Heugel, Piotr Pawlikowski, Jan Pfeffer, Jerzy Świerczewski, Jerzy Woyno. Pod koniec kampanii kilku dostało się do niewoli, całą wojnę więzieni byli w obozach jenieckich. Niektórzy przekroczyli granicę rumuńską, bądź węgierską

/na takim szlaku poległ "Dzidek" Eberhard/ i ruszyli na zachód Europy do organizującej się tam polskiej armii.

Jeszcze inni wrócili do Warszawy lub też cały czas będąc w walczącym mieście znaleźli się w mieście zajęтым przez wrogów.

W październiku 1939 roku znaczna część Zawiszaków znów była w Warszawie. Wróciliśmy do naszego miasta - i ci z oddziałów wojskowych, i ci którzy żołnierzami jeszcze być nie zdążyli choć się za takich uważali. Wróciliśmy porażeni klęską, lecz zdetaminowani, aby walczyć dalej. Mówiliśmy sobie i wszystkim: nie było rozkazu demobilizacyjnego, ciągle jesteśmy żołnierzami! Jedni szykowali się, by przez zieloną granicę uciec do wojska polskiego we Francji, drudzy wiązali organizacje konspiracyjne. Tajna organizacja wojskowa została założona w ostatnich dniach września, gdy Warszawa już skapitulowała, lecz wojska hitlerowskie jeszcze do niej nie wkroczyły. Wtedy również zostało założone tajne, konspiracyjne harcerstwo, szeroko później znane jako Szare Szeregi.

Wśród instruktorów i starszych członków ZHP przyjęto zasadę: przestają istnieć dotychczasowe więzi, na nowo, od podstaw organizujemy tajne harcerstwo, do którego nikt nie może być przyjęty tylko dlatego, że jeszcze niedawno był w ZHP. Obowiązują konspiracyjne reguły i specjalne zadania.

Tajne harcerstwo, które na nowo się organizowało, powstawało w wielu grupach, bynajmniej nie było jednolite. Tuż przed wybuchem wojny, późną wiosną 1939 roku, wśród instruktorów Chorągwi Warszawskiej miał miejsce ostry konflikt polityczno-personalny. Nie będę go tutaj analizował - w żadnym stopniu nie dotyczył on naszej drużyny. Należy jednak powiedzieć, że wywołał on list

stokilkudziesięciu instruktorów skierowany do Przewodniczącego ZHP, a zawierający krytykę polityki personalnej Naczelnika Harcerzy, grożący nawet opuszczeniem ZHP przez sygnatariuszy listu. Napisałem już, że harcerstwo było żywym organizmem społecznym, a więc odbijały się w nim, w swoistej soczewce, wszystkie, również polityczne problemy i konflikty całego społeczeństwa. List instruktorów był właśnie przejawem fermentów politycznych działających podówczas nasze społeczeństwo. I nic w tym nie było złego. Wybuch wojny pokrzyżował kres konfliktowi między grupą instruktorów, wśród których było dwóch czy trzech Zawiszaków, ale nie przekreślił różnic poglądów. W rezultacie, gdy wydarzenia wojenne i nakazy konspiracji rozwiązały ramy dotychczasowego ZHP - w Warszawie powstały trzy rozmaite tajne ugrupowania harcerskie. Jednym były Szare Szeregi, stanowiące wyraźną kontynuację ZHP; przewodniczącym naczelnictwa Szarych Szeregów został Honorowy Zawiszak ks. Jan Mauersberger - był nim, aż do swej śmierci w 1942 roku. Szare Szeregi zgromadziły instruktorów o tendencjach piłsudczykowskich, liberalnych czy lewicujących, przy czym raczej tych młodszych i zdecydowanie prężniejszych. Drugim ugrupowaniem było Harcerstwo Polskie, czyli Hufce Polskie, założone przez instruktorów związanych ze Stronnictwem Narodowym i ONR, o tendencjach nacjonalistycznych i aż dewocyjnie katolickich. Wreszcie ugrupowaniem trzecim był batalion harcerski Wigry, grupujący starszych nieco harcerzy i instruktorów. Batalion ten należał do AK i w 1943 roku złączył się z Szarymi Szeregami.

W każdej z tych grup znaleźli się wybitni instruktorzy, każdą fundowały świetne drużyny. W Szarych Szeregach były to: 3 WDH, 8 WDH, 21 WDH, 23 WDH, 27 WDH, 40 WDH, 80 WDH i wiele, wiele innych. W Harcerstwie Polskim - 2 WDH, 5 WDH i parę jeszcze. Ale też były i takie dawne drużyny, które w tej sytuacji

znalazły się poza istniejącymi organizacjami. Które samodzielnie, i to przez długie lata okupacji, prowadziły swą tajną pracę harcerską.

Wśród takich drużyn była nasza Szesnastka.

Już pod koniec października i na początku listopada odbyło się kilka spotkań - i w mieszkaniu państwa Zielińskich, i u państwa Schellenbergów. Zbierali się ci Zawiszacy, którzy byli wtedy w Warszawie: Zygmunt Wierzbowski, Stefan Jedliński, Andrzej Zieliński, Jan Bugajski, Michał Wojnicz-Sianożęcki, Jan Pawłowski, Sławomir Potemski, Zygmunt Schellenberg, Witold Konczykowski, autor tych słów również, dawne Cietrzewie, Tury, Rysie, paru młodszych. Byli wśród nas tacy, którzy już szykowali sobie możliwości przejścia przez zieloną granicę na Węgry i dalej do Francji. Byli tacy, którzy już czynnie działali w powstającym w Warszawie podziemiu. Inni dopiero się rozglądali - były to dopiero pierwsze dni okupacji i mało kto wiedział, że już istnieją załączkowe komórki tajnego harcerstwa. Wszyscy chcieli walczyć z okupantem, ale nie mieli pojęcia jak to będą robić, jak powinni postępować. Choć już wtedy pewien zastęp, przyszli Zośkowcy z 23 WDH, włączył się był bardzo czynnie do działań podziemnych, choć już harcerze z takiej 31 WDH - wymieniam przykłady dobrze mi znane - też byli konspiracyjnie zorganizowani, to jednak w naszych zawiszackich spotkaniach nie podjęliśmy jeszcze żadnej wiążącej decyzji. W tym czasie władze hitlerowskie zamknęły wszystkie szkoły średnie i wyższe uczelnie, a budynek gimnazjum Staszica zajęty był przez niemieckie wojskowe lazarety. Drużyna, która mogłaby działać wśród uczniów tej szkoły, straciła swą naturalną bazę, a komplety tajne jeszcze wtedy się nie rozpoczęły. Wiedząc dobrze, iż powinniśmy i będziemy działać tajnie - jeszcze tych działań jako Szesnastka nie rozpoczęliśmy.

Wkrótce potem paru Zawiszaków uciekło przez zieloną granicę do Francji. W młodą polską konspirację, i to tę akurat, w której działali wszyscy warszawscy harcerze, wśród nich i Zawiszacy, uderzyły pierwsze pioruny gestapowskiego terroru - pierwsze aresztowania, pierwsze rozstrzeliwania, pierwsze łapanki i pierwsze zsyłki do obozów koncentracyjnych. Wśród tych najwcześniej wysłanych do Oświęcimia znalazł się i Włodzimierz Giżycki. To wszystko budziło czujność i nakazywało ostrożność w działaniu.

W pierwszym kwartale 1940 roku w mieszkaniu państwa Zielińskich, w tej właśnie willi przy ulicy Prokuratorzkiej 10, w której przez cały czas okupacji, aż do Powstania Warszawskiego tyle się będzie działo spraw tajnych i konspiracyjnych, i naszej drużyny, i AK-owskiej podchorążówki, i delegackiej konspiracji, i tajnego polskiego teatru, i tajnej warszawskiej politechniki - w tej właśnie willi paru starszych Zawiszaków spotkawszy się postanowiło wznowić działalność drużyny. Póki co jednak, nie łącząc się z żadną z czynnych już grup harcerskich. Po prostu Zawiszacy ci należeli już do rozmaitych organizacji konspiracyjnych i nie potrafili uzgodnić swego politycznego, o takim wypadku mówić, stanowiska. Postanowiono więc, że drużyna będzie istnieć i działać samodzielnie. Drużynowym tej odradzającej się konspiracyjnej Szesnastki wybrano Michała Wojnicz-Sianożęckiego, kiedyś znakomitego zastępowego Turów, jednego z przywódców Szesnastki z lat bezpośrednich przedwojennych, studenta Politechniki, człowieka niezmiernie rzetelnego i mądrego, prawego, a w dodatku -niech będzie wolno przypomnieć - obdarzonego świetnym poczuciem humoru, co jest zaletą we wszelkiej pracy społecznej. A obok Michała mieli być i Andrzej Zieliński i Jan Bugajski z dawnych Cietrzewi i - przede wszystkim, jak zawsze - Zyg Wierzbowski.

Stefan Jedliński wyjechał już wtedy na Podhale, gdzie miał przebywać całą wojnę działając jako oficer sztabowy w Podhalańskim Inspektoracie AK oraz w 1 pułku Strzelców Podhalańskich AK.

Michał Wojnicz-Sianożęcki pozostał drużynowym tajnej Szesnastki przez cały czas okupacji, aż do swej żołnierskiej śmierci w Powstaniu Warszawskim.

Konspiracyjną Szesnastkę ewokowano powoli i ostrożnie, od podstaw. Zaczęto ud kursu na zastępowych. Jesienią 1940 roku wybrano czterech, już nie najmłodszych przecież, którzy w normalnie funkcjonującej drużynie dawno by już mieli swoje zastępy: Witolda Szeronosa, Zbigniewa Stok-Stokowca, Zdzisława Szeliskiego i Stefana Medwadowskiego. Wszyscy byli w Szesnastce przed wojną. Trzy, cztery razy w miesiącu spotykali się z Wierzbowskim, Sianożęckim, Zielińskim, Bugajskim zarówno by szkolić się w rozmaitych wiedzach i umiejętnościach niezbędnych dla zastępowych, jak również, aby jak gdyby eksperymentalnie, przygotowywać pracę harcerską drużyny w warunkach całkowitej tajności oraz w zupełnie specyficznych okolicznościach jawnie, choć z utajnianymi lekcjami, działających szkół powszechnych i zupełnie nielegalnych kompletów gimnazjalnych.

Ten kurs trwał długo - cały rok. Odchodzi, na jakiś czas, Stefan Medwadowski, dochodzi Gustaw Mazurkiewicz, który wkrótce potem - w 1941 roku - popełnia samobójstwo. W lutym 1942 roku, w warunkach rosnących trudności życia materialnego Polaków oraz stale nasilającego się terroru, gdy Niemcy panowali nad całą Europą, Anglicy byli na swej wyspie osamotnieni, gdy nadzieja była najślubsza i wszystko wyglądało beznadziejnie - w takich właśnie warunkach został przeprowadzony pierwszy pobór do nowej Szesnastki.

Najpierw powstały dwa zastępy: Komarów i Jeleni.

Zastęp Komarów - chłopcy z prywatnej, powszechnej szkoły pani Mietkiewiczowej, jednej z tych jawnie działających szkół powszechnych, na których opierała się siatka tajnych kompletów gimnazjalnych. Szkoła mieściła się w budynku przy rogu ulic Oboźnej i Sewerynowa. Pani Mietkiewiczowa, należy to powiedzieć, była ciotką Jana i Andrzeja Pawłowskich. Janek Pawłowski, jeden z Cietrzewi, działał w Szesnastce przed wojną i wspierał Szesnastkę konspiracyjną - jego młodszy brat Andrzej był bardzo czynny w drużynie konspiracyjnej. A willa państwa Mietkiewiczów przy ulicy Filtrowej 44 była przed wojną jednym z ośrodków życia towarzyskiego zastępu Cietrzewi. Tak się ciągnęły pewne linie organizacyjne i personalne. Pragnę je tu uwidocznić - konspiracja Szesnastki była organicznym przedłużeniem drużyny przedwojennej, silnie była zakorzeniona w nurcie żywej tradycji tej gromady młodych ludzi.

Zastępowym Komarów został Zbigniew Stok-Stokowiec, a w zastępie znaleźli się: Andrzej Pawłowski, Tadeusz Sułowski, Jerzy Reinstein, Jerzy Suchanek, Marek Strasturger, Jarosław Jedlicki a następnie Bohdan i Wiesław Szeliscy.

Drugi zastęp - Jelenie - rekrutował się z chłopców uczęszczających na tajne komplety gimnazjalne Staszica, a może i innych szkół działających w Śródmieściu Warszawy. Zastępowym Jeleni był Zdzisław Szeliński. Do zastępu należeli: Feliks Szeteko, Jan Moes, Stanisław Starowiejski oraz dwaj bracia bliźniacy Józef i Zygmunt Przewłoccy, natychmiast przezwani pierwszy Plackiem, drugi Jackiem.

Notuję te nazwiska, gdyż z tych dwóch zastępów rozwinęła się później cała Szesnastka konspiracyjna, a potem również Szesnastka i ta restaurowana w 1956 roku również.

Tadeusz Sułowski, jeden z tych młodych Komarów, tak zapisał:

"Pewnego dnia, zimowym rankiem znaleźliśmy się w willi państwa Mietkiewiczów, w mieszkaniu pp. Pawłowskich na Filtrowej. Po kilku minutach poproszono nas do drugiego pokoju, gdzie przywitał nas szczupły, ciemny, wysoki młody człowiek w okularach, lat około 25. Był to Michał Wojnicz-Sianożęcki, drużynowy okupacyjnej Szesnastki. Michał nie przedstawił się. Tylko od razu zaczął mówić o naszej przyszłej przynależności do jednej z czołowych drużyn Warszawy. Numeru i imienia drużyny przez długi czas jednak nie znaleźliśmy. Michał opowiadał nam długo o harcerstwie, o drużynie, o obozach letnich i zimowych. Słuchaliśmy go ocali zafascynowani, wpatrzeni weń, z piekącymi policzkami. Za tydzień Michał przyprowadził nam zastępowego. Młody, wysoki, przystojny chłopak, miał 16 lat. Był energiczny, wesoły i bardzo szybko pozyskał nasze zaufanie, okiełznał nasze temperamenty. Zbyszek rozpoczął z nami pracę od podstaw: gry, zabawy, gawędy. Zbiórki odbywały się raz w tygodniu, początkowo u Andrzeja Pawłowskiego /Filtrowa 44/, później w mieszkaniach innych chłopców".

Komary były gromadką chłopców nieco młodszymi. Jelenie - nieco starszych. Każdy z zastępów pracował oddzielnie i chłopcy początkowo nie znali się między sobą. Umożliwiało to nawet pewne ćwiczenia rozgrywane na ruchliwych w dzień ulicach okupowanej Warszawy. Któregoś dnia między placem Zbawiciela a placem Napoleona /dzisiaj - plac Powstańców Warszawy/, odbyło się coś w rodzaju przekradanki-podglądanki. Jelenie miały w klapach wpięte bilety tramwajowe, Komary winny ich wypatrzyć w tłumie przechodniów i dokładnie zrelacjonować ich wszelkie ruchy i działania, sami nie będąc dostrzeżonymi. Kto kogo rozpozna, kto kogo dokładniej podpatrzy - to niemal tradycyjne ćwiczenia harcerskie, a w konkretnej sytuacji historycznej - pierwsze ćwiczenia

wywiadowcze. Gier i ćwiczeń tego rodzaju było zresztą dużo. I taka, w której zadaniami były obserwacje wyraźnie wywiadowcze, potem zresztą przeistaczające się w regularnie pełnione służby wywiadowcze - na przykład obserwacja komendy wojsk niemieckich znajdującą się na Krakowskim Przedmieściu w "domu bez kantów". W innych grach chodziło o zachowanie się wobec pozorowanego aresztowania przez tajniaka hitlerowskiego. W jeszcze innych o umiejętnie przenoszenie meldunków czy o sprawność w wykorzystywaniu możliwie największej liczby przejść i bram w domach przechodnich. To wszystko były ćwiczenia wojskowo przydatne w warunkach i dla celów warszawskiej konspiracji.

Kiedy indziej przeprowadzono bieg harcerski na stopień młodzika - bieg w warunkach tajności. Kilka przeszkód znajdowało się na ulicach, kilka - w mieszkaniach prywatnych, większość w willej przy ulicy Prokuratorowskiej. Różne były przeszkody: samarytanka, pionierka, terenoznawstwo, spostrzegawczość, znajomość historii Polski, Warszawy i drużyny. W dwa tygodnie po biegu w domku państwa Mietkiewiczów Zygmunt Wierzbowski odebrał od nowych młodzików harcerskie przyrzeczenie. Składali je na stary - jak mówiliśmy: prawdziwy - sztandar Szesnastki, razem z archiwum drużyny wykradzony z izby zajętej przez Niemców.

Sztandar i archiwum drużyny wyniósł - wykradł - z gmachu Staszica jeden ze szkolnych woźnych. Uczynił to na prośbę Michała Wojnicz-Sianożęckiego, który przez długie lata mieszkał przy ulicy Noakowskiego, w domu sąsiadującym ze szkołą. Nasi woźni gimnazjalni - ludzie zresztą wspaniali - zapewne czas jakiś byli zatrudnieni przez administrację gmachu zajętego na lazaret wojenny okupantów. Gdyby w tym gmachu gospodarowały nie wehrmachtowe łapiduchy, ale jakiś urząd gestapowski, było-

by trudniej wy dostać sztandar i archiwum drużyny wyrzucone przez nowych władców gdzieś w kącie dużego strychu. Tam, na strychu czy w piwnicy, znalazł je nasz woźny i przekazał Michałowi.

Odzyskanie sztandaru miało dla postawy i atmosfery w okupacyjnej drużynie ogromne znaczenie. Składać przyrzeczenie na nasz sztandar to było jakby składać prawdzie przyrzeczenie, polskie i wolne. Składając przyrzeczenie chłopcy otrzymywali prawdziwe krzyże harcerskie - tego dnia mogli je nosić, oczywiście skrywając pod palto w drodze do domu, aż do samego wieczora. Krzyż harcerski był wówczas znakiem ściśle zakonspirowanym, świętością, której strzegliśmy z największą uwagą i emocją.

Starano się o to, aby Zygmunt Wierzbowski zawsze, jeżeli było to tylko możliwe odbierał przyrzeczenia młodych Zawiszków. Była to również świadoma kontynuacja przedwojennej tradycji Szesnastki. Gdy w mieszkaniu państwa Szehoko przyjmował je od zastępu Jeleni - na podłodze leżała flaga hitlerowska zdarta przez chłopców poprzedniej nocy z niemieckiego urzędu w akcji tak zwanego "małego sabotażu". Zrywanie flag hitlerowskich, które potem deptano w czasie przyrzeczeń harcerskich, było szerzej stosowanym obyczajem polskiej młodzieży w tamtym czasie.

W 1942 roku zorganizowany został zastęp kolejny, trzeci. Objął go Witold Szaronos - "Witek Czarny". Do zastępu należeli: Wiesław Andrzejewski, Jerzy Gierak, Jan Żołnowski, Michał Dowbor, Michał Grocholski oraz dwaj bracia Szeliscy - Bohdan i Wiesław. Jeszcze później, w 1943 roku, zastęp czwarty został zorganizowany przez Witolda Kończykowskiego - "Witka Białego", już wówczas dwudziestolatek, który miał za sobą parę lat służby w drużynie i wiele obozów, był zastępowym przed wojną. W jego zastępie znaleźli się: Stanisław Moes, Marek Czapski, Andrzej

Sobański, Stanisław Starowiejski, Janusz Ponikiewski oraz dwaj bracia Platerowie - Aleksander i Zygmunt.

Wokół konspiracyjnej Szesnastki zaczęli na nowo gromadzić się, ofiarowując swój czas i swe pasje, niektórzy dawni Zawiszasy czynni jeszcze przed wojną. I Kończykowski właśnie - dzisiaj wybitny ekspert, inżynier w przemyśle samochodowym, i Jan Pawłowski, i Wiesław Kropatsch - zwany „Kaktusem”. Komendantem jest ciągle Wojnicz-Sianożęcki, jego przyboczni - Andrzej Zieliński i Jan Bugajski. W najściślejszym kontakcie z drużyną są Zygmunt Wierzbowski i Włodzimierz Giżycki, któremu udało się wydostać z Oświęcimia. W tajnym Kole Przyjaciół działają opiekunkę matki: pani Walentyna Zielińska, pani Schellenbergowa, panie Stefania Szeliska i Jadwiga Szeliska. I inne matki najmłodszych i najstarszych Zawiszaków. Rodzice i najstarsi Zawiszacy prowadzą ważną akcję samopomocową: rodziny, którym się powodzi lepiej zapraszają na stałe obiady tych chłopców z Szesnastki, którym w domu ciężiej. Na te obiady zapraszają chłopców Zygmunt Wierzbowski, państwo Zielińscy, Kończykowscy, Szebeko, Jokeztowie, Wiktoria Koźniewska i inne domy.

W 1942 roku Szesnastka organizuje następny kurs na zastępowych. Biorą w nim udział: Tadeusz Sułowski, obaj Przewłoccy, Feliks Szebeko, Stanisław Starowiejski, Jan Moes. Jeszcze przed rokiem najmłodszy - teraz już szykują się do pracy bardziej odpowiedzialnej. Te lata okupacyjnej pracy liczyły się podwójnie, przyspieszały ich dojrzewanie. Są to przecież już - naszym posługując się słownictwem - nastolatki. Jedna ze zbiórek kursu odbyła się w mieszkaniu państwa Giżyckich na Skłuzewcu - zmartwiałym z przerażenia chłopcom Dymek relacjonował swe straszliwe przeżycia oświęcimskie.

A więc odbywają się zbiórki zastępów. Chłopcy spotykają

się w mieszkaniach prywatnych - niekiedy są to godziny ćwiczeń harcerskich, gier i gawęd, kiedy może im się zdawać, że bawią się w jakiejś izbie Szesnastki, w normalnym, ludzkim czasie. Czas nieludzki zaczynał się, gdy kończyła się zbiórka i zachowując rygory konspiracji - jeden co kilka minut - wychodzili na groźną, najeżoną niebezpieczeństwami łapanek, rewizji, legitymowań, ulicę. Ale ulice, całe zresztą miasto, były również terenem walk, w których młodzi z Szesnastki brali udział, i jako członkowie drużyny i jako uczestnicy w innych, już wojskowych, bądź młodowojskowych grupach, gdyż w tamtych latach bardzo wielu i młodych, i dorosłych należało - wbrew zasadom idealnej konspiracji, ale zgodnie ze swym temperamentem i sercem, do dwóch, a nawet i trzech organizacji, akcji, działań ruchu oporu.

Na ulicach miasta czaiła się śmierć. W czerwcu 1943 roku ginie cudowny harcerz Jan Bugajski, drużynowy i komendant obozów przed wojną, którego na ulicy nie opodał placu Zławiciela łapie hitlerowski patrol, legitymuje, rewiduje, znajduje rewolwer - Janek wracał akurat z kursu podchorążackiego, na którym był wykładowcą, a szedł na spotkanie ze swym przyjacielem też Cietrzewiem, który po trzech latach nieobecności wrócił do kraju tajnym szlakiem z Londynu i Budapesztu. Nie spotkali się nigdy. Bugaja wywieźli na Pawiak - i rozstrzelali gdzieś w ruinach getta. Tak ginie Janusz Zuchowicz złapany na ulicy i rozstrzelany w egzekucji publicznej na Nowym Świecie. Do Oświęcimia zostaje zesłany Wiesław Kropatek, do Majdanka - Zbigniew Stok-Stokowiec. Straty wśród Zwiszaków nie są jednak spowodowane ich pracą w drużynie. Były one bądź przypadkowe - okupant hitlerowski na oślep, ulicznymi łapankami i egzekucjami dziesiątkował, pacyfikował nasze społeczeństwo. Niekiedy były one rezultatem udziału poszczególnych harcerzy czy instruktorów w innych, wojskowych organizacjach.

Wielu Zawiszków, należących do drużyny przed wojną, nie podejmując w czasie okupacji pracy w drużynie, brało niezmiernie czynny udział w oddziałach wojskowych Armii Krajowej czy innych organizacjach. Do AK należeli - już wspomniałem - Jan Bugajski i Andrzej Zieliński. W Wigrach, również harcerskim batalionie AK, brał udział Zygmunt Wierzbowski. W oddziałach Kedywu bardzo i bardzo bohatercko był zaangażowany Tadeusz Jeagermann. Oficerem w Parasolu był Wojciech Świątkowski, uczestnik wielu akcji zamachowych i dywersyjnych. W zamachu na Koppego - szefa Gestapo, ginie Tadeusz Ulankiewicz. Jako żołnierze Kedywu zginęli w akcjach bojowych dwaj Zawiszacy z lat trzydziestych: sławny "Basza" - Tadeusz Sobczyński oraz "Wodokaz" - Tadeusz Gluziński. W więzieniu gestapo przy ulicy Szucha, by nikogo nie zdradzić, popełnił samobójstwo Jerzy Klarner - przed samą wojną budował on w Lublinie fabrykę samochodów - aresztowany za działalność konspiracyjną. W ostatecznym obrachunku wojennym nimal wszyscy Zawiszacy byli w ten czy w inny sposób związani z polskim podziemiem.

W owym czasie powtarzano sobie anegdotkę - nie potrafię powiedzieć na ile "prawdziwą, ale charakterystyczną dla atmosfery panującej wśród harcerzy podziemnej Warszawy. W akcji pod Aresnałem - w owym sławnym uwolnieniu więźniów Pawiaka przez żołnierzy Szarych Szeregów - wśród uwolnionych z więziennego auta był również Tadeusz Bentz. Zawiszek z przedwojennej Szesnastki. W pełnej napięcia ulicznej bitwie był moment tragikomiczny. Wpadli na siebie dwaj harcerze, ten uwalniany z 16 WDH i ten uwalniający z 23 WDH. Rozpoznali się - obaj brali udział, jako przeciwnicy, we wzajemnych podchodach obu drużyn w lecie 1938 roku, gdy Szesnastka miała swój obóz w Susku, a Dwudziesta Trze-

cia była nie opodał. I oto w ogniach bitwy pod Arsenalem, nasz Zawieszak zdążył swemu wytawicielowi krzyknąć, przypominając lato przedwojenne: "A jednak moje było na wierzchu!" - i uciekł ku wolności w uliczny tłum. O zdarzeniu tym sobie opowiadano. Se non é vero...

Szesnastka jednak, jako jednostka harcerska, aż do wybuchu Powstania Warszawskiego uniknęła jakichkolwiek dekonspiracji - co było zasługą rozważli i ostrożności władz drużyny. Choć może i tego również, że drużyna nie brała udziału w bezpośredniej walce z okupantem.

Szesnastka bowiem realizowała właściwie ten program pracy harcerskiej, który w Szarych Szeregach określano stopniem Zawieszki. Była to - poza akcjami małego satawazu - normalna praca młodszych harcerzy tyle tylko, że prowadzona w warunkach nielegalnych, w sposób tajny, bez zewnętrznego demonstrowania. Odhwały się zbiórkli zastępów, ale unikano zbiórek drużyny całej. Ćwiczone się w rozmaitych technikach obozowych, harcerskich, wojskowo przydatnych. Zdawano stopnie i sprawności. A wszystkto do działo się w owej szczególnej atmosferze oddziaływania wychowawczego, moralnego, ideowego, którego okrutny czas okupacji wymagał, ale i któremu jakoś paradoksalnie sprzyjał. Odhwały się - w 1943 i 1944 roku - obozy letnie, były to jednak obozy zastępów, raczej krótko trwające kolonie letnie, urządzone w domach i willach pozawarszawskich, dokąd zaprzyjaźnieni rodzice zapraszali chłopców.

W 1943 roku obozy takie zostają urządzone w Michalinie koło Warszawy, gdzie chłopcy pod komendą Zbyszka Stok-Stokowca dość intensywnie trenują ćwiczenia harcerskie oraz gry i zabawy bardziej sportowe. Podczas tych samych wakacji w Chylicach pod Warszawą odbył się parodniowy kurs szkoleniowy dla starszych chłop-

ców prowadzony przez Zdzisława Szeliskiego. Byli na nim - między innymi - Feliks Szekeko i Tadeusz Sułowski. Podobno intensywnej i twardej kurs harcerski.

Były zresztą i inne imprezy. Na Boże Narodzenie 1943 roku w willi przy ulicy Prokuratorskiej oraz przy ulicy Chłodnej w mieszkaniu państwa Tarasów, starsi chłopcy wspólnie z siostrami i zaprzyjaźnionymi koleżankami przygotowali inscenizację Szopki. Powtarzana trzykrotnie - taki tajny teatrzyk! - przyniosła nawet pewien dochód, przeznaczony na zakup broni.

Oczywiście - tak jak sam fakt nielegalnej nauki szkolnej i uniwersyteckiej były już fundamentalnym aktem narodowego sprzeciwu wobec najeźdźcy, tak wszelkie formy realizowania prawie normalnego życia polskiego, społecznego, wychowującego, a więc i harcerskiego, wbrew zakazom wroga, również były zdeterminowanym, świadomym i zawsze niebezpiecznym udziałem w tym, co ogólnie nazwać można było ruchem narodowego oporu. One to - tego rodzaju działania - w sposób niezmiernie istotny przyczyniły się do zachowania świetnej postawy i świadomości narodowej przez Polaków, one to tworzyły tę atmosferę niepodległości duchowej, z której rodziła się już walka bezpośrednia. W Szarych Szeregach istniał podział: chłopcy najmłodsi realizowali program Zawiszy, czyli prowadzili normalną pracę harcerską, tyle że tajną. Ale chłopcy starsi i najstarsi już czynnie uczestniczyli w walce bezpośredniej z okupantem - bądź w małym sabotażu, bądź w rozmaitych batalionach Armii Krajowej, w akcji dywersyjnej, zbrojnej, zamachowej kierowanej przez Kedyw. Szesnastka, będąca przez kilka lat poza Szarymi Szeregami, działająca samodzielnie, realizowała jednak tylko program Zawiszy oraz prowadziła pewne akcje małego sabotażu i wywiadowcze. Dzięki temu uniknęła może strat ludzkich, ale ominęły ją również, w ramach

drużyny oczywiście, te wielkie emocje natury żołnierskiej, moralnej, patriotycznej, nawet przygodowej, które były udziałem w pełnym chwały choć krwawym - harcerzy w Szarych Szeregach.

Proszę mi wybaczyć refleksję zupełnie własną: gdy w czerwcu 1943 roku wróciłem nielegalnie do kraju z Anglii, z kurierskiej służby, węgierskiego więzienia, i gdy natychmiast stałem się uczestnikiem naszej konspiracji, delegackiej i właśnie szaroszeregowej, ta sytuacja Szesnastki wydawała mi się zupełnie niezrozumiała. Do dzisiaj jej nie pojmuję. Jak długo mogła drużyna tkwić na marginesie głównych nurtów podziemnej walki? Michał Wojnicz-Sianożęcki był żołnierzem Narodowej Organizacji Wojskowej, więc sprzyjał raczej Harcerstwu Polskiemu, inni instruktorzy Szesnastki i niemal wszyscy starsi chłopcy byli w oddziałach AK, więc raczej były im bliższe Szare Szeregi, Zygmunt Wierzbowski był w Wigrach. Te układy osobiste wiele tłumaczą, nie wszystko usprawiedliwiają.

Sytuacja marginesu, takiego "między", nie mogła dłużej trwać. Już w roku 1943 zbyt silny był impet walki podziemnej, by Szesnastka mogła dłużej tkwić na własnym tylko szlaku. Musiała się włączyć w nurt bezpośredniej walki. Potrzebowali tego sami chłopcy.

Toteż jesienią 1943 roku w willi państwa Zielińskich przy Prokuratorskiej toczyły się osobliwe rozmowy. Rada drużyny zaczęła kolejno zapraszać delegatów komend wszystkich trzech drużyn organizacji harcerskich, aby przedstawili Zawiszakom zasady i statuty swoich grup. Jako ciągle tający swój powrót do kraju - zza kotary przysłuchiwałem się tej licytacji programowej. Słyszałem, nie będąc widzianym, referat harcmistrza z Harcerstwa Polskiego, dawnego instruktora 5 WDH, słyszałem gawędę Wigierczyka, a Wigry już wtedy łączyły się z Szarymi Szeregami,

słyszałem wreszcie hm Jana Rossmanna - jednego z czołowych przywódców Szarych Szeregów. Po tych rozmowach, na początku 1944 roku, Szesnastka się zdecydowała. Michał Woynicz-Sianożęcki niezmiernie lojalnie podporządkował się większości - drużyna zgłosiła akces do Szarych Szeregów.

Musiała wtedy dostosować swą organizację i swe kryptonimy do schematów obowiązujących w Szarych Szeregach. Zastępy stały się patrolami. Plutony przekształciły się w drużyny oznaczone cyframi: 100, 200, 300. Cała Szesnastka została nazwana Rojem Zawiszy, otrzymała kryptonim Sulima, i włączona została do Bloku Prochowni, czyli do warszawskiego hufca Ochoty, na czele którego stał znakomity instruktor hm 'Rokita' - Stefan Mirkowski, z dawnej 21 WDH. 'Rokita' powitał Rój Zawiszy takim oto rozkazem L. 3/44:

"Rozkazem Komendanta UL przydzielony został do Prochowni rój Z. pracujący dotychczas bez porozumienia z władzami SS. Z radością witam ten rój oparty na głębokich i żywych tradycjach wartościowego, przedwojennego środowiska harcerskiego i życzę jak najlepszych osiągnięć w marszu, który Szarymi Szeregami będziemy wspólnie odbywać. Zatwierdzam kryptonim przydzielonego roju "Sulima" oraz funkcyjnych: wódz roju - Michał, zastępca wodza roju - p hm Andrzej, drużyny 100 - Dzidek, drużyny 200 - Zdziś, drużyny 300 - Witek."

Ten rozkaz wydany został dopiero w lipcu 1944 roku, kilkanaście dni przed powstaniem, choć Szesnastka już od pół roku była w Szarych Szeregach. Komendantem Roju Zawiszy /roju Z/ był Michał Woynicz-Sianożęcki. Jego zastępcą - p hm Andrzej Zieliński. Drużynowymi - Stefan Medwadowski, Zdzisław Szeliński, Witold Kończykowski. Komendantem BS - Bojowym Skautów, czyli starszych chłopców roju Zawiszy już prowadzących pracę wojskową, został

Zbigniew Stok-Stokowiec, który przez jakiś czas był więziony na Majdanku, potem wrócił do Warszawy i do pracy w drużynie, a krótko przed wybuchem powstania brał udział w partyzantce kieleckiej. Zastępczymi w tych drużynach byli: Jan Stokowiec, Stanisław Starowiejski, Jan Moess, Wacław Gabara, Feliks Szebeko, Józef /Placek/ Przewłocki i Zygmunt /Jacek/ Przewłocki, Tadeusz Sułkowski był zastępczym Gigantów - patrolu Zawiszy, utworzonego w Świetlicy RGO /Polna 52/.

Tak się złożyło, że posiadamy notatkę o zastępie Jana Moessa spisaną przez jednego z ówczesnych uczestników zastępu, dziś pracownika handlu zagranicznego Andrzeja Weunera. Warto ją streścić. Zastęp ten rekrutował się z chłopców V klasy prywatnej szkoły powszechnej pani Miśkiewiczowej, znajdującej się na rogu ulic Sewerynów i Oboźnej. Wszyscy jedenaścioletni chłopcy byli z tej samej klasy. Przyjęci do tajnej drużyny jesienią 1943 przez cały rok mieli normalne zbiórki harcerskie, a w lipcu 1944 roku wyjechali na dwutygodniowy obóz do Zielonki koło Warszawy, jeden z paru obozów Szesnastki. Obóz pełen gier i ćwiczeń polowych, mających - nawet dla tych 11-latków - charakter przede wszystkim wojskowo przydatny, był dla nich jak gdyby przygotowaniem do powstania. W obozie prócz zastępowego Janka Moessa, który był komendantem, wzięli udział Krzysztof Winiewicz - dziś reżyser filmowy, Stanisław Cukrowski /czy prawdziwe nazwisko? - autor notatki nie pamiętam/, Bondan Falczewski /?/, Ryszard Cholewa - dotychczas dyrektor Departamentu w Ministerstwie Rolnictwa oraz Andrzej Weuner.

Po nowym naborze przeprowadzonym na początku 1944 roku Szesnastka, czyli Rój Zawiszy - czyli Sulima - liczyła osiem zastępów w trzech drużynach oraz grupę Bojowych Skautów, w której pod komendą Stok-Stokowca znalazł się cały dawny zastęp Jeleni

oraz Bohdan Szeliński i Michał Dowbor. Była to więc drużyna bardzo duża, blisko 80 chłopców, która w czerwcu i lipcu 1944 roku zdołała przeprowadzić poważną akcję obozową. Najpierw, pod koniec czerwca, wyjechali do Zalesia - gdzie gościnnym gospodarzem był Zygmunt Wierzbowski - ówczesni zastępowi, którzy pod komendą Zbigniewa Stok-Stokowca przeszli tygodniowe, intensywne szkolenie, by oni z kolei mogli prowadzić pięć dalszych obozów letnich, obozów zastępowych w różnych miejscowościach i dalej od Warszawy - na przykład nad Pilicą /komendant - Placek Przewłocki/ i bliżej, w Zielonce /komendant - Jan Moess/, Zalesiu Górnym /komendant - Jan Stokowice/, w Laskach u państwa Rutkowskich /komendant - Stanisław Starowiejski/. Wizytowane były przez Michała Woynicz-Sianożęckiego, Andrzeja Zielińskiego, Zbigniewa Stok-Stokowca. Opiekę nad obozami sprawowały również matki z KPH.

Po tych sześciu obozach - ostatnich konspiracyjnych obozach Szesnastki - już się zaczęły przygotowania do powstania. Starsi chłopcy mieli przydziały wojskowe. Młodszy w ciągu paru dni przewidywanego powstania mieli tworzyć drużynę pod komendą Placka Przewłockiego. Jeden z zastępów, pod dowództwem Michała Dowbora, miał pełnić służbę sanitarną na Ochocie.

1 sierpnia 1944 roku o godzinie piątej po południu w Warszawie wybuchło powstanie.

Pierwszym Zawissakiem, który zginął w Powstaniu Warszawskim był dawny drużynowy Włodzimierz Giżycki - Dymek - były więzień Oświęcimia, związany z konspiracyjną Szesnastką. Zaraz w pierwszych godzinach walk został zamordowany przez własowskich czy ukraińskich esesowców, którzy w odwet za wybuch powstania zaczęli mordować mieszkańców Służewca.

W kilkanaście godzin później dwóch młodych chłopców z konspiracyjnej drużyny zginęło w zbrojnym starciu z hitlerowcami. Pod Pęcunami polegli Michał Dowbor-Muśnicki i Wiesław Radtke. Było to tak. 1 sierpnia o godzinie "W" pluton sanitarny - ośmiu chłopców z Szesnastki pod komendą Michała Dowbor-Muśnickiego - znalazło się, zgodnie z wyznaczonym planem mobilizacyjnym, w domach ZUS między ulicami Asnyka a Niemcewicza na Ochocie. Prócz Dowbora byli w tym plutonie: Michał Grocholski z bratem, Jan Żołnowski, Kazimierz Rutkowski, Wiesław Radtke i dwóch innych o nazwiskach nieustalonych. Jak wiadomo powstanie na Ochocie załamało się natychmiast - pierwszego dnia po południu. W nocy oddziały AK dowodzone przez ppłk. Grzymałę otrzymują rozkaz ewakuacji i wycofują się do Lasów Kabackich. Pluton z Szesnastki jest częścią tych oddziałów. Chłopcom udaje się w nocy wydostać z miasta. Ze Szczęśliwic pierwszą ranną kolejką EKD dojeżdżają do Malich. Stamtąd ruszają w kierunku Pęcic. Napotykają na niemieckie oddziały i rozpoczyna się bitwa. Chłopcy atakują tyralerią. Przy trzecim skoku, między kopami zboża, pada Michał Dowbor - dostał w krzyż. Michał Grocholski - a wszystko to byli młodzi, nastoletni chłopcy - dopada do leżącego kolegi. Dowbor modli się głośno, oddaje przyjacielowi zegarek i medalionik, wie, że umiera. Prosi o ratunek. Ale uderzenie rozwija się dalej - Grocholski obiecuje wrócić do przyjaciela, gdy tylko skończy się walka. Ale walka trwa. AK-owcy zostają rozproszeni. Glinie następny Zawiszak - Wiesław Radtke. Powrót po rannego Dowbora jest już niemożliwy. Czy przeszył jeszcze godzinę lub dwie, nim rozstrzelali go Niemcy?

Dwaj młodzi Zawiszacy, którzy polegli w tej bitwie powstańczej leżą we wspólnej mogile harcerszy Bloku Prochowni.

Gdy zastęp Zawiszaków pod wodzą Michała Dowhora toczy swój pierwszy, tragiczny bój - w Śródmieściu, na południe od Alei Jerolimskich, Placek - Józef Przewłocki usiłuje, zgodnie z powstańczym założeniem, zgromadzić możliwie najwięcej chłopców z Szesnastki - a nie do wszystkich dotarły mobilizacyjne rozkazy, nie wszyscy zdołali się przedostać na punkt zbiórki przewidziany rozkazem. Ma stworzyć zwarty oddział powstańczej służby cywilnej. Obu bliźniakom - braciom Przewłockim - już w ciągu pierwszych godzin powstania udaje się zwołać grupę Zawiszaków i włączyć ją do akcji ogólnej - i to, jak dziwne bywają koleje losów, akurat w budynku gimnazjum Staszica, który opanowany przez AK-owców staje się kwaterą powstańców głównie operujących na terenie Politechniki. W tym budynku organizuje się jednostka harcerska Bloku Prochowni, w skład której wchodzi i Zawiszacy pod wodzą Placka. Prócz obu braci są tam między innymi Feliks Szabeko, Andrzej Położński, obaj bracia Flaterowie - Aleksander i Ludwik, Reniek - nie znanego nazwiska, a niebawem również Wiesław Szeliski oraz Jerzy Kacprzyński, który po wojnie będzie przynocnym Szesnastki. Oddział Zawiszaków rośnie stale, po kilku dniach stanowi już okazałą drużynę chłopców, akcentujących, iż są oni Szesnastką, bardzo czynnych w rozmaitych akcjach pomocniczych i zwiadowczych.

I tak na kilka pierwszych dni powstania Zawiszacy raz jeszcze wrócili do swej izby na czwartym piętrze budynku gimnazjum!

W pierwszych dniach sierpnia Jacek i Placek otrzymują polecenie, a ściślej - podejmują się na ochotnika nawiązania kontaktu między dowództwem Śródmieścia a oddziałami AK-owskimi w Lasach Kabackich. Dowództwo AK powtarzało te próby parokrotnie - łącznie ginęli po drodze. Dwaj Zawiszacy - dwaj mali, zręczni, dzielni chłopcy mieli szczęście - może ich było dostrzec trudniej,

niż dorosłych mężczyzn, może byli dzielniejsi. Kanałami przedostali się na Mokotów, potem ruszyli polami. Udało im się dostać do dowództwa oddziałów leśnych - przenieśli rozkazy i z meldunkami wrócili z powrotem do Śródmieścia. Zadanie wykonali szybko i rzetelnie. Obaj otrzymali za to Krzyże Walecznych.

19 sierpnia Niemcy podjęli atak na warszawską Politechnikę. Gdy dwa hitlerowskie czołgi wjechały nagle od strony ulicy Koszykowej - powstańcy podpaliły je butelkami z benzyną. Kontruderżenia powstańców nie dały rezultatów, a od ognia dział niemieckich zaczęły się palić domy na ulicy Noakowskiego i Lwowskiej. Niemcy z ogromną siłą prowadzili atak pociskami artyleryjskimi i raketowymi. Zawiszacy rzucili się gasić domy - bosakami i płaskiem. W gaszących trafił następny pocisk. Na miejscu giną dwaj: Jacek - Zygmunt Przewłocki i Dziadek - Aleksander Plater. Ranni zostają: Ludwik Plater, Andrzej Płonki, Wiesław Szeliski. Zygmunt Przewłocki zostaje pośmiertnie dekorowany Krzyżem Walecznych i Krzyżem Virtuti Militari, Aleksander Plater - Krzyżem Walecznych.

Budynek Staszica i nasza m.in. izba zostaje spalony, oddział wykrwawiony - powstańcza Szesnastka zostaje przeniesiona do nowej kwatery, do domu na rogu ulic Mokotowskiej i Koszykowej. Tam zostaje wcielona do zgrupowania BS porucznika Kuropatwy, jednego z szerszerogowych dowódców drużyn zawiszackich. Do tej nowej kwatery chłopcy z Szesnastki, na ich czele ciągle stoi Placek, p.o. drużynowego drużyny powstańczej, przenoszą sztandar drużyny, przez lata okupacji przechowywany w mieszkaniu państwa Moesów przy ulicy Czackiego. Kwaterujący na Koszykowej chłopcy biorą udział w najrozmaitszych działaniach powstańczych. Pod stałym ostrzałem budują linię telefoniczną przez ulice Mokotowską i Koszykową - najczynniejszymi byli tam: W. Szeliski, A. Połowski, K. Strzelecki. Paru Zawiszaków funkcjonuje jako listonosze har-

carskiej poczty powstańczej. Inni używani są do prac zwiadowczych. Czynnymi są wszędzie tam, gdzie potrzeba młodych, ofiarnych rąk - a potrzeba jest bez liku.

Nowa kwatery Szesnastki nie zostaje oszczędzona. Krowa - pocisk rakietowy - trafia w klatkę schodową. Feliks Szebeko ciężko ranny, traci nogę. Niemal równocześnie ginie jego matka, mieszkająca parę domów dalej, przy rogu ulic Piękną i Kruczej. Po raz drugi zostaje ranny Wiesław Szeliski.

Równocześnie starsi Zawiszacy walczą w rozmaitych oddziałach wojskowych we wszystkich dzielnicach miasta. W służbie łączności z elektrownią, tak ważnej dla powstania, czynny jest por. "Bill" - Włodzimierz Hellmann nasz dawny, znakomity drużynowy. W trakcie przeprawy z Warszawy północnej do Warszawy południowej trafia na kwatery Zawieszaków Zygmunt Wierzbowski - ostatnie wojenne spotkanie Zygą z walczącą Szesnastką.

Młodzi, najmłodsi Zawiszacy też mają najmniejszych powstańców. Zastęp Janka Moessa miał wyznaczoną zbiórkę 1 sierpnia w mieszkaniu państwa Cholewów przy ulicy Siennej, o godzinie 15-tej; mieli przyjąć z zapasem żywności. Ale rodzice nie puścili swych jedenastoletków - trudno im się dziwić. Nie należy jednak dziwić się i chłopcom, których wszystkie siły i ideowe, i moralne, i odebrane wychowanie, i temperament, i młodzieńcza wyobraźnia pchały do powstania. Więc każdy z tych chłopców, jak mógł i gdzie mógł zgłaszał się do powstania - do jakiejś najbliższej jednostki. Na Powiślu w poczcie harcercskiej łącznikiem-listonoszem był Jerzy Reinstein z Szesnastki. Andrzej Werner zgłosił się do Komendy Pułku Baszta przy ulicy Tynieckiej. Spławiono go - mimo iż twierdził, że ma już lat 14. Odesłano do domu, by się opiekował samotną - ojciec walczył na Starówce - matką. Chłopak przyjął to polecenie wyzwiskami i płaczem. Ale po dwóch dniach wezwano go - specjalnym gońcem -

do służby. Poszedł dumny i szczęśliwy. Dostał mundur, opaskę i furaczkę. Najpierw roznosił powstańcze gazety, potem przydzielony został do poczty harcerek, która swą kwaterę miała przy ul. Odyńca 11. Stamtąd nosił listy i przesyłki nawet na linię frontu, za ulicę Woronicza, na południe, gdzie na małych listonoszów czekała nagroda - pole kartofli i pomidorów. Pełniąc swe listonoszowe obowiązki, hulajnogą pędził po asfaltowych ulicach. Nie zdawał sobie sprawy z niebezpieczeństwa. Ani on - ani ta cała gromadka młodych chłopaków z Szesnastki, która w całej Warszawie, jak potrafiła, służyła w oddziałach powstańczych.

Po upadku Starówki przedostają się do Śródmieścia Zdzisław Szeliński i Stefan Medwadowski - tam walczyli w oddziałach AK. Przynoszą do kwatery Zawiszków na Koszykową wieść tragiczną: Michał Woynicz-Sianożęcki i Jan Pawłowski - żołnierze batalionu Gustaw - zostali rozerwani przy wybuchu czołgu niemieckiego na ulicy Podwale. W tej samej eksplozji ranny zostaje - cudem uratowany - Zdzisław Szeliński. Z Mokotowa przychodzi wieść o śmierci Dymka Giżyckiego. W walkach o Politechnikę ginie drugi brat Wojno. Na Mokotowie ciężko ranny zostaje pkm Andrzej Zieliński - jakimś cudem, wraz ze szpitalem polowym ewakuowany poza miasto na linię EKD, gdzie po paru miesiącach staje na nogi. Gdyby go Niemcy rozpoznali, jako żołnierza - tyłby rozstrzelany.

Na ulicy Jasnej 10, w domu gdzie mieszkał z rodzicami, ginie Marek Strashburger - 14-letni listonosz poczty harcerek, harcerz Szesnastki pełen pysznego temperamentu. W ostatnich dniach powstania ginie kolejny Zawiszek - Reniek, którego nazwiska nie udało się ustalić.

Po dwóch miesiącach walk powstanie upada. W dniu kapitulacji Śródmieścia Placek Przewłocki - drużynowy powstańczej Szesnast-

ki, a po śmierci Michała Sianożęckiego jej przywódca, zawiesza - na jaki nikomu wówczas nie wiadomy czas - działalność drużyny. Nikt nie wie co będzie dalej? Co z Warszawą? Gdzie znów odnajdą się Zawiszacy? Po raz ostatni grupka chłopców z Szesnastki w obecności Zyga Wierzbowskiego salutuje na baczność swój sztandar - swój historyczny już, piękny sztandar. Chłopcy płaczą - gdy Placek składa cenny materiał w wykopanym, piwnicznym dole. W piwnicy domu przy rogu Mokotowskiej i Koszykowej, ostatniej kwaterze powstańczej Szesnastki. I jest to już ich wspólna, ostatnia powstańcza zbiórka. Chłopcy próbuje odszukać swe rodziny. Jedni wraz z wojskiem idą do niewoli, inni - zmieszani z ludnością cywilną wychodzą z Warszawy.

Po Powstaniu Warszawskim spalona zostaje izba Szesnastki, przepada, nigdy potem już nie odnaleziony sztandar drużyny, spalone zostaje archiwum przechowywane przez cały czas okupacji w prywatnych mieszkaniach, ginie Michał Woynicz-Sianożęcki - wspinały drużynowy okupacyjnej Szesnastki, zamordowany zostaje Włodzimierz Giżycki, żołnierską śmiercią giną: Ludwik Plater, Zygmunt Przewłocki - kawaler Virtuti Militari i Krzyża Walecznych, Michał Dowbor-Muśnicki, Wiesław Radtke, Marek Strasturger, Reniek NN...

Późną jesienią 1944 roku Józef Przewłocki, spotkawszy w Krakowie kilku kolegów z Szesnastki, organizuje jeden zastęp. Przez kilka tygodni spotykają się ze sobą. Smutne były ich zbiórki.

17 stycznia 1945 roku ofensywa wojsk radzieckich wyzwala Warszawę, a w kilkanaście godzin później Kraków. Naczelnik Szarych Szeregów wydaje rozkaz rozwiązujący tajną, harcerską organizację. Kończy się więc i historia okupacyjnej, tajnej Szesnastki - Warszawskiej Drużyny Harcerzy im. Zawiszy Czarnego.

Tylko gdzieś na froncie zachodnim, w połowym namiocie pilota RAP hm Gustawa Radwańskiego, zaczynają spotykać się - czasem osobiście, czasem poszukującym listem - Zawiszacy z Szesnastki, i ci, którzy walczyli w wojsku polskim na Zachodzie, i ci kolejno wyzwalani z obozów koncentracyjnych i jenieckich. Już się zwołują, już na nowo się liczą. Już ustalają straty. Dowiadują się, że w lotniczych walkach nad Niemcami zginął pilot Jerzy Godlewski - Zawiszak, w innym oddziale poległ Janek Kropatsch - Zawiszak.

9 maja 1945 roku kończy się w Europie II wojna światowa. Na wszystkich jej frontach walczyli i ginęli instruktorzy i harcerze z Szesnastki. I ci najstarsi, i ci najmłodsi. Byli w oddziałach walczących we wrześniu, byli w wojskach polskich za granicami kraju, walczyli w konspiracji okupowanego kraju, walczyli w powstańczej Warszawie. Siedzieli w obozach jenieckich. Cierpieli w obozach koncentracyjnych. Byli wśród kurierów wysyłanych tajnie do kraju. Nikt z nich nie splamił się zdradą narodową.

Nazwiska poległych, zamordowanych i zaginionych w II wojnie światowej Zawiszaków odczytywane są na Opelu poległych przy ogniskach naszych powojennych obozów. Ku ich czci Zawiszacy, wmurowali tablicę pamiątkową w kościele św. Jacka na warszawskiej Starówce. Za tą tablicą, w murze, umieszczono stalową tubę z nazwiskami tych, którzy polegli w II wojnie światowej.

Cześć Ich Pamięci.

Odrodzenie się harcerstwa po wyzwoleniu kraju z okupacji hitlerowskiej było niemal natychmiastowe. Już w Lublinie, jesienią 1944 roku, powołany został nowy Związek Harcerstwa Pol-

skiego - w zimie 1945 roku, został on poddany paru zmianom organizacyjnym i personalnym. Po wyzwoleniu całej Polski starzy instruktorzy na ogół meldowali się do pracy w harcerstwie, więc coraz lepszą kadrami mogły dysponować władze centralne. Restauracja drużyn była wprost żywiołowa - do harcerstwa młodzież garnęła się masowo. Działała legenda harcerstwa przedwojennego, ale przede wszystkim Szarych Szeregów, o zamachu na Kutschere, odbiciu więźniów pod Arsenalem, dywersyjnych i powstańczych walkach Parasola i Zośki. Legenda ta była siłą mobilizującą młodzież, mimo że aż do lata 1945 roku ostatnie naczelnictwo Szarych Szeregów rozwiązawszy jeszcze w styczniu tę organizację, pozostawało poza nowym, tworzącym się ruchem harcerskim. Dopiero jesienią 1945 roku wiceprzewodniczącym Naczelnictwa ZHP został, z moralnego mandatu dawnych Szarych Szeregów, Aleksander Kaniński - i wtedy dopiero instruktorzy z Szarych Szeregów ostatecznie przystąpili do współdziałania i współkierowania ZHP.

Wśród tych sztytko odradzających się drużyn była Szesnastka. Józef Przewłocki - Placek - wspaniałały harcerz okupacyjnej drużyny, sztytko wróciwszy z matką do zrujnowanej Warszawy, już w marcu 1945 roku zorganizował dwa zastępy 16 WDH im. Zawiszy Czarnego. A w lecie, w lipcu czy w sierpniu 1945 roku, paru chłopców z drużyny pod komendą Jerzego Kacprzyńskiego, który do Szesnastki przyłączył się w Powstaniu Warszawskim i pozostał w niej na długo, pojechała na kolonię letnią, nazwaną obozem, do miejscowości Dątrówka koło Drzewicy w okolicach Radomia. Z okupacyjnej i powstańczej Szesnastki działali w drużynie Wiesław Szeliski i Andrzej Pawłowski. Szesnastka istniała nadal przy gimnazjum im. Staszica - tylko, że to gimnazjum nie pracowało we własnym budynku nie opodal Politechniki, ale gościnnie

w gimnazjum im. Słowackiego przy ulicy Wawelskiej 46. Dyrektorem gimnazjum był dr Otto Kuczewski - stary przedwojenny dyrektor Staszica, ale wśród najczynniejszych organizatorów i nauczycieli szkoły znajdował się Witold Berezecki - dawny opiekun drużyny, który gorąco zabiegał o to, by Szesnastka znowu działała u Staszica.

W lecie 1945 roku wyjechał z Warszawy i z Polski na Zachód do ojca, Józek Przewłocki - i wtedy późną jesienią 1945 roku drużynę objął dawny Zawiszak - harcmistrz z Szarych Szeregów - piszący te słowa. Pamiętam, że zorganizowaliśmy wtedy cztery zastępy: Żbiki, Rysie, Sokoły, Jelenie. Przybocznym drużyny był Jerzy Kacprzyński - wówczas student Politechniki, zastępowymi: Iżykowski, Brzeski, Ratajczak, Jaczewski.

Nosiliśmy biało-granatowe chusty do zielonego munduru, jako że znikąd jeszcze nie można było kupić ani sprawić sobie tradycyjnych krajków Szesnastki. Zbiórki w szkole mogły się odbywać tylko w niedzielę lub święta. Budynek przy ulicy Wawelskiej zajęty był niemal 24 godziny na dobę przez dwa gimnazja - Staszica i Słowackiego. Zastępy spotykały się więc rozmaicie - a to w mieszkaniach, jeżeli jakieś było ocalone, a to w niedalekim ogródku jordanowskim na Wawelskiej, a to w klasach gmachu gimnazjum im. Słowackiego. Pamiętam, że przez czas jakiś pojawiałem się niemal na każdej zbiórce każdego zastępu i po prostu powtarzałem, odtwarzałem zbiórki znane mi sprzed lat. Tak uczyłem zastępowych i chłopców harcerstwa. Kronikarz drużyny zanotował, iż byłem bardzo srogimi i szalenie surowo weryfikowałem wszelkie posiadane przez chłopców stopnie i sprawności. Nie przypominam sobie tej srogości. Pamiętam natomiast, jak coraz więcej było w drużynie chłopców - trzydziestu, może nawet czterdziestu - i jak wyglądał nasz dwuszereg stojących przede mną, z każdym

miesiącem coraz staranniej i bardziej po harcersku ubranych, aż wreszcie w ciągu 1946 roku zdołali oni nawet sprokurować kostki zawieszackie na swe czapki khaki, choć długo jeszcze, aż do końca tego okresu, do 1949 roku nie mogło być mowy o kraj-
kach.

Drużyna, jako gromadka chłopców chcących nosić cyfry 16 i na-
zywać się Zawiszkami, odrodziła się więc szybko - ale proces
przekształcania się w prawdziwą drużynę harcerską trwał dłużej
i przebiegał zupełnie inaczej niż po pierwszej wojnie świato-
wej, choć również zmieniali się drużynowi i drużyna cierpiała
na brak instruktorów. Miała jednak Szesnastka paru starszych
przyjaciół koło siebie. Przedwojenni Zawiszacy, którzy wracali
do Warszawy, chcieli jej pomagać. Był wśród nich Andrzej Zieliń-
ski, a nawet Zygmunt Tyszka - drużynowy z 1918 roku. Pomagały
matki z już zorganizowanego KPH: pani walentyna Zielińska -
przewodnicząca KPH, panie Szeliska, Pawłowska, Tereszczenko,
Dusiewiczowa, pan Cholewa. I szkole również na drużynie zależa-
ło. Drużyna nie była więc zapomniana. Procentowały te kapitały
przyjaźni i koleżeństwa, które wokół siebie i u siebie zgroma-
dziła Szesnastka międzywojenna.

Pod sam koniec marca 1946 roku przekazałem drużynę Markowi
Jaczewskiemu - harcerzowi orlemu - mającemu do pomocy dwóch
przychodzących: Jerzego Kacprzyńskiego oraz Jana Józefa Lipskie-
go /późniejszego pisarza/ - uczniów gimnazjum Staszica. Krok
ku normalizacji pracy w Szesnastce; drużynowy nie powinien być
o wiele starszy od swych zastępowych i przytocznych, a ja się
zbliżałem do trzydziestki. Czas jakiś pozostałem jeszcze w dru-
żynie, jako jej opiekun, ale odtąd drużynowymi już byli ludzie
młodzi zupełnie.

W maju 1946 roku Szesnastka wzięła udział w zlocie Hufca urządzanym w Laskach. Nie wypadła tam najlepiej, ale dała się zauważyć - już była jakąś drużyną! Już nawet trębacz - Włodzimierz Dusiewicz - grał pięknie na sygnałowie. W maju, w mieszkaniu państwa Jaczewskich na Hożej, odbyło się pierwsze powojenne przyrzeczenie - odebrałem je, jako że Zyg jeszcze mieszkał w Gdańsku, od sześciu młodzików, których nazwiska może warto zanotować, gdyż paru z nich dobrze się potem zasłużyło Szesnastce: Edward Salwerowicz, Ryszard Cholewa, Wojciech Kowalczyk, Jan Świdorski, Bogdan Kazuba, Włodzimierz Dusiewicz.

Obóz letni w 1946 roku urządzono w Skokach koło Gostynina. Komendantem był Marek Jaczewski, oboźnym Jerzy Kacprzyński - Kacprusiem" zwany - a opiekunem, który co kilka dni wpadał na czas jakiś i wracał do Warszawy, był niedawny drużynowy, pragnący w ten sposób stare doświadczenia i tradycje obozów Szesnastki przekazać młodym. Przyjeżdżali również inni dawni Zawiszacy - wśród nich Andrzej Zieliński. Obóz był pod namiotami - dwa należące przed wojną do SO WDH odkopano w piwnicy willi państwa Zielińskich /choć nieco zbutwiałe, długo jeszcze służyły drużynie/, dwa dalsze udało się wypożyczyć od wojska. Był to więc właściwie pierwszy powojenny obóz, pełny obóz letni Szesnastki. Urządzony w oparciu o niedaleką dworską resztówkę należącą do pani Machcewiczowej - matki zaprzyjaźnionej z drużyną. Trwał miesiąc. Wzięły w nim udział trzy zastępy. Obóz był trudny, miał ciężkie warunki terenowe - najbardziej dotkliwy był brak dobrej wody. Program był bogaty w gry, biegi i ćwiczenia. Dzięki Kacprzyńskiemu umiejętność służby sanitarnej osiągnęła wysoki poziom. Lano na nim tradycyjne menażki. Urządzono nawet pełen konfliktów "zielony dzień", co było czymś nowym w tradycji drużyny nie uznającej dotąd takich wygłupów. W święto obozu

urządzony został apel poległych. Lista Zawiszków, którzy polegali w pierwszej wojnie światowej została pomnożona o tych, którzy zginęli w drugiej.

Jesienią 1946 roku przypadła 35 rocznica założenia drużyny. W Szesnastce o tym pamiętano. W ruinach domu przy regu. Mokołowskiej i Koszykowej próbowano odszukać zakopany tam sztandar. Nie odnaleziono go nigdy. Pod koniec grudnia na choince drużyny uczczono skromnie, na miarę możliwości ówczesnej drużyny, 35 rocznicę. Ukazał się 199 numer "Sulimczyka". Godność Honorowego Zawiszka przyznano pośmiertnie - w obecności matki i wdowy - Michałowi Woynicz-Sianożęckiemu oraz pani Walentynie Zielińskiej.

Rok 1947 od zimy, aż po jesień 1948 roku cechował się już pewną ustabilizowaną, przyzwoitą pracą harcerską. Drużynowym był ciągle Marek Jaczewski. 29 kwietnia 1947 roku ekshumowano zwłoki Michała Woynicz-Sianożęckiego i Jana Pawłowskiego. Uroczystość, w asyście całej drużyny, pochowano je w kwaterze batalionu Gustawa na Wojskowych Powązkach. Od tamtego czasu przez wiele lat drużyna w dni specjalne trzymała wartę koło tych grobów.

W marcu 1947 roku na jedną ze zbiórek drużyny przybyli szczególnie goście - ośmiu polskich harcerzy, synów emigrantów z Francji. Wśród nich był Emil Wojtaszek, dzisiaj członek Biura Politycznego KC PZPR i Minister Spraw Zagranicznych. Zawiszcacy parokrotnie oprowadzali gości po Warszawie, urządzono wspólną wyświeceniową posadziło, uczono się wzajemnie piosenek. W kronice następu Rysiów Emil Wojtaszek napisał kilka słów o "szczerej przyjaźni" - i nie był to ohyba frazes. Długi czas chłopcy z Francji i Zawiszcacy wymieniali listy i kartki, a w dalszych latach później, gdy dawny reemigrant z Francji już jako komendant chorągwi kieleckiej wisytował chór Szesnastki w Sukowie - przy-

poznano sobie przyjaźń z 1947 roku.

13 maja 1947 roku Szesnastka brała udział - jako drużyna honorowa - w uroczystościach pogrzebowych Juliusza Osterwy, trzymała wartę przy trumnie artysty oraz maszerowała w kondukcje.

Na kolejnym zlocie hufca w Łaskach Szesnastka już prezentowała się bardzo dobrze - starannie umundurowana, zmieniono kolor chustek na niebieski - odnosiła sukcesy i wygrywała rozmaite konkurencje. Letni obóz nad jeziorem Łańskim na Mazurach - komendantem był Marek Jaczewski, oboźnym Stanisław Wołowicz - był obozem bardzo dobrym, programowo bogatym i ciekawym. Trwał 30 dni. Odwiedzali go starzy Zawiszacy - wśród nich sam, już owiany jakąś legendą, Zygmunt Wierzbowski - wtedy dyrektor techniczny Zjednoczenia Energetycznego Okręgu Nadmorskiego, zajmujący się odbudową zniszczonych portów, przemysłu i energetyki miast Wybrzeża. W Komendzie obozu był Tadeusz Lubański, stary Zawiszak, który wróciwszy z oflagu do Warszawy znów stanął do harcerskiej pracy; przekazywał chłopcom kunszt pionierski i obozowy dawnych zawiszackich obozów, ćwiczył ich intensywnie w technikach harcerskich. Zyskał sobie sympatię i miłość chłopców. Założono, gdy odszedł po obozie, by zorganizować swą Osiemdziesiątkę pełną szaroszeregowej chwały. Przez kilkanaście lat te dwie drużyny były sobie bliskie i wiele zbiórek, gier i akcji odbywały wspólnie.

Obóz w Łasku udał się doskonale - najlepszy z wszystkich obozów tamtych, powojennych lat. Ale na jesieni znów zaczęło się w drużynie działać gorzej. Marek Jaczewski, który objął komendę hufca, nie długo mógł łączyć razem funkcje hufcowego i drużynowego - przekazał Szesnastkę Janowi Karoczewskiemu, bardzo przez chłopców lubianemu, dzisiaj znanemu artyście malarso-

wi. W drużynie panował jednak niepokój, jak gdyby w niedotrzym przeczuciu chwili, która miała nadejść. Jakieś swary i spory. Niektórzy chłopcy opuścili drużynę. Obóz letni w 1948 roku urządzono pod komendą Karczewskiego w Wierzbicy koło Chełma Lubelskiego.

Po obozie zaczęły się zmiany - najpierw lokalowe. Gimnazjum Staszica przeniesione zostało z Wawelskiej do budynku na rogu Filtrowej i Raszyńskiej, ty w kilka miesięcy później wrócić do już odbudowanego starego swojego gmachu na placu Politechniki. Ale radość z powrotu na stare śmiecie była krótkotrwała. Nadchodziły niedobre dla harcerstwa dni.

W styczniu 1949 roku w budynku Staszica urządzona została - po raz pierwszy po wojnie u siebie! - choinka drużyny. Miała to być - jak się okazało - ostatnia choinka na przeciąg długich lat. Już wiele innych drużyn przestało istnieć. Mówiono, że la-da miesiąc przestanie istnieć harcerstwo w swej dotychczasowej postaci ZHP. Jeszcze zdołano zorganizować obóz letni w Gutianie. Komendantem był Wiesław Szeliński, oboźnym Edward Salwerowicz.

Włodek Dusiewicz, piosenkarz i poeta drużyny, Zawiszak bardzo czynny, skomponował wtedy - na choinkę 1949 roku - piosenkę, która brzmiała smutno:

"Na dworze śroźny wiatr tumany gna!

I pada śnieg w tumanach tych.

Jest na świecie przystań mała,

która w sobie nas zebrała...

W dniach od losu złych.

16-ko o towarzyszek ciężkiej doli,

16-ko piastunko naszych młodych sił,

16-ko jeżeli Stwórcza nam pozwoli -

Twój obraz wiernie, na zwasze, w sercach bądźcie żył!"

Istotnie! Niebawem miał to być już tylko obraz w pamięci.

Po powrocie z obozu, na początku nowego roku szkolnego 1949/50 zabrano Szesnastkę izbę, którą - odbudowaną - cieszyła się tak krótko. Zniknął gdzieś zniszczony i rozszabrowany sprzęt obozowy. Drużyna została rozwiązana, a na to miejsce powołano organizację harcerską Związku Młodzieży Polskiej. A była to już zupełnie inna organizacja, o innych celach i tylko zbliżonych metodach pracy. Na początku 1950 roku zlikwidowano również gimnazjum Staszica - w gmachu na Polnej powstała szkoła TPD nr 2.

Gimnazjum im. Staszica już się nie odrodziło nigdy. Szesnastka przestała istnieć tylko na siedem lat. Ale już nigdy potem nie wróciła do starego gmachu na ulicy Polnej.

Przez siedem lat, od 1950 do 1957 roku, nie było więc Szesnastki. Choć może poszczególni młodzi chłopcy z drużyny należeli do ZMP-owskiej organizacji harcerskiej.

A więc od 1949 roku Szesnastka, jako drużyna harcerska złożona z chłopców, zastępowych, drużynowych i pracująca według pewnej metody pedagogicznej nie istniała!

Jeżeli jednak zna się przebieg wydarzeń, które w harcerskiej organizacji ZMP miały miejsce w 1956 roku, jeżeli zna się ów spontaniczny wybuch odradzającego się samodzielnego Związku Harcerstwa Polskiego - twierdzenie o nieistnieniu Szesnastki między 1949 a 1957 rokiem - jak zresztą takie samo twierdzenie o nieistnieniu wielu innych starych, tradycyjnych drużyn harcerskich - należy opatrzyć bardzo zasadniczym znakiem wątpliwości. Szesnastka wśród starych drużyn nie była w tym względzie żadnym

wyjątkiem - nieobecna jako jednostka organizacyjna, trwała jako idea, jako więź przyjaciół, jako niezmiernie silne wspomnienie i jako gorące pragnienie. Gdy tylko w lecie 1956 roku wydarzenia polityczne doprowadziły do przekształcenia się wydziału harcerskiego przy Związku Młodzieży Polskiej w samodzielną organizację Harcerską, a w trzy miesiące później do restauracji już normalnego Związku Harcerstwa Polskiego, gdy więc harcerstwo znów odzyskało należne miejsce w życiu naszej młodzieży - dawni Zawiszacy znowu zaczęli się spotykać owładnięci myślą restaurowania Szesnastki.

Pewnego dnia, jesienią 1956 roku w salce warszawskiego Domu Architekta przy ulicy Senatorskiej zebrało się blisko stu dwudziestu członków drużyny, z Zygmuntem Wierzbowskim, który już wtedy przeniósł się do Warszawy będąc głównym specjalistą Energetyki Przemysłu chemicznego, Zbigniewem Klarnerem, Zygmuntem Ładą, Stefanem Jedlińskim, Andrzejem Pfefferem, Andrzejem Zielińskim na czele. Zebranie postawione jakichkolwiek reguł oficjalności cechowała absolutna jedynomyślność. Zyg podsumował dyskusję: "w istniejącej sytuacji odradzania się Związku Harcerstwa Polskiego należy dążyć wszystkimi siłami do resztytuowania Szesnastki, jeżeli można przy szkole działającej w gmachu dawnego gimnazjum im. Staszica przy Polnej, jeżeli nie - w jakiejś innej".

Niemal w tym samym czasie w kawiarni "Bombonierka" przy Rynku Nowego Miasta spotkała się inna grupa przyjaciół z Szesnastki i oni również postanowili organizować drużynę. Byli to: Włodzimierz Dusiewicz, Jan Karczewski, Andrzej Pawłowski, Edward Salwerowicz, Tadeusz Sułowski, Wiesław Szeliski i paru innych. Przede wszystkim ci, którzy do Szesnastki zapisali się w 1941 roku, jako młodzi chłopcy, którzy w niej przeżyli okupację, pow-

stanie, całą wojnę, i którzy potem odbudowali ją w 1945 roku i byli z nią związani aż do 1949 roku. Tak się realizowała ciągłość naszych zawiszackich pokoleń - autentyczna ciągłość Szesnastki, która sprawia, że dzisiaj możemy mówić o siedemdziesięcioleciu, a za pięć lat zapewne o siedemdziesięciopięcioletniu drużyny. Szesnastkę w 1957 roku chcieli restaurować i najstarsi i najmłodsi Zawiszacy, których w 1941 roku przyjmował do niej Michał Woynicz-Sianożęcki wspólnie z Andrzejem Zielińskim i Janem Bugajskim, a więc ci, którzy sami wstąpili do drużyny na początku lat trzydziestych i byli najmłodszymi wychowankami Zygmunta Wierzbowskiego. I tak dalej wstecz - aż do tamtego 1911 roku pierwszego.

Gdy po naradzie w "Bombonierce" delegat tej gromadki Zawiszaków zgłosił się do hufcowego odradzającego się harcerstwa warszawskiego - a było to jeszcze przed Zjazdem Łódzkim, przed grudniem 1956 roku - by zarejestrować, jak gdyby "zaklepać", numer i godło drużyny, usłyszał od hufcowego Stefana Sosnowskiego, że "w tej sprawie już był taki starszy, siwy, harcmistrz, zaraz, zaraz, jak on się nazywa..." - hufcowy zaczął szperać w notesie - "i zastrzegł sobie prawo założenia Szesnastki w szkole przy placu Politechniki". Po chwili miał już zanotowane nazwisko - Zygmunt Wierzbowski! Krótki okrzyk radości! Tak, tak - moi mili - Szesnastka musiała istnieć przez wszystkie te nieprzychylnie lata, jeżeli u schyłku 1956 roku, jednocześnie zbiegły się dwie przez nikogo nie uzgadniane inicjatywy.

Tyle, że nie było już starej, dawnej szkoły przy placu Politechniki, przy placu Jedności Robotniczej. Nie było ani być nie miało żadnego liceum im. Stanisława Staszica. Istniała tam zupełnie inna szkoła podstawowa, w której już wcześniej komórka organizacji harcerskiej ZMP przekształciła się w inaczej nume-

rowaną drużynę. Miejsce już było zajęte, a przy tym Zawiszakom zależało na oparciu raczej o liceum niż o szkołę podstawową. Drużyny w Warszawie odradzały się wtedy bardzo szybko - nie tylko, powiedzianek już, jedna Szesnastka przetrwała te lata przerwy jako idea. Wolne okazuje się jeszcze miejsce w liceum im. Koźłataja w budynku przy rogu Grójeckiej i Banacha, w hufcu Ochota, tym samym do którego w roku 1944 należała Szesnastka szaroszeregowa.

Hufcowym Ochoty był w 1957 roku hm Włodzimierz Lewiński i gdy dawni Zawiszacy zameldowali się u niego, uradowany wyciągnął ręce. Szesnastka w dziejach harcerstwa warszawskiego miała swe poczesne i ważne miejsce!

Późną zimą 1957 roku w liceum im. Koźłataja rozpoczęto więc organizować Szesnastkę. Na nowo - ciągle tę samą!

Grupa przyjaciół najczynniejszych w tym zawisackim odrodzeniu postanowiła, że drużynowym zostanie Andrzej Pawłowski, który już ukończył swe studia politechniczne, a więc miał nieco więcej czasu od innych, jeszcze kończących uczelnie.

Zaczęto systematycznie - od zastępu zastępowych, czyli kursu na zastępowych, którego komendantem został Wiesław Szeliński. Kurs taki miał doniosłe znaczenie - gdy w wielu, rosnących wtedy jak grzyby po deszczu, drużynach brakowało dobrych zastępowych i programy harcerskie realizowały się raczej na zbiórkach całych drużyn niż na zbiórkach zastępów - w Szesnastce od samego nowego jej początku przywiązywano podstawowe znaczenie do pracy zastępów. W zastępach realizowała się drużyna. Intensywne szkolenie przyszłych zastępowych tym razem trwało stosunkowo krótko - wczesną wiosną utworzono pierwszy zastęp Bohrów, a wkrótce potem drużyna zgromadziła już około pięćdziesięciu chłopców. Może warto przypomnieć nazwiska chłopców z najbardziej pierwszego zastępu Bohrów: Andrzej Doliński, Andrzej

Grześczak, Józef Hass, Wojciech Kania, Jacek Klep, Andrzej Kossowski, Wojciech Lewocik, Mirosław Łukaszewski, Andrzej Mokrzyzewski, Jerzy Szeffler /którego matka pani Sabina Szefflerowa na bardzo długo stała się najczynniejszą organizatorką i przewodniczącą Koła Przyjaciół Drużyny/ oraz Tadeusz Woźniak. Duża część z tych chłopców miała należeć do drużyny długie lata i odegrać w niej poważną rolę.

Drużyna była wyłącznie męska. Dziewczęta w szkole im. Kołłątaja założyły zupełnie inną drużynę.

Wkrótce po ukonstytuowaniu się Szesnastki, nowej i starej równocześnie, podjęto z udziałem starszych i nieco młodszych Zawiszaków pod kierunkiem Andrzeja Pawłowskiego i Wiesława Szeliskiego próbę dogrzebania się do piwnicy w ruinach - wtedy jeszcze były to ruiny - domu stojącego niegdyś przy rogu Koszykowej i Mokotowskiej. Pamiętamy, że ostatniego dnia Powstania Warszawskiego Przewłocki z Szeliskim i paru innymi chłopcami w obecności Zygą, w piwnicy tego właśnie domu, ukryli w blaszanej skrzynce sztandar Szesnastki, broń, filmy oraz mundur poległego Jacka Przewłockiego. Teraz chcieli ten sztandar odszukać. Rozpoczęli dwie akcje. Dali kilka ogłoszeń do "Expressu Wieczornego", aby dowiedzieć się, czy ktoś nie wie czegoś o losach zakopanego sztandaru, a równocześnie zaczęli grzebać w zrujnowanej piwnicy. I gdy tak wiele już godzin mocowali się z ceglanym fundamentem ruiny, jakiś obcy przechodźni odciągnął na bok Wiesława Szeliskiego i bez ceregieli przedstawiania się, powoławszy się na ogłoszenie w kurierze powiedział mu, że w parenasście miesiąc po wojnie państwowe władze porządkowe otrzymały wiadomość, iż w tej piwnicy jest schowana broń. Zarządziły odkopanie. Odkopano kilka rewolwerów, a również jakiś sztandar szkolny czy harcerski. Broń i sztandar zabrano. Tak ostatecznie przepadł stary

sztandar Szesnastki.

Pod koniec roku szkolnego 1956/57 Szesnastka liczyła już cztery zastępy oraz zastęp zastępowych. Drużynowym był Andrzej Pawłowski, jego najbliższymi pomocnikami - przytoczonymi: Wiesław Szeliński, Tadeusz Sułkowski, Włodzimierz Dusiewicz; jeszcze nie mieli oni stopni instruktorskich formalnie obowiązujących w ZHP, niektórzy z nich nawet się o to nie starali - byli to już młodzi ludzie po studiach, rozpoczynający życie zawodowe i rodzinne i bardziej zależało im na Szesnastce niż na formalnym potwierdzeniu swej instruktorskiej wiedzy czy pozycji. Z biegiem czasu tylko Tadeusz Sułkowski i Włodzimierz Dusiewicz uzyskali normalne stopnie instruktorów ZHP. Spośród zastępowych warto może przypomnieć niezmiernie przez chłopców lubianego Stanisława Więckowskiego, którego brat był w przedwojennej Szesnastce.

Harcowano intensywnie - liczne wycieczki w okolice Warszawy, biwaki, gry i ćwiczenia. Oraz wielkie marzenia - o obozie! Wiosną tego roku wszystkim zależało na tym, aby nowo restaurowana drużyna mogła wyjechać na letni obóz - przecież najważniejszy element pracy harcerskiej. Krzatali się koło tego starzy Zawiszacy, ogromną energię okazali rodzice na czele z panią Sabiną Szefflerową. W komendzie hufca Ochota świadczył pomoc jeden z instruktorów phm Stanisław Korwin-Szymanowski, zapamiętajcie sobie to nazwisko; miał się on później związać z Szesnastką na stałe, aż po dzień dzisiejszy. Z pomocą materialną przyszła Komenda Chorągwi Również. Zbierano fundusze, sprzęt pionierski i namioty. I oto w lipcu 1957 roku Szesnastka wyjechała na swój pierwszy w nowym życiu, dwudziesty ósmy w ogólnym rachunku /licząc w to i obozy konspiracyjne/ obóz letni. W Karwieńskich Błotach, tam gdzie już raz był tak świetny obóz w 1931 roku. Jeszcze jedno, całkiem świadome nawiązanie do

tradycji, tak przydatnej w poczynaniach restaurujących drużynę. Oboz, całkowicie urządzony pod namiotami, trwał cztery tygodnie. Komendant - Andrzej Pawłowski, oboźny - Włodzimierz Dusiewicz, gospodarz - Edward Salwerowicz. A dyrektorem obozowym była młoda lekarka, żona Andrzeja Pawłowskiego, której pomagał, dojeżdżając co kilka dni Jerzy Hellmann. Pamiętacie krewkiego i żwawego Mecenasa ze wspaniałych lat Szesnastki, Mecenasa, który tak cudownie szalał na wielu tantych obozach drużyny, w tych samych Karwieńskich Błotach również.

W tym miejscu należy przypomnieć sprawę podstawową dla całej historii naszej drużyny. Powiedziałem już, że Szesnastkę w 1957 roku powołały do życia dwie równoległe inicjatywy - Zawiszków tych najstarszych, wśród których znalazł się Stanisław Ździarski - Zawiszak sprzed I wojny światowej, o którym już wspominałem - oraz tych z czasów II wojny i lat powojennych. Z natury rzeczy ci drudzy odegrali w restaurowaniu drużyny rolę najważniejszą, byli młodszy i mogli być aktywniejszy, ale ci starszy spieszyli się ze stałą pomocą. W pierwszych miesiącach drużyny każdy z zastępów miał jak gdyby opiekuna w jednym z przedwojennych Zawiszków, który przekazywał chłopcom dawne harcerskie i Zawiszackie, techniczne i moralne tradycje.

Na Święto Obozu w Karwieńskich Błotach zjechała się spora gromadka dawnych Zawiszków. Wśród nich - Zygmunt Wierzbowski. Z niedalekiego Gdańska przyjechał profesor Politechniki inż. Włodzimierz Hellmann, oboźny w Karwieńskich Błotach 26 lat wcześniej. Zawiszackie ściegi szły przez pokolenia. Brat poległego w powstaniu dawnego Cietrzewia - Jana Pawłowskiego - był komendantem tego obozu, a wśród obozujących chłopców był syn Stefana Jedlińskiego, zastępowego dawnych Cietrzewi, który był ostatnim przedwojennym drużynowym Szesnastki. W organizowaniu

nowego Koła Przyjaciół Harcerstwa pani Sabinę Szaflarowej, nowej przewodniczącej Koła, pomagała matka Andrzeja Zielińskiego pani Walentyna Zielińska Honorowy Zawiszak, od wielu dziesięcioleci gorąco działająca i w przedwojennym, okupacyjnym i powojennym KPH.

Te wszystkie informacje personalne, które można pomnożyć o dalsze nazwiska, wydają mi się szalenie istotne - one to bowiem dokumentują i legitymują autentyczną ciągłość drużyny do dziś istniejącej. Nie wolno, w tym akurat miejscu, powstrzymać się i od tej uwagi, iż w samej tylko Warszawie istnieje jeszcze kilkanaście drużyn troskliwie zachowujących takie same więzy tradycyjne, legitymujących się podobną ciągłością historyczną. A poza Warszawą takie drużyny istnieją i w innych miastach polskich - w Krakowie, Poznaniu, Łodzi, na Śląsku i na Wybrzeżu. Jest to pewna niezmiernie cenna wartość społeczna i narodowa, której należy udzielać wszelkiego moralnego poparcia.

Jesienią 1957 roku musiał, pod naciskiem swych prac zawodowych, ustąpić z funkcji drużynowego Andrzej Pawłowski. Szesnastka już znowu była drużyną sprawną, która dobrze wystartowała do kolejnego etapu swych dziejów.

Po odejściu Pawłowskiego Szesnastką kierował, jak gdyby dumwirat - Tadeusz Sułowski i Włodzimierz Dusiewicz wymieniali się wzajemnie - raz jeden był drużynowym, raz drugi.

Ten drużynowy o podwójnej postaci świadczył oczywiście o tym, że nowa drużyna istniała jeszcze zbyt krótko, by móc wykształcić jakiegoś młodego dwudziestolatka, gdyż to jest wiek najstosowniejszy na harcerskiego przywódcę-instruktora. I o tym, że dwóm dorosłym mężczyznom, z których każdy miał swój zawód, trudno było, i zawsze jest trudno, znaleźć tyle wolnego czasu, ile wymaga sprawne i efektywne kierowanie młodzieżową gromadką harcerską.

Niemniej - i to zasługuje na podziw - ta przeplatanka na stanowisku drużynowego, a raczej to dwuosobowe kierownictwo, nie odbiło się ujemnie na rozwoju Szesnastki. W najrozmaitszych zawodach chorągwi Szesnastka znowu zdobywa czołowe miejsca. Za pierwsze uzyskane w konkursowej akcji kierowania ruchem ulicznym otrzymuje bardzo wtedy dla siebie cenną materialnie nagrodę komendanta chorągwi: cztery namioty i parę fanfar. Dzięki specjalnej trosce Włodzimierza Dusiewicza, później młodego reżysera filmowego, drużyna osiąga wysoką sprawność w działalności artystycznej. I tę sprawność będzie kultywować w latach następnych.

Pod koniec 1957 roku w sali przy ulicy Kopernika 30 /uzyskanej dzięki pomocy pana Hoffmana, czynnego w KPH ojca dwóch chłopców/ odbyła się choinka drużyny - pierwsza po tylu latach przerwy, zamykająca i sumująca rok odrodzenia. Na tej uroczystej i radosnej imprezie Andrzej Pawłowski rzucił myśl wykonania kopii starego sztandaru drużyny - drużyna przecież powinna mieć sztandar! A tak się złożyło, że w trakcie poszukiwania poprzez ogłoszenia w "Expressie" zakopanego sztandaru drużyny, zgłosiła się do Andrzeja Pawłowskiego siostra z zakładu tkackiego przy ulicy Brackiej, w którym zakonnice zajmowały się haftowaniem sztandarów. Oświadczyła ona, że w ich zakładzie uratowały się rysunki i sztance starego sztandaru drużyny - w 1925 roku sztandar Szesnastki był szyty i haftowany właśnie w tym zakładzie, więc teraz w 1958 roku, w tych samych warsztatach przy ulicy Brackiej został uszyty i wyhaftowany nowy sztandar drużyny - identyczny z zaginionym. Nie tylko mury warszawskie restaurowano według starych planów i wzorów. Uroczystości wręczyli go drużynie starzy Zawiszacy na Święcie obozu w lipcu 1958 roku w Suko-
wie.

Sztandar ten miał być jak gdyby symbolem łączności dawnej drużyny z nową, środowiska starych Zawiszaków z Zawiszakami najmłodszymi. Starzy Zawiszacy przekazywali w opiekę młodym ten wspólny, symboliczny skarb. Sztandar ten - staronowy - nie był zgodny z regulaminami obowiązującymi w harcerstwie, aż do czasu uszycia więc nowego sztandaru już zupełnie zgodnego z przepisami organizacji miał on służyć drużynie, potem stać się tylko symbolem o historycznym znaczeniu - wysłano nawet o przekazaniu go do Muzeum m.st. Warszawy. Dzisiaj wisi on na poczesnym miejscu w izbie drużyny. Przez kilkanaście lat pełnił on jednak - jeżeli tak można powiedzieć - swą służbę w drużynie i drużyną wokół niego pełniła swą służbę.

W Sukowie, 16 kilometrów od Kielc, był kolejny XXIX obóz letni. Przez dwa tygodnie komendantem był Sułowski, przez następne dwa - Dusiewicz. Oboźnym - Tadeusz Woźniak, już wychowanek Szesnastki tej z 1957 roku, członek zastępu Bohrów, doskonale zapowiadający się harcerz, który potem odszedł z drużyny. W Sukowie już więc i oboźny, i wszyscy zastępowi byli z tych chłopców, którzy do drużyny wstąpili już po jej restytuowaniu. Zjawisko bardzo pomyślne. Akcentem obozu była wędrówka przez Łysogóry oraz wskrzeszenie dawnej tradycji podchodów - tym razem Zawiszacy, a przewodził nimi Dusiewicz, podkradli się do obozu drużyny z Torunia, zabrali flagę i proporce zastępów oraz porwali wartownika, zostawiając listy z prośbą o rewanz. Rewanz toruńczyków jednak się nie udał, za to końcowe ognisko przyjaźni obu drużyn wypadło bardzo przyjemnie.

Gdy defiladą na placu Zwycięstwa rozpoczynał się następny rok pracy harcerskiej - 1958/59 - Szesnastka była w hufcu jedy-
ną drużyną mającą już swój sztandar. Wsunięto ją więc na czoło

defilady odbieranej przez ówczesną Naczelniczkę Harcerstwa druhną Zofię Zakrzewską. Znowu w równych czwórkach maszerowali chłopcy w krótkich, harcerskich spodenkach - jawnie sprzeciwiając się wtedy wśród młodzieży harcerskiej brzydkiej modzie łączenia bluzy harcerskiej z cywilnymi, dzinsowymi, często długimi, spodniami - jak gdyby ci harcerze wstydzieli się swojego mundurka, jak gdyby chcieli się upodobnić do reszty młodzieży, a przecież harcerstwo właśnie polegało na odróżnianiu się, i w obyczaju, i w obywatelskiej postawie, i w stroju również od całej wielkiej masy nieharcerskiej młodzieży. A więc w równych czwórkach maszerowali chłopcy w krótkich, harcerskich spodenkach, w jednolitych, ciemnych skarpetkach, na czapkach mający góralskie kostki, na koszuli charakterystyczną, wielokolorową krajkę - o przewadze barwy zielonej - odtworzoną według przedwojennego wzoru na specjalne zamówienie w warsztatach tkackich w Łowiczu. W Szesnastce zawsze przywiązywano wagę do prezencji i do munduru i chciano, by to był mundur jednolicie harcerski, tradycyjnie zawieszacki. Tak umundurowani szli pod takim sztandarem! Druhá Naczelniczka powiedziała kilka ciepłych słów. Przypomniała sobie - ona, instruktorka starej warszawskiej żeńskiej Trójki z gimnazjum im. Słowackiego - chłopców z zaprzyjaźnionej niegdyś z jej Trójką Szesnastki. Wtedy, przed wojną, było przecież tak: chłopcy z Szesnastki podkochiwali się w dziewczynach z Trójki. Na harcerskiej defiladzie jesienią 1958 roku przed druhną Zakrzewską paradował syn drużynowego dawnej Szesnastki i zastępowej dawnej Trójki. Tak się to wszystko spletało. To już było harcerstwo trzeciej - licząc od 1909 roku - generacji. A Szesnastka miała za dawa lata obchodzić swoje półwiecze.

Więc mundur z łowicką krajką i góralskimi kostkami. Więć sztandar - staronowy. Nie mogło się obyć bez "Sulimczyka". Za-

czął się ukazywać - jako miesięcznik - i ukazywać się będzie dość nieregularnie w latach następnych, kolejno redagowany przez Mirosława Łukaszewskiego, Adama Krynieckiego, Tomasa Biernawskiego. I nadal pełnił swą integracyjną służbę wychowawczą.

W czasie ferii bożonarodzeniowych 1958/59 roku trzynastu chłopców pod wodzą Dusiewicza pojechało na trzynaste, a pierwsze po wojnie, równo w dwadzieścia lat po ostatnim, zimowisko drużyny do Starego Lesieńca w Górach Sowich. W ramach zimowego zgrupowania hufca Ochota. Trzynastu chłopców, na trzynastym zimowisku, przez trzynaście dni - no więc nie mieli ani milimetra śniegu. Narty tkwiły bezczynnie ale oni tak harcowali, że zdobyli I miejsce w punktacji całego zgromadzenia. Bawili się znakomicie - na tradycyjnym sylwestrze zawieszackim również. Śnieg zaczął prosić, gdy stali już na peronie kolejowym przed powrotem do Warszawy. Ten i ów przypiął narty, by choć jeden ślizg wzdłuż szyn...

Ale już w 1959 roku ten osotliwy dumwirat drużynowych zaczął utykać. Prawidłowo. Obaj prowadzący drużynę byli ludźmi dorosłymi, mającymi coraz bardziej absorbujące ich zajęcia zawodowe i rodzinne. W harcerskiej metodzie wychowawczej oraz w naszym systemie organizacyjnym drużyny niegdyś, szczepowy obecnie, to w zasadzie - bywały rzadkie wyjątki! - ktoś tylko o niewiele lat starszy od prowadzonej przez siebie gromadki młodzieży. Tylko w specjalnych okolicznościach człowiek zupełnie dorosły, ten w średnim wieku, potrafi z pożytkiem dla drużyny pełnić obowiązki bezpośredniego przełożonego i przywódcy. Zbiórki zastępów powinny być prowadzone przez starszych o rok, dwa lub trzy lata najdalej - i te zbiórki tak się w Szesnastce wtedy odbywały.

Ale już obóz letni wymagał od drużynowego absorbującej pracy przygotowawczej, a dwaj dorośli ludzie nie mieli tego czasu w ilościach dostatecznych.

W 1959 roku rozpoczął się nowy kryzys osobowy, jakich Szesnastka przeżyła już kilka - jak każda przeważnie drużyna; zawsze jest on sygnałem, iż wadliwie funkcjonuje mechanizm kształcenia młodych instruktorów, których każda przecież drużyna powinna kształcić, produkować z własnej młodzieży na własne potrzeby. Po kilku, przecież niewielu, latach spędzonych w drużynie młody chłopak już może podejmować się pierwszych obowiązków instruktorskich. Drużyna powinna go tego nauczyć i takie w nim rozbudzić ambicje. Szesnastka w roku 1959 mogła mieć jednak pewne usprawiedliwienie - od restauracji minęło dopiero dwa lata. Tylko dwa lata! I wtedy pomoc znowu przyszła - z lat dawnych, od tego zespołu ludzi, którzy kiedyś byli w Szesnastce i czuli się z nią jakos związani. W kręgu drużyny pojawił się Zbigniew Stok-Stokowiec, który jeszcze w styczniu 1938 roku otrzymał stopień młodszika i złożył przyrzeczenie, potem był w Szesnastce okupacyjnej i w Szarych Szeregach, w partyzantce i w wojsku Andersa, a który w 1959 roku jako zawodowy aktor i reżyser był dyrektorem stołecznej "Estrady". Znalazł czas i znalazł - co ważniejsze - skłonność i serce dla drużyny. Zaofiarował swą pomoc w organizowaniu obozu letniego - w Przerzeolu koło Pizsa - ale obóz ten był jeszcze wykładnikiem i efektem kryzysu, jaki dotknął drużynę. Jeszcze nie udało się przezwyciężyć kłopotów personalnych i organizacyjnych i w rezultacie XXX obóz letni miał aż czterech komendantów - zmieniali się co tydzień, gdyż żaden nie mógł drużynie poświęcić więcej czasu ze swego zawodowego czasu: Jan Stok, Sułowski, Szeliski, Salwerowicz - wszyscy dawni Zawieszacy. Tak, że właściwą komendę tworzyli trzej młodzi

chłopcy z X klasy, może nawet zanadto młodzi jak na te funkcje sprawowane w takich warunkach. Zastępca komendanta Adam Krynicki, oboźny Tadeusz Woźniak oraz kwatermistrz Bogdan Wichciel. Obóz liczebnie duży, bo aż pięćdziesięciu chłopców w pięciu zastępach, miał kłopoty wyszkoleniowe. Bardzo efektywny i emocjonujący dziennie-nocny bieg na najniższy stopień, jeszcze wówczas młodzika, zakończył się fiaskiem - nikt nie zdobył stopnia. Dopiero przy powtórce dwóm chłopcom udało się go uzyskać. To też świadczyło o kryzysie.

Być może, iż to poważne zagrożenie drużyny ostatecznie sprawiło, iż w październiku 1959 roku po obozie hm Zbigniew Stok-Stokowiec zdecydował się objąć drużynę. I prowadził najpierw drużynę, potem szczep Zawiszy Czarnego przez następnych pięć lat - okres bardzo długi. Wystarczający, aby drużynie nadać pewne indywidualne piętno. By wykształcić całą generację młodych instruktorów. Poza niezwykłymi warunkami konspiracyjnymi, okupacyjnymi - w dziejach Szesnastki nie było drugiego instruktora, który by tyle czasu jako drużynowy i szczepowy kierował Zawiszkami. Tego rodzaju długie komenderowanie ma swoje dodatnie strony, ale ma i również swoje niebezpieczeństwa.

Stok-Stokowiec był organizatorem energicznym. Instruktorem mającym wiele interesujących pomysłów. Miał ambicje stworzenia z Szesnastki zespołu karnego, wyszkolonego w technice harcerskiej, a przy tym zanurzonego w tradycję - przede wszystkim tradycję niedawnych lat.

Jeżeli nowoczesne harcerstwo może nazbyt obniżało kryteria dyscypliny i wyszkolenia czysto harcerskiego - w Szesnastce, w czasie kadencji Stoka, wskazówka przesunęła się w drugą stronę. Musztra stawała się aż baletem, a egzaminy na stopnie i sprawności stały się niezmiernie trudne, naturalny i pedagogicz-

nie szczęśliwy cykl - co roku kolejny stopień harcerski - został tak wydłużony, iż zbyt wielu chłopców zbyt długo czekało na następną kolejną szczyt swego harcerzowania. Równocześnie w drużynie dobrze funkcjonował system zastępowy - zastępowi, zawsze starannie przygotowywani na kursach, sprawnie kierowali swoimi gromadkami. Inaczej niż działo się to podówczas w wielu innych drużynach, w których na skutek braku wyszkolonych zastępowych życie harcerskie toczyło się właściwie dopiero na zbiórkach drużyny - w Szesnastce koncentrowało się ono i realizowało w zastępach. Zastępy zbierały się regularnie, co tydzień na zbiórki, zastępy grały, zastępy wycieczkowały. Zastępy miały swoje autentyczne i dość intensywne życie. Drużyna okazała się w zasadzie organizmem sprawnym i pod dowództwem utóśtwianego przez chłopców Stoka /nazywali go generałem/ stosunkowo szybko przezwyciężała swe słabości, a nawet weszła w fazę ekspansji rozprzestrzeniając swą działalność na dwie dalsze szkoły podstawowe. Andrzej Kossowski organizuje pluton będący właściwie drużyną, złożoną z paru zastępów, w szkole numer 39, a Marek Wronkowski identyczny pluton w szkole numer 16. Plutonem w szkole im. Koźłataja - w gnieździe ówczesnej Szesnastki - dowodzi Aleksander Żiska. Plutonem tym drużyna zabezpiecza ich wszystkie kadry - i tak przygotowuje się organizacja szczechu.

W czasie ferii świątecznych w 1959/60 roku swoje trzynaste zimowisko Szesnastka urządziła samodzielnie na Hali Gąsiej nicowej w tak zwanym "Murawańcu" - koniecznie chciano mieć śnieg i narty. Komendantem obozu był sam Stok, oboźnym - Adam Kryniecki.

W lecie 1960 roku - już "trójotóz", przez niektórych nazywany maratonem. XXXI stały obóz letni Szesnastki zostaje założony

w Saminie nie opodal wielkiego pola bitwy grunwaldzkiej. Komendantem obozu był Stok-Słokowiec, pomagał mu w dowodzeniu, jako oboźny, Wiesław Szeliński, jako że Stok był również, z polecenia władz harcerskich, organizatorem i reżyserem, twórcą wielkiego - 550 rocznica bitwy - widowiska na Polach Grunwaldzkich. W widowisku pomyślanym z ogromnym rozmachem chłopcy z drużyny naszej występują jako statyści, Szesnastka jest drużyną całego zgromadzenia. Waczelnik harcerzy udziela Stokowi i Szesnastce specjalnej, pisemnej pochwały: "Praca Wasza i Waszej Drużyny w przygotowaniu widowiska "Wszystko Tobie ukochana Ziemię" przyczyniła się do uzyskania przez harcerstwo dotrzej oceny za udział w Młodzieżowym Zlocie Grunwaldzkim". Stok swoje honorarium reżyserkie przekazuje do kasy drużyny.

Po zakończeniu obozu stałego odbyły się jeszcze dwa obozy wędrownie. Jeden rowerowy - po Mazurach i Warmii, w którym metą było Giżycko. Drugi górski - w Tatry i w Pieniny, zakończony w Krynicy.

Na choince 1960 roku - Honorowym Zawiszakiem zostaje pani Sabina Szefflerowa - przewodnicząca KPH.

I kolejny obóz zimowy - na Hali Gąsienicowej, tym razem w starym schronisku drewnianym, tak zwanej "Baciejce". Komendantem sam drużynowy - Stok.

Szesnastka natrafiła rozpędu. Drużynowy wyprowadził ją na szerokie szlaki turystyczne /mówiono: Szesnastka się rozrazjowała!/, a ponadto nadal rozwijała jej sprawność turystyczną. Zawiszacy pełni impetu wygrywali wiele konkursów harcerskich organizowanych i przez hufiec i przez chorągiew. Chłopcy mieli poczucie własnej wartości, demonstrowali swą specyficzną "zawiszackość", a nawet - co od lat bardzo wielu było elementem charakterystycznym dla Zawiszaków - pewną odrębność od reszty drużyn warszawskich.

Stok-Stokowiec ożywił starą, zawieszoną formację: Olimp. Coś w rodzaju rady drużyny, tyle że bardziej rozszerzonej. Z początku znaleźli się tam zarówno ci starsi, którzy niedawno kierowali drużyną - Pawłowski, Sułowski, Szeliski, Dusiewicz, jak i cała grupa młodych przykocznych i plutonowych, chłopców 18- 19-letnich, taki jak Adam Krynicki, Andrzej Kossowski, Marek Wronkowski, Bogdan Wichiciel.

Ponad stu chłopców działa w czterech plutonach:

I. Old boys - w liceum im. Kołłątaja - plutonowy Aleksander Ziśka,

II. Young boys - w szkole podstawowej numer 16, której kierowniczką była pani Goldmannowa /w przedwojennej szkole powszechnej pani Goldmannowej, też na Ochocie pracującej, istniała gromada zuchów 16 WDH/ - plutonowy Marek Wronkowski.

III. Zawrat - w szkole numer 39 - plutonowy Andrzej Kossowski.

IV. Wierchy - nowy, zorganizowany w szkole numer 9 na ulicy Białostrzeskiej, którego plutonowym zostaje Bogdan Wichiciel.

Rok 1961 był pełen rozmachu. Szesnastka pulsowała. Zwyciężała, jako pierwsza w ogólnej punktacji, na zlocie Hufca Ochota urządzonym w Kartuzach. Zwyciężyła we wszystkich konkurencjach na Zlocie Turystów Warszawskich i w II Harcerskim Rajdzie Przyjaźni. Pełniła wiele rozmaitych służb na wielu publicznych imprezach - między innymi na urządzanym w Warszawie II Zjeździe Autostopowiczów.

W organizacji Szesnastki zachodzą pewne istotne zmiany. Drużyna przekształca się w szczep, ze szczepowym - Złigniewem Stok-Stokowcem na czele. Plutony - tworzą drużyny. Jest ich cztery. Plutonowi zostają drużynowymi. Ta zmiana organizacyjna

podyktowana została ogólnym schematem mającym obowiązywać w ZHP. Szczęp to miała być jednostka związana z jedną szkołą i miał się on składać z drużyny /lub paru drużyn/ chłopięcej, dziewczęcej oraz zuchowej. W Szesnastce nie było jednak dziewcząt ani zuchów, wszystkie drużyny były wyłącznie chłopięce. Podział na drużyny podyktowany był odrębnością poszczególnych szkół oraz wiekiem chłopców.

Zanim szczęp wyjechał na swój kolejny obóz letni - znów w Karwieńskich Błotach! - zdarzyło się coś, co było dla chłopców, szczególnie tych nieco starszych, jak i dla całej gromady starych Zawiszaków, ogromnym przeżyciem.

Do Warszawy przyjechał z Londynu Gustaw Radwański. Znakomity instruktor z lat trzydziestych, wyjątkowo przez wszystkich lubiany, mający ogromny wpływ na to, co się wtedy w Szesnastce działo. Założyciel i pierwszy redaktor "Sulimczyka", drużynowy, reformator programów obozowych. Od 1939 roku w Anglii, w czasie wojny jako pilot RAF latający na bojowych myśliwcach, potem nauczyciel w tamtejszych szkołach, do tego - około 1956 roku jak gdyby opiekun całej gromadki młodych poetów i pisarzy emigracyjnych. Dla wojennych i powojennych Zawiszaków Gustaw był postacią legendarną, opowiadano o nim cudownie i serdecznie. Przyjechał do kraju na wakacje, odwiedzić przyjaciół i przygotować sobie - tak zamierzał - stały w Polsce pobyt. Tylko paru z nas wiedziało, iż wtedy już był śmiertelnie chory i całą siłą swą wielkiej woli przewyciężył chorobę, by móc przyjechać do ojczyzny.

Gdy letniego czerwcowego wieczoru wysiadł z pociągu na peronie Dworca Gdańskiego w Warszawie - paru Zawiszaków wyjechało naprzęd, by przywitać go zaraz za granicą - otoczyła go gromada zawiszacka - i starsi z Wierzbowskim, Jedlińskimi Pfefferem,

Stelińskim na czele, i młodsi, którzy przed frontem delegacji drużyny złożyli mu najbardziej formalny raport. I nasze matki z KPH. Starym obyczajem poleciał w górę raz, drugi i trzeci. I odtąd przez dwa letnie miesiące Radwański był ze swoją Szesnastką. Kilkanaście dni na XXXII obozie letnim w tych samych Karwieńskich Błotach, w których był na jednym ze swych pierwszych obozów harcerskich, a potem przez kilka dni był w Zakopanem i Tatrach na obozie wędrownym starszych chłopców szczepu. Komendantem obozów był Zbigniew Stok-Stokowiec, który wstępował do Szesnastki jako młodziutki chłopak, gdy Radwański był w niej najczynniejszym instruktorem. Przez to lato 1961 roku Szesnastka żyła Gustawem, on - żył Szesnastką. We wrześniu, gdy uderzył nowy atak choroby, musiał wracać do Londynu. 10 października 1961 roku przysłała stamtąd wieść straszna - umarł! Pozostała po nim legenda - piękna zawiszacka legenda. Pozostały stare przedwojenne "Sulimczyki", gdzie tyle jest "nie-rada". Pozostały fotografie i filmy, na których jest razem z Zawiszakami w Karwieńskich Błotach i w Tatrach. Pozostał głos przesyłany z Londynu na taśmie magnetofonowej - jak swoim tamtejszym młodym przyjaciołom opowiada o pięknym lecie spędzonym w Polsce z Szesnastką.

Ferie zimowe 1961/62 roku - trzydziestu chłopców na Halli Gąsiej nicowej pod dowództwem Stok-Stokowca.

W czerwcu 1962 roku szczep Zawiszaków otchodził pięćdziesięciolecie istnienia Szesnastki. Pół wieku! Tuż przed wyjazdem na obóz letni - 24 czerwca - na dziedzińcu liceum im. Kołłątaja /dawni Zawiszacy żalowali, iż nie to w ich starej szkole przy ulicy Polnej ~ Noakowskiego/, w słoneczną niezniele znów spotkały się ze sobą różne generacje, różne pokolenia Zawiszaków. Nie była to może uroczystość tak świetna, jak 25-lecie otcho-

dzona w 1936 roku - i drużyna, i całe harcerstwo miało trochę innych, bardziej populistyczny charakter - ale była to uroczystość wzruszająca. Przed dwuszergiem szczepu - a szczep liczył już blisko 200 harcerzy - znowu stał hm Zygmunt Wierzbowski, a przy nim Ignacy Wądołkowski - młodszy brat założyciela Szesnastki, sam kiedyś również Zawiszak, który przekazał drużynie pozdrowienia od ciężko już wówczas chorego Jerzego Wądołkowskiego, Jerzego Wądołkowskiego - warto to wspomnieć - odwiedzali wtedy od czasu do czasu starsi chłopcy i instruktorzy drużyny. Staronowy sztandar pochylił się w żałośnym pokłonie, gdy w napiętej ciszy odczytywano apel poległych Zawiszaków - przyzywaliśmy tych, którzy śmiercią żołnierzy zginęli w latach wytłajania się Polski na niepodległość, tych którzy zginęli w kampanii 1939 roku, tych którzy zamordowani zostali przez hitlerowskie gestapo, jako żołnierze ruchu oporu, tych, którzy polegli w Powstaniu Warszawskim, tych którzy zginęli w walkach powietrznych i lądowych w polskiej armii na Zachodzie, i tych, którzy zginęli ratując życie bliźnich, i tych wreszcie, którzy umarli w czasie pokoju, lecz tyle dla drużyny znaczyli. Tę listę żałośną kończyło nazwisko Gustawa Radwańskiego.

Drugi raz pochylił się sztandar w geście nadziei, gdy Zygmunt Wierzbowski odbierał - któryż to raz! - harcerskie przyrzeczenie od najmłodszych, gdy brzmiało nowe w formule, lecz tradycyjne w treści przyrzeczenie harcerskie. Potem Wierzbowski przypinał tym najmłodszym Zawiszakom mały, metalowy krzyż harcerski - niezmienny w rysunku od lat wtedy niemal pięćdziesięciu, a dziś, gdy piszę tę gawędę, już siedemdziesięciu. Złote, srebrne i brązowe odznaki 50-lecia przyznano wyróżniającym się harcerzom oraz starym Zawiszakom, drużynowym Szesnastki i komendantom jej obozów. Ukazał się specjalny numer "Sulimczyka".

Wszyscy byli wzruszeni i nastrój był podniosły. A Władek Dusiewicz zrobił z tego filmu dokumentalny.

O gromadzie dorosłych Zawiszaków stały i nasze matki - członkinie KFH - pani Walentyna Zielińska, pani Satina Szefflerowa, pani Pfefferowa, stali ojcowie. Przypominaliśmy sobie o tych matkach i ojcach z Koła Przyjaciół Harcerzy, którzy odeszli na zawołanie. O pani Glińskiej, pani Jedlińskiej i pani Schellentergowej, o panach Girtlerze, Koszowskiu i Szeronosie, którzy tyle dla Szesnastki zrobili. Jeżeli dzisiaj wspominamy czasy dawnej, przedwojennej drużyny, to należy pamiętać, iż jednym z istotnych czynników, który decydował o tujnym i bogatym życiu Szesnastki była niezwykle ofiarna opieka Koła Przyjaciół, było zainteresowanie okazywane przez rodziców życiem ich synów, była troska i chęć współdziałania. Nie ma normalnego, pięknego życia synów czy córek bez stałej, taktownie okazywanej opieki rodziców. Opieki, której drużyna w swej codziennej pracy nie powinna odczuwać, lecz której brak odczuwa ona natychmiast. Koło przyjaciół harcerzy jest drużynie potrzebne jak powietrze.

Oczywiście szczerp Zawiszy zetrany na podwórku liceum im. Kółkątaja w niczym już nie przypominał tej garsteczki młodych ludzi, którzy pół wieku wcześniej pod wodzą Rudnickiego i Wądołkowskiego rozpoczynali swe tajne harcerzowanie. Może już bardziej przypominał, z wyglądu zewnętrznego, Szesnastkę lat trzydziestych, choć od tamtego czasu zmieniła się poważnie sytuacja harcerstwa w życiu naszej młodzieży, a więc i pozycja psychiczna każdego młodego harcerza. Ale jednak istniała - i istnieje - więź wzajemnej sympatii, zaufania i lojalności tych zawisackich związków, istnieje więź wzajemnej tradycji. Znów stali chłopcy w łowickich krajkach z góralskimi kostkami na czapkach. Znów śpiewaliśmy razem: "Czuj duch, to ta Szesnastka, czuj, to jest nie garstka..." i, mimo iż słowa tej piosenki są naiwne i śmiesz-

nie zachowate, to jednak wzruszały nas one wtedy - czymś łączyły, do czegoś zobowiązywały. Nie należy przeceniać codziennej siły tego rodzaju tradycyjnych więzi, ale nie należy ich lekceważyć w trudnym procesie i wychowywania, i samowychowywania się człowieka.

W kilkanaście dni po uroczystościach 50-lecia szczerp wyjechał na swój trzydziesty trzeci obóz letni w Czarnem koło Baliogrodu w Bieszczady. Były to właściwie dwa samodzielne obozy stałe - w sumie około stu chłopców - rozbita w odległości pół kilometra jeden od drugiego. Komendantem zgrupowania był Stok-Stokowiec. Komendantami obozów byli: Wronkowski i Kossakowski. Ponadto był jeszcze i trzeci obóz - wędrowny - Zawratu pod dowództwem Żiski. Trzy takie obozy letnie - to już bardzo poważny sukces szczerpu, dowodzący, iż Szesnaстка była bardzo silnym i sprawnym organizmem harcerskim. Obozy były prowadzone z rozmachem i fantazją. Duża ilość harców - i to trudnych, wymagających i wysiłku fizycznego, i dyscypliny, i wyrobienia technicznego. Nie tylko obóz wędrowny, ale i oba stałe były bardzo rozwędrowane - liczne piesze i autostopowe wycieczki po całym tym górskim terenie. Którejś nocy chłopcy podeszli pod obóz Komendy Chorągwi Rzeszowskiej, zgodnie z właściwym obyczajem na dzień wcześniej uprzedzając Komendantkę Chorągwi o zamierzonej próbie sił. Komendantka zlekceważyła ostrzeżenie - i w kilkanaście godzin później flaga hufca wraz z rzeczami osobistymi Komendantki wyniesionymi z jej namiotu, gdy spała, znalazły się na placu apelowym obozu Szesnaстки. Próba rewanzu - podejście obozu naszej drużyny - skończyła się niepowodzeniem.

Rok 1962/63. Po obozie letnim - zimowy. Tym razem już nie w Tatrach - na Hali Gąsienicowej - ale w Jordanowie - w ramach organizowanego przez hufiec zgromadzenia szkoleniowego. Dlaczego Szesnaстка nie urządziła własnego obozu zimowego? Miała ku

temu dostateczną przecież kadrę? Była szczepem silnym. Zadecydował o tym hufiec, który wzywając sz dwa zastępy - i to złożone ze starszej kadry - na kolejne szkolenie uniemożliwił zorganizowanie Szesnastce obozu własnego, Komenda Hufca a może i Komenda Chorągwi nie zdawała sobie sprawy z tego, że jeden własny, przez siebie organizowany obóz szczepu lub drużyny, daje o wiele lepsze rezultaty szkoleniowe niż jakakolwiek bardziej centralna akcja, poztawiająca równocześnie drużynę jej obozu własnego.

Opiekunem z ramienia hufca dwóch zastępów Szesnastki na obozie w Jordanowie był Włodzimierz Dusiewicz.

Na tym obozie w Jordanowie wybuchł konflikt - konflikt o papierosy. W Szesnastce nie palono papierosów - takie było wewnętrzne prawo drużyny. Ani chłopcy starsi, ani instruktorzy. Surowo przestrzegał tego sam Stok-Stokowiec, który wróciwszy do Szesnastki z dnia na dzień rzucił palenie - a jako reżyser w teatrze palił dużo - nie uznając owych dwulicowych metod, kiedy to instruktor harcerski wymaga od swych dziewcząt i chłopców abstynencji nikotynowej, lecz sam pali. W wielu jednostkach harcerskich działa się jednak inaczej niż u nas i - rzecz oczywista - miało to swój niedobry wpływ i na naszych starszych chłopców. W hufcu, w wielu innych drużynach i w komendzie, instruktorzy i starsza młodzież paliła papierosy - zetknięcie się z nimi na szkoleniowym zgupowaniu w Jordanowie, stało się detonatorem konfliktu wewnątrz drużyny. A konflikt o papierosy miał - zdaniem autora tej gawędy - dość istotny związek z konfliktem jaki zagroził szczepowi.

Konflikt? W szczepie tak sprawnym? Co pół roku obóz - to letni, na który jeżdżiło pięćdziesięciu, sześćdziesięciu, siedemdziesięciu, stu chłopców, więc duża część drużyny, to zimo-

wy - zawsze z mniejszą, ale jednak poważną liczbą uczestników. Wycieczki jesienne i wiosenne. Regularne zbiórki zastępów. "Sulimczyk" mniej czy bardziej regularnie wydawany. Kształtujące się odrębności poszczególnych drużyn, z których każda równa wielkością przedwojennej Szesnastce, była jednostką odrębną, z własnym programem, z własną grupą instruktorów - nie sposób nawet w tak krótkiej kronice, jak niniejsza, traktować tych drużyn odrębnie, wyliczać nazwiska ich kadry instruktorskiej. Każda z drużyn zasłużyła może na odrębne opracowanie swych dziejów - dziejów niestety dość krótkich. Zauważmy, że żadna z tych drużyn nie przetrwała lat dłuższych, nie przetrwała nawet lat pięciu czy siedmiu następnych. Trwałym okazał się szczep Szesnastki - nietrwałe, często się zmieniające były jego drużyny. Rozwijały się, dochodziły do znaczenia - i nazyt prędko upadały, przekształcały się, nawet rozsypywały. Dlaczego? Sądzę, iż wytłumaczenie tych nagle pojawiających się kryzysów tłumaczyłoby się pewnymi właściwościami całego ówczesnego harcerstwa, które opierało się na młodych uczniach szkół podstawowych. Ci młodzi wcześniej stosunkowo przechodząc do liceów żegnali się ze swą drużyną pozostawiając za sobą puste miejsce. A natomiast chłopcy starsi, którzy w szczepie pozostali, nie mieli dostatecznie dużo i dużych obowiązków organizacyjnych. Byli tylko starszymi chłopcami. A to było - z punktu widzenia ich rozwoju - zbyt małym zaasortowaniem ich osotowości.

Wniejsza o szczegóły - należy jednak scharakteryzować zjawisko, gdyż było ono szersze, dotyczyło nie tylko jednej drużyny czy jednego szczepu, ale nawet, w jakimś stopniu, całego harcerstwa. Prokiem tak zwanych chłopców starszych, którzy pozostawali w harcerstwie - w drużynie i w szczepie - gdy już dawno przestali być nawet nastolatkami. Pozostali, ale jako

szeregowi - nawet nie zastępowi, nie instruktorzy mający jakieś obowiązkowe pedagogiczne bądź organizatorskie. Byli przywiązani do drużyny i do harcerstwa, ale harcerstwo nie miało dla nich - przynajmniej wtedy, w połowie lat sześćdziesiątych, jak nie miało nigdy, dawniej i przedtem, żadnego, dostatecznie ich absorbującego programu. Właściwie w harcerstwie nudzili się - z nudzy tej nawet sobie nie zdając sprawy. Dla nich harcerstwo było już tylko azylem przed normalnym - pełnym problemów - życiem dorosłego chłopca czy dorosłej dziewczyny. Azylem dającym złudzenie morowej zabawy, relaksu, sznyt młodzieńczej awantury, która jeżeli staje się wyłącznie treścią zbiórki i wędrowek - po prostu demoralizuje harcerstwo zamiast być nieustannym odkrywaniem siebie i swoich przyjaciół, nieustannym rozwiązywaniem pewnych nowych młodzieńczych spraw - dla takich przerosniętych harcerzy staje się terenem zupełnie spenetrowanym, na którym nie mają oni niczego do roboty, ale z którego ruszyć się nie chce. Jeżeli taka nudząca się gromadka trafi na przodownika, który raczej będzie honorował ich cygański styl życia aniżeli mu przeciwdziałał, sterując zainteresowaniami chłopców na sprawy bardziej intelektualne, ideowe bądź zawodowe - wtedy powstają konflikty i kryzysy.

Coś podobnego groziło właśnie Zawratowi - tej kilkudziesięciochłopięcej drużynie szczepu - która zresztą, należy to zaakcentować z całą siłą, była zespołem chłopców doskonałych, bardzo przywiązanych do Szesnastki i wzajemnie do siebie, o wysokiej sprawności technik harcerskich, dużej zachowatości oraz sprawności fizycznej, sportowej i turystycznej. Z Zawratu wyrosła niemała ilość cenionych dzisiaj inżynierów, lekarzy, artystów - co dowodzi, że w działaniach wychowawczych konflikty i zagrożenia mogą mieć również swe pozytywne wpływy, że procesy

wychowawcze nie zawsze realizują się pozytywnie tylko w okolicznościach sielankowych i ustabilizowanych. Zawrat użyczył innym drużynom szczepu bardzo dużo swej energii. Bardzo wielu chłopców z Zawratu sprawowało przeróżne funkcje w szczepie i w innych drużynach. Zawrat organizował innym Zawiszakom ich wędrówki kolarskie i góralskie. Zawiszaczy z tamtych lat pamiętają tak zasłużonych dla szczepu chłopców z Zawratu jak Krzysztof Graczykowski, Edward Sudwoj, Roman Markiewicz. A mimo to narastał jakiś konflikt między szczepem a Zawratem. Zawrat zamiast stać się rezerwuarem sił instruktorskich dla całego szczepu i stosunkowo szybko, w sposób naturalny w szczepie się rozpłynąć - stał się pod dowództwem Andrzeja Kossowskiego dość zamkniętą w sobie drużyną starszych chłopców i tylko starszych chłopców, nazbyt może wielką wagę przywiązujących do zewnętrznych przejawów działań i rygorów harcerskich, do działań sportowych i turystycznych, a zbyt małą do innych, bardziej istotnych elementów pedagogicznych harcerskiego życia. A może i sam szczepowy Stok-Stokowiec, najbardziej przecież ceniąc rzetelne przywiązanie tych młodych do Szesnastki i jej tradycji, niezbyt dobrze rozumiał, iż taka drużyna starszych chłopców postawiona jakiegóż bardziej społecznego i intelektualnego programu pracy może stanowić źródło wychowawczych konfliktów.

I oto w Szesnastce kształtują się dwie grupy starszych chłopców - w stosunku do siebie jakoś konkurencyjne. Jedni to ci z Zawratu - a drudzy to ci z Oldboyów, którzy stworzą zespół artystyczny "Synkopa".

Ci drudzy to młodzi artyści i intelektualisci. Korzystają z lokalu w Domu Kultury, gdzie mają do swej dyspozycji rozmaite laboratoria fotograficzne, filmowe i sale dla swych ćwiczeń. Uprawiają fotografię, film, żywe słowo, śpiew, nawet małe for-

my teatralne. Chodzą na filmy i do teatru. Dyskutują. Tworzą małą orkiestrę. Znajdą się nawet w zespole śpiewaczym hm Władysława Skoraczewskiego, owym wybitnym zespole artystycznym ZHP.

W roku 1963 dochodzi do takiego konfliktu wewnątrz tej młodoinstruktorskiej gromady zawiszackiej, że "Synkopa" pod wodzą Adama Krynickiego opuszcza szczepek - nie zrywając z nim resztą kontaktów i przyjaźni i przechodzi do hufca. Wtedy to rozsypuje się drużyna Oldboyów. Zbigniew Stok-Stokowiec coraz mniej czasu i energii z przyczyn swych zajęć zawodowych, może poświęcić drużynie - i tutaj ujawnia się stara prawda wychowawcza, harcerska: i drużynowi i szczepekowi powinni być ludźmi raczej młodymi aniżeli dorosłymi, zaabsortowani swymi sprawami zawodowymi. A równocześnie - nie bez związku z poprzednim - wytucha konflikt w łonie Olimpu - zespołu instruktorskiego drużyny. Istotą konfliktu jest skątość kadry instruktorskiej rekrutującej się z młodszej generacji Zawiszaków. Coś szwankuje, jeżeli w tyle lat po restauracji Szesnastka nadal nie ma własnych, nowych, młodych instruktorów całkowicie zdolnych do prowadzenia drużyn a nawet szczepeku. Niedostatecznie sprawnie funkcjonuje mechanizm wymiany instruktorskich pokoleń. Może nie tylko w Szesnastce, może również w całym harcerstwie, nazbyt odwołującym się do pomocy instruktorów etatowych - nauczycieli, w za małym stopniu produkującym instruktorów z masy swych młodych członków i uczestników.

W roku 1963 zajęcia zawodowe ostatecznie uniemożliwiają kierowanie obozem letnim Stok-Stokowcowi. Komenda chorągwi dążyła wtedy do zakładania zgrupowań obozów, niechętnie widziała samodzielne obozy drużyn. Po długich targach z przedstawicielami chorągwi ostatecznie przyznano Szesnastce prawo do

prowadzenia samodzielnego obozu. Komendantem obozu letniego w Nadkolu koło Kamieńczyka został Marek Wronkowski. Miał do pomocy dwóch chłopców - siedemnastoletniego Bohdana Stefańskiego, oboźnego, bardzo wartościowego instruktora oraz - szesnastoletniego Piotra Czerniawskiego, jako kwatermistrza. Z pomocą pani Sabiny Szefflerowej zorganizowano transport - oczywiście /tak wtedy już było/ samochodowy. Założenia obozu w Nadkolu na Mazowszu zażądała komenda chorągwi, wysuwając słuszny postulat, by po całej serii obozów daleko od Warszawy, stołeczne drużyny poszły własne, sąsiednie Mazowsze. Ze starych Zawiszaków na obozie był Włodzimierz Dusiewicz. Obóz był nader udany. Po raz pierwszy był tam zastęp suchów pod wodzą Andrzeja Hryniewicza - suchy mieszkający pod namiotami, tyle że na składanych kółkach. Chłopcy z Szesnastki brali istotny udział w gaszeniu pożaru lasu - częste to na naszych obozach. Urządzono ognisko dla mieszkańców okolicznych wsi, a w niedalskim Kamieńczyku - wystawę fotografii.

Szesnastka, jak już wielokrotnie pisałem, należała - i należała! - do hufca Ochota, wielkiego stołecznego zgrupowania harcerzy. Komendantem Ochoty był wtedy hm Stanisław Korwin-Szymanowski, od paru już lat mający kontakt z naszą drużyną i życzliwie jej się przyglądający. Gdy jesienią 1963 roku Marek Wronkowski zostaje wezwany do odbycia służby wojskowej, hm Stanisław Korwin-Szymanowski, jak gdyby powtarzając decyzję Zygmunta Wierzbowskiego z 1924 roku, opuszcza hufiec i przechodzi do Szesnastki, by ją wesprzeć - obejmuje drużynę Young Loyów. Drugą drużynę młodych prowadzi Andrzej Hryniewicz, Zawrat - ciągle istniejący - po staremu Andrzej Kossowski. Suchów w szeregach ciągle nie było. Nie było również dziewcząt. Obóz zimowy - znowu na Hali Gąsiej pod komendą Stanisława Korwin-Szymanowskiego.

Wiosna 1964 roku akcentuje się sukcesami. Pierwsze miejsce

na hufcowym konkursie piosenki harcerskiej. Pierwsze, drugie i trzecie miejsce w tak zwanym starszoharcerskim biegu raszyńskim oraz pierwsze, czwarte i piąte miejsce w biegu młodoharcerskim. Te biegi to impreza chorągwi. Zawrat bierze udział w zajęciach Warszawskiego Koła Klubu Wysokogórskiego i organizuje liczne wyprawy turystyczne. Young boys urządzaają liczne wycieczki rowerowe oraz zajmują drugie miejsce w chorągwianych igrzyskach piłki nożnej.

25 maja 1964 roku umiera, po długiej i ciężkiej chorobie Jerzy Wądołkowski, jeden z założycieli Szesnastki, w latach międzywojennych i w II wojnie światowej oficer zawodowy WP. Pisałem już, że chłopcy z Szesnastki odwiedzali ciężko chorego. Szczep Zawiszaków wziął udział w jego pogrzebie, kontakt z rodziną zmarłego podtrzymuje szczep do dzisiaj i w każdą rocznicę śmierci Wądołkowskiego, Zawiszacy składają kwiaty na jego grobie.

Obóz letni - 35 w ogólnej numeracji - w Łunowie na wyspie Wolin. Dwa podobozy - jeden liczący 56, drugi 48 chłopców. W sumie ponad stu! Wielka impreza letnia, której program wypełniony był grami, wycieczkami lądowymi i morskimi, kontaktami z marynarką. Odbył się bieg harcerski zwany kościuszkowskim oraz bieg na odznakę sportową MOSO /młodzieżowa odznaka sprawności obronnej/. Komendantem całości oraz pierwszego podobożu był Stanisław Korwin-Szymanowski. Prócz tak wielkiego obozu stałego odbył się drugi obóz, wędrowny w naszych górach wysokich. Chłopcy byli tam pod komendą Andrzeja Kossowskiego.

Obóz zimowy - znów na Hali Gąsle nicowej, pod komendą Stanisława Korwin-Szymanowskiego, z udziałem Tadeusza Sułowskiego, który swoim szarosseregowymi, wojennymi, partyzanckimi piosenkami śpiewanymi przy wieczornym kominku supełnie oczarował chłopców. "Suła" był - jak sanotowano w kronice obozu - przecho-

jem tego zimowiaka.

Na początku roku 1965, po kolejnej czterdziestej już choince Zawieszaków - Zbigniew Stok-Stokowiec przekazuje kierownictwo szczeplu Tadeuszowi Sułowskiemu, sam wyjeżdżając na dyrektora teatru do Zielonej Góry. Tadeusz Sułowski, niezmiernie popularny wśród chłopców, już tyle razy ratował drużynę w jej kłopotach kadrowych - ale fakt, iż musi uczynić to sam, jeszcze, jaszkrawo świadczy o ciągle nieprzezwyciężonym kryzysie kadrowym, instruktorskim.

Właściwie w latach 1965-66 szczeplem znów kierują dwaj instruktorzy: Tadeusz Sułowski, jako szczeplowy oraz Stanisław Korwin-Szymanowski, jako drużynowy chłopców młodszych będących główną bieżą Szesnastki. Drużyna reprezentuje hufiec, zdobywa liczące się miejsca na chorągwianych igrzyskach zimowych - "FIS - Agrykola 1965" - I miejsce w biegu patrolowym, II - w biegu narciarskim na 800 metrów oraz dwa miejsca III. Sport ciągle jest ważną stroną Szesnastki. Ukazuje się "Sulimczyk" redagowany przez Aleksandra Bartnickiego.

Dwa kolejne obozy letnie, których komendantem jest Korwin-Szymanowski a oboźnym Bogdan Stefański. W 1965 roku - w Werach koło Rybna w powiecie dziażdowskim oraz w 1966 roku - nad jeziorem Dłużek koło Jedwabna w powiecie Szczytno. Na każdym z tych obozów było ponad sześćdziesięciu chłopców. Na każdym były organizowane rajdy na Pola Grunwaldzkie, których konsekwencją było, w 1966 roku, przemianowanie drużyny Young Boyów na drużynę Grunwaldu. Obóz w Werach upamiętnił się budową maszty połączoną z gimnastycznym drapaniem się na ów maszt - oraz specjalną elektryfikacją namiotu dokonaną przez bardzo wówczas czynnego w drużynie Stefana Kwila. To jego namiot, swany domkiem Kwila, został wymyślnie - systemem alarmowym! - zelektryfikowany,

co upamiętniła obozowa piosenka: "Czy wy wiecie, że nad rzeczką /gdzie małeńsk rośnie borek/ nad jeziorem niedaleko /stoi sobie Kwila domek/. Smutno samym im tam było /założyli sobie dzwonek, teraz wszędzie można słyszeć/ zelektryfikowany domek." Koniec piosenki.

Prócz obozów stałych zorganizowano również obozy wędrowne, poprzez Tatry, pod komendą Andrzeja Kossowskiego.

W 1965 roku osiemnasty samodzielny obóz zimowy Szesnastki ponownie na Hali Gąsiej nicowej, pod komendą Korwin-Szymanowskiego. W 1966 roku obozu zimowego nie było; najstarsi chłopcy pod komendą Andrzeja Kossowskiego biorą udział w obozie szkoleniowym hufca, a drużyny nie stać - z przyczyn personalnych - na zorganizowanie jeszcze drugiego, własnego obozu.

Jesienią 1966 roku szczerp znów staje przed trudnymi problemami instruktorскими. Tadeusz Sułowski nie był w stanie - jako osłowiek dorosły - znaleźć tyle czasu, by owocnie kierować szczerpem, nawet z pomocą Korwin-Szymanowskiego. Musiał więc oddać szczerp - a przy tej okazji, jak często w tego rodzaju sytuacjach, z nową siłą odezwały się różnice koncepcji wychowawczych czy programowych, dzielących dotąd kierowników drużyn i szczerpu. W sporze, który organizacyjnie oparł się o władzę hufca i chorągwi, wygrał Andrzej Kossowski. Z kierownictwa Szesnastki odchodzą Tadeusz Sułowski i Stanisław Korwin-Szymanowski. Szczerpem zostaje mianowany na krótki czas - jak się okazało - Andrzej Kossowski.

Kryzys personalny świąsany był ściśle z kryzysem programowym drużyny. Po latach sukcesów nastąpiły, od 1966 roku, lata słabsze. Z drużyny odchodzi bardzo wielu chłopców starszych, a więc rozsypuje się już sformowana, bardziej doświadczona kadra. Słabnie dyscyplina, załamują się programy. Zła wiśka w tych warun-

kach - rok harcerski 1966/67 - nie zdołano urządzić.

Niż demograficzny, którego konsekwencją było zmniejszenie się liczby uczniów w szkole numer 16, powoduje likwidację tej szkoły, w konsekwencji Szesnastka musi zwięzić swą działalność wyłącznie do stosunkowo małej szkoły przy ulicy Białobrzaskiej, a to powoduje spadek liczebności szczebu i jego drużyn.

W 1967 roku trzydziesty ósmy stały obóz letni zorganizowany zostaje w Rydzewie - i tam dochodzi do nieprzyjemnych spraw o charakterze moralnym oraz organizacyjnym. Komendant obozu i szczebu okazuje się mało odpowiedzialny - w rezultacie jesienią po prostu opuszcza szczeb.

Nowym szczebowym zostaje Marek Wronkowski. Drużynę Grunwaldu obejmuje - Jerzy Marczał, Zawratu - Mirosław Chojecki oraz Alek Bartnicki, Wierchów /jest to drużyna specjalnie sportowa/ Leszek Konieczny. Wronkowski, Marczał, Chojecki, Bartnicki, Konieczny to zespół bardzo wartościowych i przywiązanych do drużyn młodych ludzi, zastępowych, potem instruktorów, którym udaje się pewne, choć jeszcze nie ostateczne, przezwyciężenie kryzysu. Szesnastka zdobywa pierwsze miejsce w biegu terenoznawczym na jesiennym zlocie chorągwi w Powsinie. A w zimie jeden - tylko jeden - zastęb wyjeżdża na zimowisko hufca w Łańcucie.

Szczeb jest zespołem ludzi młodych. Z tego czasu - z roku 1968 - zachował się szczególny dokument, ogłoszony publicznie. W tygodniku "Świat", piśmie wyróżniającym się znakomitymi foto-reportażami, ukazał się cały cykl zdjęć z 39 letniego obozu Szesnastki w Kaszewcu koło Różan nad Narwią. Na zdjęciach doskonale widać ówczesną Szesnastkę: trzy zastępy młodych bardzo chłopców - czternasto- piętnastoletnich - doskonale się prezentujących w całkowicie harcerskich, wiernie zawieszackich mundurkach: krótkie spedenki, krajka, kostki. No i sztandar - ten

staronowy - niesiony przez poczet złożony z właśnie tylko z takich młodych chłopców. Komendantem obozu był Jerzy Marozak - jeden z dwóch braci /Jerzy i Andrzej/, którzy w ciągu najbliższych lat okazali się cennymi dla szerepu instruktorami. Jak bowiem nie trudno było w szerepie z młodą kadrami instruktorską - to jednak powoli się kształtowała.

Obóz letni został zorganizowany - i udał się. Ale w nimie znów tylko jeden zastęp z Szesnastki wyjechał na obóz zbiorowy hufca.

Z Szesnastką ciągle nie było dobrze - istniała, ale z niejakim trudem. Ciągle łapała oddech i nie mogła szpać. Kolejny szerepowy Marek Wronkowski, instruktor o wielkich dla drużyny zasługach, który i dziś jeszcze ciągle świadczy jej pomoc we wszelkich trudnych chwilach i potrzebach - wtedy akurat zakładał swe życie dorosłe, rozpoczął je i kształtował, nie był więc w stanie szerepowi poświęcić tyle energii ile on wymagał. Zbyt wielu starszych chłopców odeszło niedawno z drużyny.

Kryzys Szesnastki był - z jednej strony - specyficznym wypadkiem tego akurat szerepu, tego akurat zespołu harcerskiego, osłabionego niedawnymi konfliktami personalnymi i programowymi niedostatkami. Z drugiej jednak strony, był to również rezultat sytuacji o wiele szerszej, panującej w całym harcerstwie, będącej jedną z podstawowych trudności: jaką, ciągle rosnący w siłę ZHP, musiał się horykać. Trudności przez całe lata nie przerywanych do końca. Była to ogólna słabość kadry instruktorskiej. Drużyny nie mające podówczas swego naturalnego przedłużenia w szkołach średnich - cierpiały na brak kadry, stale odnawianej i wiodącej się z tej samej drużyny macierzystej. A więc kadry najwartościowszej. Chłopcy i dziewczęta mając piętnaście lat kończyli jedną szkołę i przechodzili do innej, do zawodowej,

tańd licealnej - przechodzili akurat w tym wieku, w którym we własnej drużynie powinni byli zacząć pełnić funkcje wychowawcze, instruktorskie.

Zrywając ze środowiskiem swej dotychczasowej szkoły, wchodząc do szkoły zupełnie innej - niezmiernie często srywali z drużyną, odchodzili od niej, gubili się. Załamany był w ten sposób naturalny proces kształcenia drużynowej lub szczepej kadry własnej. Załamany był proces jej naturalnego rozwoju. W skali całego ZHP problem ten usiłowano rozwiązać rekrutacją instruktorów wśród nauczycieli - ludzi już starszych, pracujących za pieniężnym ekwiwalentem. W skali Szesnastki, która ciągle obywatela się bez instruktorów nauczycieli, próbowała opierać się na instruktorach wychowanych w Szesnastce, instruktorach praktykujących swą pracę w drużynie absolutnie społecznie - sytuacja była szczególnie trudna. I taką długo pozostała.

W 1969 roku Szesnastka kurozy się do jednej drużyny młodych ochotców, prowadzonej właściwie przez samego szczepego, którym nadaje jest Marek Wronkowski. Organizuje on obóz letni w Cichym nad jeziorem Rohotno na Mazurach.

Po obozie szczepe przestaje być szczepe. Na powrót staje się jedną drużyną, Szesnastką, z przydomkiem Grunwald, na czele której staje znów Stanisław Korwin-Szymanowski. Liczy ona pięćdziesięciu harcerzy oraz gromadę suchów. Przez parę najbliższych lat będzie teraz Szesnastka drużyną młodą i niewielką. Zmiana ta jednak wychodzi na dobre - jesienią 1969 roku zdobywa liczące się miejsca w paru imprezach hufca i chorągwi - między innymi w dowcipnie pomyślanym I Zkzie Parasolowym, gdzie parasol Szesnastki okazuje się jednym z bardziej pomysłowych. W czasie ferii zimowych w roku 1969/70 po paru latach przerwy, drużyna organi-

zuje swoje własne zimowisko - i to wracając na stare, przedwojenne zakopiańskie leże. Do "Wierzbianki" - pamiętacie? - na Pardołowie, Ponieważ niedaleko na Antałowie mieszka siostra Gustawa Radwańskiego, znakomita taterniczka i alpinistka polska pani Zofia Radwańska-Paryska, przychodzi ona na kominki do "Wierzbianki", spotyka się z chłopcami. Zimowisko ma wspaniałe warunki śnieżne. Komendantem Stanisław Korwin-Szymanowski, oboźnym - Jerzy Marozak.

Więc zimowisko w starej "Wierzbiance", więc - w pół roku później, w lecie 1970 roku - obóz letni już po raz czwarty w Karwiańskich Błotach, ale za każdym razem w nieco innym miejscu. Jak gdyby Szesnastka próbując przewyciężyć swój kryzys szukała oparcia w swej przeszłości. Ten czterdziesty pierwszy obóz letni, prowadzony przez hm Korwin-Szymanowskiego, kończy się fatalnym wypadkiem samochodowym - autokar wiozący chłopców z obozu do Warszawy wpada do rowu - ale wszyscy wychodzą cało.

Drużyna powoli się wzmacnia. Zastęp "Sztab" składający się z najstarszych chłopców pracuje w telewizyjnej redakcji Klubu Pancernych. Drużyna uzyskuje dyplom najlepszej w rajdzie ochotniczym do Olszynki Grochowskiej. Znowu zaczyna się ukazywać - po długiej przerwie - "Sulimczyk" pod redakcją Aleksandra Bartnickiego; ale w 1970 roku udaje się wydać tylko dwa numery. Zostaje zorganizowany kurs kształceniowy dla kadry - coś w rodzaju dawnego kursu zastępowych - prowadzony przez instruktorów z hufca oraz paru dawnych Zawissaków. Niestety - centralna zimowa akcja szkoleniowa hufca, również mającego kłopoty kadrowe z niemal wszystkimi swoimi drużynami, znowu uniemożliwia odbycie samodzielnego zimowiska; starsi chłopcy z Szesnastki muszą jechać na akcję hufca.

Ale kryzys kadrowy - mimo kursów i wysiłków - trwa nadal.

Rok 1971 to pierwszy niesamodzielny obóz letni Szesnastki. Ponieważ nie mógł go prowadzić Stanisław Korwin - dorosły, zawodowo pracujący człowiek, nie zawsze dysponujący dowolnie swym czasem, a komenda chorągwi nie daje pozwolenia na samodzielne kierowanie obozu innym, młodemu - czterdziesty drugi letni, stały obóz Szesnastki urządzony został w zgrupowaniu hufca - nad jeziorem Wąsocoze koło Złocieńca. Komendantem obozu był Jerzy Marczak, obóz - jego brat Andrzej. Wyjeżdża nań zaledwie dwudziestu chłopców. W takich warunkach czasami rezygnuje się z obozu w ogóle, ale decyzja kierownictwa drużyny wydaje się słuszna. Lepiej mieć obóz nawet niesamodzielny i liczebnie niewielki niż nie mieć go wcale. Nie tak nie łamię życia drużyny, jak brak obozu letniego. Obóz - i to staje się na kilka najbliższych lat programową regułą - przyjmuje miano "Korsarzy", czyli inaczej mówiąc, cały program zajęć gier zostaje podporządkowany pewnej fabule zabawy w korsarzy - zdobywanie wyspy, zdobywanie okrętów itp. Elementy metodyki wychowawczej przenikają do programu drużyny złożonej z młodych chłopców.

Po obozie znów reorganizacja - tym razem bardzo zasadnicza. Drużyna z powrotem rozrasta się w szczep, na czele którego pozostaje Stanisław Korwin-Szymanowski. Ale po raz pierwszy w dziejach Szesnastki w tym szczieple jest już drużyna dziewcząt - drużynową zostaje druhna Marta Wrotnowska. Szczep - znowu szczep! - liczy jeszcze męską drużynę Grunwald oraz gromadę suchową, którą kieruje druhna Małgorzata Szubert. Grunwald zdobywa pierwsze miejsca w paru biegach i rajdach hufca oraz chorągwi. Ale praca w drużynie dziewcząt natrafia początkowo na duże trudności, minie jeszcze parę lat, nim drużyna dziewcząt zdobędzie się na udział w obozie letnim, co dopiero jest świadectwem sprawności harcerskiej.

Pod koniec tego 1971 roku kierownictwo szczebu przygotowuje pewien dokument - kilkunastostronicowy, opracowany przez Aleksandra Bartnickiego maszynopis, który w bardzo lapidarnych słowach, krótkimi informacjami relacjonuje, do wewnętrznego użytku, historię Szesnastki poczynając od 1911 do 1971 roku. Jej sześćdziesiąt lat. Szesnastka raz jeszcze obecnością drużyny dziewcząt, przekształcając a równocześnie wzbogacając swą formułę harcerską - odczuwa potrzebę takiej wizytówki. Maszynopis kończy się krótkim zdaniem: "Co dalej? - zotaczymy! Oby było dobrze".

Oby było dobrze!

Niestety - w najbliższym czasie - to pragnienie miało mieć ograniczoną szansę. W roku 1972 nie było dobrze - było raczej średnio. Nie urządzono zimowiska - tylko na wiosnę chłopcy z Grunwaldu wyjechali na kilka wycieczkowych biwaków. W Grunwaldzie było 35 chłopców i on właściwie tworzył Szesnastkę; dziewczęta nie mogły przekroczyć stadium swej wstępnej organizacji i dezorganizacji. Były jeszcze zuchy. W praktyce szczeb ciągle zredukowany do jednej drużyny chłopięcej był ciągle za słaby, aby móc zorganizować oboz zupełnie samodzielny. Kolejny oboz letni Szesnastki był więc znowu częścią zgupowania hufca - nad jeziorem Głębokim koło Gryz/Trwał cały miesiąc. Chłopcy - dziewczęta na obozie jeszcze nie było! - bawili się w Wikingów. Po komendę Jacka Jaszczyka było ich zaledwie osiemnastu. Tylko osiemnastu! Bardzo mały oboz. W Szesnastce ciągle było słabo - zimowiska znowu nie urządzono.

Z początkiem nowego roku harcerskiego na stanowisku drużynowej niemal nie istniejącej drużyny dziewcząt następuje zmiana. Rezygnuje drużna Wrotnowska. Początki żeńskiej Szesnastki były zdecydowanie trudne. Nowość wychowawcza, organizacyjna, no! i koleżeńska, jaką było wprowadzenie dziewcząt do organizmu

przez sześćdziesiąt lat wyłącznie chłopięcego, dała na początku rezultaty raczej ujemne. Może byłoby lepiej, gdyby taki nowy pęd szczepiony był na drzewie silnej, liczebnej, sprawnej drużyny - gdyby drużyny pojawiły się w tej samej Szesnastce dziesięć lat wcześniej, gdy pod komendą Zbigniewa Stok-Stokowca miała ona swój okres doskonały. Teraz, na początku lat sześćdziesiątych, gdy szczep wyczerpany był swym już tak długoletnim kryzysem, dziewczęta zaraz na początku swego zawieszackiego uczestnictwa nie bardzo mogły się oprzeć o organizm dostatecznie mocny. Więc pierwszy rok żeńskiej Szesnastki skończył się rezultatem ujemnym.

W październiku 1972 roku szczepowy, harcaistrz PL Korwin-Szymanowski zdołał namówić instruktorkę z sąsiedniej, ochockiej również 242 WDH, przewodniczkę Zofię Jasińską, aby przeniósłszy się do Szesnastki spróbowała pokierować zawieszacką drużyną dziewcząt. Przyszła razem ze swoją szkolną przyjaciółką Ewą Hołodowicz, która wtedy dopiero jako starsza dziewczyna wstąpiła do harcerstwa.

Obie drużyny sprawnie pokierowały drużyną żeńską, tworząc ją powtórnie niemal od zera. Pierwsza zbiórka dziewcząt odbyła się w październiku 1972 roku, a już w listopadzie przybrały sobie one zgoła nie kobiecą nazwę "Bractwa Czarnego Orła" - ów orzeł z Sulimy, herbu Zawiszy Czarnego. Drużyna żeńska szytko stanęła na nogi, tak że już w dziesięć miesięcy później, w lecie 1973, czterdziesty czwarty - liczba katalistyczna! - stały letni obóz Szesnastki nad jeziorem Sosno koło Złocza, był pierwszym obozem koedukacyjnym. Było na nim czternaście dziewcząt i dwadzieścia jeden chłopców. Niestety, nie był to obóz zupełnie samodzielny, ale w zgrupowaniu z 223 WDH. Komendantką całości była drużna Zofia Jasińska, jej zastępcą Jarek Kopaczewski, oboźnym - Tade-

usz Gacki, obaj z Grunwaldu, a instruktorką do spraw programowych - Ewa Hołodowicz. Bawiono się tym razem w Rzymian - zastępem zwycięskim był "XIII Manipuł Reński" dowodzony przez Marka Tu-miłowskiego. Zofia Jasińska pisząc w kilka lat później list do autora niniejszej książki gorzko wspominała, że był to otóż pe-łen trudności i konfliktów dzielących kadrę chłopięcą i dziew-częcą.

Konflikty między kadrą chłopięcą i dziewczęcą, które na obo-zie wystąpiły z taką siłą, były sprawą bardzo, sądzą, poważną.

Koedukacja nigdy nie była czymś łatwym, a jej zastosowanie w szczebie tak słabym - musiało być jeszcze trudniejsze. Był to przecież czas, gdy w rezultacie długotrwałego kryzysu dawne rutyny i rygory pedagogiczne Szesnastki uległy szalonemu osła-bieniu - nawet krajki i kostki noszono tylko w Grunwaldzie! I tak jak dziesięć lat wcześniej, gdy drużyną kierował Stok-Stokowiec niejedyn młody Zawieszak szymał się na nadmiar dyscy-pliny, na nadmiar wymagań stawianych chłopcom z Szesnastki przez zawieszackich instruktorów, szymał się na "twardość" Szes-nastki, tak teraz co bardziej ambitni chłopcy z Grunwaldu tęs-kanili właśnie do dyscypliny, chcieli by od nich wiele wymagano i by drużyna była raczej środowiskiem ambitnych chłopców twar-dych, niż zlepkiem byle jakich ślamazarnych. A tymczasem dwie nowe instruktorki nie miały najmniejszego pojęcia zarówno o tra-dycji Szesnastki, o jej historii, jak i o wyraźnie chłopięcym, męskim stylu pracy tej przecież tak wieloletniej drużyny. W Grunwaldzie, też drużynie wtedy słabej, kołatały się jednak wspomnienia o dawnych, zawieszackich czasach - i chłopcy, jak powiedziałem, instynktownie^W tej właśnie tradycji szukali jakie-gos oparcia, od którego odbicie się mogłoby im pozwolić na pow-łóne odzyskanie sił i złapanie oddechu. Chłopcy z Grunwaldu

nader niechętnie reagowali na zupełnie inne praktyki metodyczne i programowe wprowadzane do szczebu przez dwie młode, bardzo energiczne i pełne inwencji instruktorki.

Starły się temperamenty. Gdy Grunwald miał ambicje drużyny ruchliwej, karnej, demonstrującej zadania typowo chłopięce, wymagające sprawności fizycznej, gdy chłopcom w Grunwaldzie zależało na parawojkowych rygorach karności i dyscypliny, gdy chcieli mieć oni harcerstwo - nazwijmy je - twarde, męskie, gdyż to wszystko odpowiadało ich temperamentowi - drużny stosowały zupełnie inny model harcerstwa, nazwijmy go miękkim, łagodniejszym, bardziej swobodnym. Gdy chłopcy - aby poskusić się konkretnymi przykładami - chcieli mieć na obozie nocne alarmy i trudne ganimianki, gdy chcieli mieć wielokilometrowe, skomplikowane "biegi harcerskie", gdy pragnęli spędzać czas w budowanych przez siebie szałasach, czyli "chatkach", w których życie wymagało dużej samodzielności, gdy chcieli odbierać wlewane im "menażki" - dziewczęta przed tym się wzdrygały, a siły ich też były przecież słabsze. A że w kadrze szczebu dwie instruktorki zyskiwały coraz bardziej decydującą pozycję, drużna Jasińska coraz bardziej kierowała szczebem - ów model harcerstwa dziewczęcego narzucały one całej gromadzie, co wywoływało ostre sprzeciw i drużynowego i chłopców z Grunwaldu, akurat w tym samym czasie powoli przeżywiających dotychczasowy kryzys.

Doprowadziło to dość szybko do wyraźnego rozróżnienia od siebie dwóch drużyn Szesnastki. Szesnastka przestała być mniej więcej jednolita. Chłopięcy Grunwald, który chciał być i był dawną Szesnastką oraz dziewczęce Bractwo Czarnego Orła, będące drużyną jeszcze zupełnie inną. Dwie różne drużyny, dwa odmienne programy pracy. Każda z nich żyła życiem własnym - a wspólne zbiórki szczebu były tylko formalnością. Ponieważ oboz letni -

wspólny obóz! - nie mógł być taką formalnością, więc nic dziwnego, że tam właśnie doszło do ostrych konfliktów między zainteresowaniami i temperamentem dziewcząt oraz zainteresowaniami i temperamentem chłopców. Między chłopięcą próbą kontynuowania Szesnastki, a czymś co wobec tej Szesnastki było raczej obojętne.

Obóz letni konflikty zaostrzył - następny rok pracy zimowej 1973/74 niczego nie zmienił. Dwie drużyny - dziewczęca i chłopięca funkcjonują obok siebie, szczepek jest niejednorodny.

Obozu zimowego nie urządzono, część kadry wyjechała na zimowisko instruktorskie hufca.

Rok 1974 zaczął się trudnościami - niemal cała czołówka szczepepu zdawała maturę. Kłopoty te okazały się większe w drużynie żeńskiej, w której jeszcze nie zdążyła wykształcić się żadna grupa instruktorek. Mniejsza natomiast w Grunwaldzie, gdzie łatwiej jedni zastąpili drugich; po drużynowym został Marek Tumilowski, a po przybocznym Ryszard Kukuła. Wtedy właśnie z inicjatywy Marka Tumilowskiego uszyta zostaje pierwsza partia tak zwanych panterek, które stają się mundurem obowiązującym na wycieczkach wiosennych, biwakach i w innych okazjach, kiedy zimno uniemożliwia występowanie tylko w mundurach harcerskich, a chłopcy pragną uniknąć różnorodności ubrań cywilnych. Panterki będąc obowiązującym strojem drużyny, nieco później stały się modne w całej niemal chorągwi.

Grunwald liczył trzydziestukilku harcerzy, Bractwo Czarnego Orła - drugie tyle harcerek. Razem z zuchami szczepek miał blisko setkę młodych - jedna trzecia uczniów w szkole numer 9, będącej jego bazą. Szczep jest młody - dziewczęta i chłopcy najwyżej piętnastoletni, kadra - poza samym szczepepowym Stanisławem Korwin-Szymanowskim też młodsza niż kiedyś. To odmłodzenie kadry rokowało najlepsze widoki na przyszłość, ale póki co trudności

istniały nadal. Będą one chyba przezwyciężone dopiero wtedy, gdy reforma szkolna ukształtuje jednolity typ dziesięcioletniej szkoły podstawowej, co drużynom i szczenom da szansę na bardziej kompletny, naturalny ciąg harcerskich lat.

Czterdziesty piąty obóz letni zostaje zorganizowany nad jeziorem Smolanki koło Lutówka na Pojezierzu Bydgoskim. Obóz samodzielny. Komendantka - Zofia Jasińska, jej zastępca - Tadeusz Gacki, oboźna - Ewa Hołodowicz. Kadra Grunwaldu znalazła się na drugorzędnych funkcjach obozowych, a to magazynierów, a to ratowników. 25 chłopców, 13 dziewcząt - razem niemal czterdziestka. Obóz koedukacyjny, a to mnożyło trudności. Obóz szukał uznania wizytatorów, ale - zdaniem Zofii Jasińskiej - należał do bardzo trudnych, może nawet był to najtrudniejszy obóz przez nią prowadzony. Przyczyna ciągle ta sama, dalej trwająca, nawet nasilające się konflikty między kadrą chłopięcą i dziewczęcą. Wprawdzie już formalnie sięgnięto do dawnych szesnastkowych tradycji. Cały szczen już miał krajki, specjalnie zamówione w spółdzielni tkackiej w Łowiczu, ale nowej Szesnastce jeszcze ciągle daleko było do jej dawnej prężności. Instruktorzy kategorycznie się sprzeciwiali tradycyjnym "menażkom", czego chłopcy nie mogli przetołoczyć. Spierano się o nocne karne ćwiczenia - bądźmy szczerzy, ta groźna nazwa zawsze była i nadal pozostaje niezwykle atrakcyjną zabawą dla każdego normalnie fizycznie rozwiniętego chłopaka. Chłopcom szalenie się podobają wszelkie nocne alarmy, gry, ganianki i ostre ćwiczenia. Dziewczęta w nich nie gustują. Stąd konflikty, które jednak nie wychodziły poza kwaterę obozu, poza kadrę. Cała gromada dziewcząt i chłopców doskonale tawiła się na tym obozie w Indian. Zwycięskim zastępem tym razem również okazał się zastęp z Grunwaldu, Tachuci-Tachuci - kierowany przez Lesława Kuczyńskiego.

I na tym i nakolejnych dwóch następnych obozach zaopatrzenie odbywało się bez żadnego samochodu - wynajmowanego razem z kierowcą; żywność wożono w plecakach, na rowerach. To co w latach trzydziestych było normalną praktyką na wszystkich najlepszych podówczas obozach harcerskich, teraz było sytuacją uważaną za fatalną. Przed obozem w 1973 roku szczerp nie posiadał praktycznie żadnego obozowego ani pionierskiego sprzętu - wszystko było zbyt stare i już zepsute. To też świadczyło o kryzysie Szesnastki.

Rok harcerski 1974/75 - ciągle to samo. Niewielki szczerp w niewielkiej szkole borykający się z kłopotami kadrowymi. Jednak lekko zmieniają się akcenty wewnątrz szczerpu. Drużyna żeńska - Bractwo Czarnego Orła - staje się silniejsza, dzięki stałej, ciągłej pracy dwuosobowej kadry - Jasińskiej i Hołodowicz. Kryzys natomiast pojawia się w Grunwaldzie. Studenci - J. Kopaczewski, T. Gacki, M. Tumikowski - zmuszeni zajęciami uczelnianymi odchodzą z drużyny, pozostawiając ją ledwo 17-letniemu Ryzardowi Kukule, który zresztą z biegiem czasu okazuje się instruktorem ciekawym, ale sam jeden nie może podjąć wszystkiemu. Grunwald liczy tylko 17 harcerzy, przestają istnieć zastępy, praca odbywa się wyłącznie na zbiórkach całej drużyny - a i wtedy gry i ćwiczenia prowadzone są na celowo niższym poziomie, tak by mogli w nich brać udział chłopcy bardzo młodzi, których dopiero do harcerstwa trzeba przyciągnąć. Jeden czy drugi biwak nie ratuje sytuacji.

Szczerp - jako całość - uzyskuje pewne sukcesy. Bractwo Czarnego Orła zdobywa II miejsce w tradycyjnym Rajdzie Parasolowym.

W lipcu 1975 roku czworo Zawiszaków - dwóch chłopców z Grunwaldu, dwie dziewczyny z Bractwa Czarnego Orła - wyjeżdża na Centralną Akcję Szkoleniową Chorągwi Stożecznej. Akcja ta obejmuje 40 uczestników, w tym również starszych harcerzy - ale

tylko pięciu z nich uzyskuje tak zwane patenty drużynowych, to znaczy zostaje uznanych za zdolnych do prowadzenia drużyn. W tej piątce jest aż dwóch Zawiszków: Lesław Kuczyński i Marek Gajdziński - i to mimo swego młodego wieku /15 lat:/ i stopni zaledwie tropiciela. Tak owocowała troska przestrzegana w Grunwaldzie, mimo wszelkich trudności, o to, by stopnie harcerskie nie były przyznawane tyle jak, za łatwo.

Obóz letni - samodzielny i koedukacyjny - rozbity zostaje nad jeziorem Średnim nie opodal Jedwatna na Mazurach. 16 dziewcząt, 17 chłopców w sześciu - trzech męskich, trzech żeńskich - zastępach. Komendantka - Zofia Jasińska, oboźna - Ewa Hołodowicz, instruktor programowy - Ryszard Kukuła. Obóz spokojny, bez konfliktów, ale też kadra kierownicza złożona niemal wyłącznie z druhen. Nie ma już mowy ani o "mężkach", ani o nocnych ćwiczeniach, bieg harcerski trwa godzinę /a nie oazy dzień/ i trasa okrąży obóz w promieniu paruset metrów. Obóz z łagodnym programem ćwiczeń i łagodną dyscypliną. Nawet zastępom męskim nie pozwolono wyjść na samodzielną "chatkę" - ów był leśny! - tłumacząc to małym doświadczeniem zastępowych. W harcach znów przodowali chłopcy - I miejsce uzyskują "Łowcy głów" pod dowództwem Marka Gajdzińskiego, mającego w kieszeni patent na drużynowego.

Jak na wielu poprzednich obozach Szesnastki, tutaj również gaszono pożar lasu. Podczas apelu wieczornego jakiś mężczyzna, strasznie umordowany, wjechał na rowerze przez trawkę i spadłszy ze swej maszyny, zerwał się, deklamuje kurtuazyjnie: "Czy można prosić do pożaru!". W pięć minut potem drużyna była na miejscu ognia i przed przytyciem straży pożarnej dokonała jego lokalizacji.

Po obozie wielka zmiana warty! Hm PL Stanisław Korwin-Szyma-

nowski przekazuje szczerp podharcomistrzyni Zofii Jasińskiej - pozostając nadal przy Szesnastce jako stary, doświadczony przyjaciel razem z Markiem Wronkowskim świadczący tym drużynom nieustanną pomoc. Ewa Hołodowicz obejmuje kierownictwo drużyny dziewczęcej. W Grunwaldzie natomiast pewne zamieszanie trwa dalej. Ryszard Kukuła zając maturę nie może tyle czasu poświęcić drużynie - Grunwaldem kierują więc dwaj przytoczni: Lesław Kuczyński i Marek Gajdziński.

Wraz z objęciem przez drużnę Jasińską szczytu - w dziejach Szesnastki definitywnie otwiera się następny rozdział jej historii. Mniej nawet istotne jest to, że na czele kadry instruktorskiej znalazły się kobiety - bardziej natomiast to, że ostatecznie zmieniła się generacja instruktorska. Po wielu latach, trwało to nadmiernie długo, gdy Szesnastką kierowało pokolenie z jej czasu okupacyjnego i powojennego - na czele szczytu i drużyny znaleźli się znacznie młodsi, którzy swe harcerstwo rozpoczęli dopiero w latach sześćdziesiątych. Dla procesów wychowawczych było to korzystniejsze i normalniejsze.

A więc jesienią 1975 roku szczerp złożony z dwóch zaledwie drużyn - znowu na czas jakiś pozbawiony zuchów - objęła podharcomistrzyni Zofia Jasińska, od listopada Jasińska-Kot, młoda mężatka, która męża swego Zbigniewa ściągnęła do pracy w Szesnastce.

W Grunwaldzie przeprowadzono pokór. Rezultat - drużyna znów miała blisko pół setki harcerzy. Jeszcze nie mogąc zdobyć się na kilka oddzielnych zastępów - podzieliła się na dwa plutony, prowadzone przez dwóch przytocznych. Plutony miały cotygodniowe zbiórki, na których byli drużynowi Grunwaldu - Kukuła, Gałki, Tumiłowski - ostro zaczęli kształcić chłopców w terenoznawstwie, pionierce, sygnalizacji, samarytance - tych wszystkich tak tra-

dycyjnych technik harcerskich, które mało służąc już dzisiaj jakiegokolwiek praktyce - nadal służą doskonale wyrabianiu pewnych pozytywnych cech charakteru i postawy. W krótkim stosunkowo czasie grupa harcerzy Grunwaldu - choć nie wszyscy! osiągnęła niezły poziom umiejętności harcerskich i nabyła owego "zawieszackiego drylu"; a inni z drużyny się wykruszyli.

W tym czasie na nowo powstała żeńska drużyna suchowa. Nieco później - męska. Suchy szybko stawały na nogi. Ich komendantem był Wojciech Sikora, zastępca Zofii Jasińskiej dla spraw suchowych.

W Grunwaldzie nadal sytuacja zmienna. Znowu spadł stan liczebny. To umożliwiło rozwiązanie plutonów i stworzenie trzech zastępów, które zaczęły pracować już normalnie. Drużynę objął Zbigniew Kot - mąż szczepowej. Mimo iż jako ktoś z zewnątrz daleki był jakimkolwiek związkiem z tradycjami Grunwaldu, jednak samą swą obecnością wpływał na pewną, coraz bardziej widoczną stabilizację Grunwaldu.

Zimą 1975/76 roku Szesnastka zaakcentowała bardzo wyraźnie. Po kilkuletniej przerwie znowu rozpoczęły się obozy zimowe. 20 zimowisko zorganizowano samodzielnie w Nowym Mieście Lubawskim. Pod komendą Ewy Hołodowicz jedzie na nie dwadzieścia jeden dziewcząt i chłopców. A zaraz potem kolejna cholnka nawiązuje w pełni do tych tradycyjnych spotkań zawieszackich. Zaczęła funkcjonować rada szczepu, kierująca całą Szesnastką.

W lecie zdołano urządzić dwa samodzielne obozy. W lipcu obóz wędrowny w Sudetach, pod komendą Ewy Hołodowicz - wyrusza osiem dziewcząt i dwunastu chłopców. W sierpniu 47 obóz letni znowu w Karwieńskich Błotach. Komendantką była Zofia Jasińska, jej zastępczynią Ewa Hołodowicz, instruktorem do spraw programowych Ryszard Kukuła. 46 uczestników - trzy zastępy chłopiące,

cztery dziewczęce. Karwieńskie Błota to jedyna miejscowość w kraju, do której Szesnastka wraca ciągle - choć za każdym razem jest to inne miejsce, inny kawałek ziemi nadmorskiej - na swe letnie obozy. Po latach innych szlaków - znów Karwieńskie Błota! I to przeważnie wtedy - przypadek czy mało uświadomiona prawidłowość? - gdy drużyny czy teraz szczepy, odradzają się po kolejnym kryzysie. Jak gdyby w tych Karwieńskich Błotach chcąc zaczerpnąć siły ze źródeł zawiszackiej tradycji.

Na obozie pojawiła się wizytatorka z ramienia stołecznego wydziału oświaty rady narodowej. Jako że obóz wywarł na niej dobre wrażenie - choć dla chłopców z Grunwaldu nadal to był obóz bardzo nijaki i zbyt miękki - chwaląc zapytała o trudności. Zofia Jasińska przytomnie powiedziała o najważniejszej: Szesnastka ciągle nie miała swojej izby. Skarga pomogła. Od września 1976 roku szczep otrzymał w budynku szkolnym dwa duże pomieszczenia - magazyn i harcówkę.

W październiku 1976 roku Rada Bractwa Czarnego Orła - czyli inaczej instruktorki i zastępowe dziewczęcej drużyny - wygrywając stosowny rajd hufcowy zdobywają puchar najlepszej rady drużyny. To zwycięstwo było rezultatem systematycznej pracy dwóch instruktorek - Zofii i Ewy - prowadzących BCO przez kilka lat. W czasie, jaki minął od pierwszej zbiórki w październiku 1972 roku, harcerki Szesnastki osiągnęły wysoki poziom, dojrzała rada złożona z dobrych zastępowych i przyhocznych. W 1976 roku 33 harcerki zorganizowane były w cztery zastępy, których program dostosowany był do sił, zainteresowań i temperamentów dziewcząt. Nie naśladowując chłopców, wypracowały sobie własne zwyczaje - do nich należało zdobywanie plakietki przedstawiającej herb Zawiszy Czarnego. Dziewczęta nosiły krajki Szesnastki i były drużyną zawiszacką - dobrą drużyną zawiszacką.

Jesienią 1976 roku na porządku życia szczechu pojawiły się dwie sprawy: 65-lecie istnienia Szesnastki oraz sztandaru. Drużyna chciała mieć sztandar, z którym mogła występować publicznie.

Drużyna miała swój sztandar. Pamiętacie - nazwałem go "staronowym", w 1958 roku ufundowali go byli Zawiszacy, ale że była to wierna kopia sztandaru z 1925 roku, zakopanego w kłęsce Powstania Warszawskiego, potem zniszczonego, więc władze ZHP nie chciały się godzić, by sztandar tak odbiegający od przepisów obowiązujących obecnie w Związku, mógł być publicznie noszony na czele maszerującej drużyny. Ten staronowy sztandar był już tylko eksponatem o wielkiej wartości historycznej, ale muzealnym. I oto przez kilka lat w drużynie ciągle rozmyślano nad tym, jak zafundować sobie nowy, już regulaminowy sztandar. Nie był to problem mały - sztandar kosztować miał około dwudziestu tysięcy złotych, a drużyna była biedna. Próbowano jakiejś zbiórki pieniężnej wśród przyjaciół - nie dało to rezultatu. Próbowano sprzedaż tak zwanych cegiełek - bez skutku. Nawet wtedy gdy w 1973 roku dawny Zawiszak i redaktor naczelny "Sulimczyka" Aleksander Bartnicki przysłał ze Szwecji zarobionych tam 50 koron, mających inicjować zbiórkę na sztandar - zbiórka ta znowu nie przyniosła należytych funduszy. Jesienią 1976 roku po raz kolejny wrócono do tej sprawy. Tym razem zakrzętnął się koło tego płk Tadeusz Kuczyński, przewodniczący odrodzonego Koła Przyjaciół Harcerzy. To on właśnie podsunął pomysł i wainie przyczynił się do jego realizacji. Akcja "Znicz"! Przed Świętem Zmarłych, od 10 października do 5 listopada, drużyna ustawiła na ulicach Warszawy i paru osiedli warszawskich, nie opodal cmentarzy, stoiska, na których trzynasto- czternastoletnie dziewczęta i chłopcy w harcerskich mundurach sprzedawali znicze nagrobkowe. Akcja ta przyniosła tak poważne zyski, że natych-

miast można było zamówić w pracowni hafciarskiej sztandar, a jeszcze do tego kupić cztery fanfary, cztery wertle, urządźć harcówkę i uzupełnić sprzęt pioniersko-obozowy. Ogromny sukces własny drużyny; akcja Znicz powtórzona w latach następnych stała się podstawą budżetu finansowego Szesnastki.

W listopadzie 1976 roku, już mając nową izbę i czekając na nowy sztandar, drużyna uroczystie obchodziła 65-lecie. Wydane zostały okolicznościowe plakietki, ukazał się specjalny numer "Sulimczyka", który znów zaczął się ukazywać pod redakcją harcerzy z Grunwaldu, choć już nie tak regularnie, jak dawnymi bardzo laty. Na uroczystej zbiórce drużyny zebrała się liczna gromadka starych i najstarszych Zawiszaków z Zygmuntem Wierzbowskim na czele; po dawnemu odebrał on przyrzeczenie harcerskie. Urządzono bardzo ciekawą wystawę fotografii ze wszystkich lat istnienia Szesnastki. Gdzieś nawet odnaleziono stare egzemplarze przedwojennych "Sulimczyków".

W niewiele miesięcy później /w lutym 1977 roku/, na kolejnej choince szczepu przewodniczący KPH płk Tadeusz Kuczyński przekazał Szesnastce jej nowy sztandar. W latach dwudziestych pierwszy sztandar drużyny ufundowany został przez rodziców, w latach pięćdziesiątych drugi sztandar ufundowali starzy Zawiszacy, teraz na swój trzeci sztandar zapracowała sama drużyna. Każdy, kto chciał być współfundatorem tego nowego sztandaru mógł zakupić pamiątkowy "gwóźdź" z wygrawerowanym nazwiskiem ofiarodawcy, który on został w drzewce sztandaru. W ten sposób pomnożono fundusze drużyny.

Przekazaniem sztandaru - choć był to już luty - zakończył się rok dla zawiszackiego szczepu nader korzystny. Jak gdyby przełamany został długotrwały kryzys. W 1976 roku urządzono i samodzielny obóz letni, i obóz zimowy, i obóz wędrowny. Uży-

kano harcówkę - własną izbę. Reaktywowano Koło Przyjaciół Harcerstwa, które inicjując akcję zniczową sprawiło, iż szczep zyskał fundusze, jakich dawno nie posiadał. Poważne sukcesy w zawodach w hufcu, Jubileusz - udany! - 65-lecia istnienia Szesnastki. Wreszcie nowy sztandar. Zaczynała owocować praca komendantki szczepu drużyny Jasińskiej, której podstawową zasługą było przygotowanie grupy kadrowej, a dzięki takiej właśnie kadrze Szesnastka znowu natiera rozpędu.

Z takim rozpędem wkroczył szczep w rok 1977, zaczynając go jeszcze przed choinką, obozem zimowym w Becajłach. 25 harcerak i harcerzy przez 12 dni harcowało w suwalskich lasach pod komendą Ewy Hołodowicz. Oboźnym był Ryszard Kukuła, a instruktorem programowym Wojciech Sikora. Po tym obozie Ryszard Kukuła w oparciu o Grunwald założył koedukacyjny, szczepowy Klub Turystyczny, gdyż właśnie wtedy drużyny i kadra bardzo się rozwędrowały. Dosłownie co niedzielę wyjeżdżano z miasta na bliższe lub dalsze wycieczki. Początkowo to wycieczkowanie /lub jak niektórzy kiedyś nazywali, wykapkowanie/ było dość chaotyczne - Klub Turystyczny miał ten spontaniczny ruch ująć w bardziej zaplanowane ramy.

A więc Szesnastka znów zaczyna jeździć i wędrować. Nie wystarczy już jej obozy zimowe i letnie, stałe i wędrowne - pojawia się właśnie wiosną 1977 roku, nowa forma wycieczkowa - wiosenne obozy wędrowne. Nawiązywały one jak gdyby do najstarszej, z lat dwudziestych jeszcze, tradycji wiosennych wycieczek krajoznawczych Szesnastki. Dotąd były trzy takie wędrowki - w 1977, 1978 i 1979 roku - zawsze w Góry Świętokrzyskie i zawsze pod komendą drużyny Ryszarda Kukuły, i pomagających mu przybocznych Grunwaldu ruszało od piętnastu do trzydziestu chłopców i dziewcząt. Nie były to więc wycieczki małe. Każda trwała tydzień. Deszcz, śnieg z deszczem, śnieg. Noclegi w przygodnych stodołach. To były już męskie - chłopięce - warunki, w których węd-

rownicy czuli, że na nowo są dawną Szesnastką. Opowiadali, że na tych wędrówkach była wspaniała, przyjacielska atmosfera.

Tej samej wiosny tygodniowy biwak szczebu w Puszczy Bolimowskiej zorganizowany przez Klub Turystyczny. Ponadto zastęp Marsjanek z Bractwa Czarnego Orka zdobywa pierwsze miejsce w rajdzie o najlepszy zastęp hufca Ochoty.

W lipcu 1977 roku szczeb organizuje - wspólnie z zaprzyjaźnioną 242 WDH - 40 oboz letni nad mazurskim jeziorem Gołdap. Komendantką była Ewa Hołodowicz, oboźnym - Marek Gajdziński, instruktorem programowym Wojciech Sikora. 44 harcerki i harcerze w 7 zastępach. Po dwu latach przerwy znów powrócono do jednotematycznych harców - jak dwa lata wcześniej: są więc Indianie i Dzikie Zachód. Powrócono również do pewnych dawnych form harcowych - przede wszystkim zorganizowana została dwudniowa "chatka", jak twierdzą chłopcy z Grunwaldu najprzyjemniejsza dla nich przygoda obozowa. Właśnie w czasie owej dwudniowej "chatki" i czterodniowej wycieczki do Bejcał /gdzie było ostatnie zimowisko/ wypogodziło się zachmurzone niebo. Przez cały prawie obóz lały deszcze, bardzo utrudniając realizację gier i ćwiczeń. I znów tytuł najlepszego zastępu zdobyli chłopcy - Jastrzębie.

Po obozie Klub Turystyczny zorganizował kolejną wędrówkę, tym razem w Bieszczady - autostopem dojechano do gór. Wędrówka trwała dwa tygodnie. Pod dowództwem Ryszarda Kukuły brało w niej udział sześciu instruktorów i zastępowych Grunwaldu.

Po obozie, w szczebie pewne istotne zmiany kadrowe. Żeńską drużynę zuchową Różowe Puchomorki obejmuje drużna Joanna Wojtala, męską - Zielone Pantery - Wojciech Sikora. Drużynowym Grunwaldu zostaje Marek Gajdziński, który wreszcie realizuje swój patent na drużynowego, zdobyty już tak dawno. Grunwald rusza ostro do pracy. Powiększa swój stan liczebny, zastępy obejmują

chłopczy, którzy dwa lata wcześniej wstąpili do drużyny. W październiku Grunwald uzyskuje II miejsce w hufcowym Rajdzie Świątlików, a wkrótce potem, po drugiej z kolei akcji zniczowej /znowu szczep zarobił pieniądze/ - w męskiej drużynie odbyła się pierwsza operacja Grunwald. Trwała ona cały miesiąc i przez kombinacje biegów i gier miała na celu wyeliminowanie z drużyny chłopców zdecydowanie się nie nadających oraz utwierdzenie w całej gromadzie znajomości dziejów i tradycji Szesnastki. Akcja Grunwald zakończyła się uroczystością nadania najlepszym, wyróżniającym się, specjalnej plakietki drużyny /dwa miecze grunwaldzkie na niebieskim tle - kolor drużyny/, a kandydatom przyjętym do drużyny wręczono krajki i kostki. Ustanowione zostało święto drużyny, święto Grunwaldu, na którym przyjmuje się od kandydatów ślubowanie na wierność drużynie, a z rąk starszych harcerzy otrzymują oni krajki i kostki Szesnastki. Zdaniem piszącego te słowa, uroczyste wręczanie krajki i kostek jest pięknym pomnożeniem tradycji zawiszackiej, natomiast mnożenie ślubowań - gdy istnieje to jedno, najważniejsze - przyrzeczenie harcerskie - tylko osłabia powagę tego najważniejszego. Być może jednak, iż jest to zrządzenie Starego Cietrzewia - każde pokolenie harcerskie ma prawo i obowiązek tworzyć swoje własne obyczaje i swoje własne uroki.

W styczniu 1978 roku na choince hm Zofia Jasińska-Kot przekazuje kierownictwo szczepu pkm Ewie Hołodowicz.

Na kolejny obóz zimowy szczep wyjeżdża do Harbutowic na Podhale. Komendantką jest Ewa Hołodowicz, oboźnym Lesław Kuczyński - przytoczny Grunwaldu, instruktorem programowym Ryszard Kukuła. W zimowisku bierze udział 15 harcerzy i 5 harcerek.

Na wiosnę 23 harcerek i harcerzy wyrusza na wędrowkę w Góry Świętokrzyskie - znowu pod dowództwem R. Kukuły i M. Gajdzińskiego.

go. Znowu jest to trudna, jeżeli idzie o warunki, bardzo udana wycieczka. A wiosną Grunwald zdobywa czołowe miejsce w VIII Rajdzie "Arsenał" zorganizowanym przez hufiec. Zorganizowana zostaje wielka gra między wszystkimi drużynami dwóch szczepów: Szczepu 16 WDH i Szczepu 181 WDH - idzie o wzajemne wykradanie swych patrolówek; Grunwald zdobywa wszystkie patrolówki nie tracąc własnej.

A z tymi patrolówkami różnie bywa... Wiosna 1978 roku upływa w Szesnastce pod znakiem "wielkiej wojny" między drużyną dziewcząt i drużyną chłopców. Na jednym z biwaków dziewczęta wykradły z namiotów Grunwaldu ich drużynowy proporczyk. Chłopcy zareagowali niezbyt harcersko. Czarnym, żółtym paskiem, przesłoniли plakietkę drużyny, z za małym poczuciem humoru traktując to, co jest wesołym przeciwieństwem naszych harców. W wyniku akcji "odwet", podczas specjalnej gry, Grunwald odzyskał i swój proporczyk i zdobył proporczyk Bractwa Czarnego Orła, którego drużynową była wtedy drużna Małgorzata Biesiadowicz. Pokój został zawarty...

Całe to wydarzenie - wojna o proporczyki - nie miałyby nawet wielkiego dla drużyny znaczenia, nie było warte wzmianki w tej kronice, gdyby nie zapoczątkowało ono procesu wprowadzania do drużyny żeńskiej takich gier i ćwiczeń, jakie dotychczas stosowane były jedynie w drużynie męskiej. Harcerki z Bractwa Czarnego Orła chciały dorównać chłopcom z Grunwaldu - też chciały być jak komandoski... A tymczasem dziewczęta potrzebowały innych form swej harcerskiej zabawy. Tak jak dawniejsze próby unifikacji metodycznej polegające na upodabnianiu pracy Grunwaldu do temperamentu i możliwości dziewcząt stało się przyczyną kryzysu w drużynie męskiej, tak teraz z kolei przyczyną kolejnego kryzysu w drużynie dziewcząt stały się próby upodobnie-

nia ich pracy do pracy Grunwaldu. Gdy dwa lata wcześniej Grunwald był słabszą częścią szczeplu, tak teraz tą słabszą częścią stała się drużyna dziewcząt. Był drużyn harcerek to częste odpływy i przypływy. Dobrą drużyną i dobrym naprawdę szczeplem jest gromada, która przez długie lata potrafi zachować jednakową dobrą sprawność pracy.

W lipcu 1978 roku - 49 obóz letni Szesnastki koło Nowej Brdy nad jeziorem Płosno w województwie śląskim. Samodzielny i koedukacyjny - 44 dziewcząt, chłopców i instruktorów pod komendą Ewy Hołodowicz. Oboźnym Lesław Kuczyński, instruktorem programowym Marek Gajdziński, a kwatermistrem stary przyjaciel i instruktor Szesnastki Marek Wronkowski. Normalnie nie notuję w tej kronice kwatermistrzów - tym razem czynię to z akcentem ujemnym. Dlaczegoż to stary, tak bardzo dla Szesnastki zasłużony Zawisak, musiał pomóc drużynie w tej trudnej pracy? Przecież kwatermistrzostwo na obozie to doskonała szkoła wychowująca młodych ludzi do przyszłego uczestnictwa w życiu społecznym i gospodarczym kraju. Właśnie młodzi powinni być kwatermistrzami - być może, że to dla drużyny trudniej, ale dla harcerek celów wychowawczych korzystniej. Dlaczego nikt z Grunwaldu czy żadna starsza dziewczyna z Bractwa Czarnego Orła nie zostali kwatermistrzami. Niechby hm Marek Wronkowski był na obozie jako spokojliwy opiekun, przyjaciel, ale kwatermistrem powinien być ktoś młody. To taka uwaga na przyszłość...

Obóz, którego tematem programowym była Kuba i jej partyzanci /akurat tego lata światowy festiwal młodzieży odbywał się w Hawanie/, oceniony został przez uczestników jako najlepszy od chwili, gdy obozy letnie stały się koedukacyjne. Wysoki był poziom gier i ćwiczeń technicznych. "Chatki" zbudowane przez zastępy odznaczały się pomysłowością i solidnością. Obóz był roz-

śpiewany. Zastęp "Trzciniaaków cukrowych" ułożył popularną bardzo "Balladę o kończącym się obozie". W harcach miejsce pierwsze zyskał zastęp chłopców "X eskadra wywiadowcza". Druh Korwin-Szymanowski nakręcił z obozu film kolorowy, który był wyświetlany później w wielu innych szczebach warszawskich.

W sierpniu 22-osobowa kadra szczebu, zgrupowana w czterech zastępach, pod dowództwem Ewy Hołodowicz, Ryszarda Kukuły i Lesława Kuczyńskiego wyruszyła na kolejny obóz wędrowny w Bieszczady. I jest to już kadra instruktorska złożona wyłącznie z wychowanków Szesnastki. Wyrośli w drużynie w latach siedemdziesiątych. Może warto wymienić nazwiska paru najbardziej czynnych, tych, na których opiera się działalność drużyn i gromad Szesnastki: Ryszard Kukuła, Marek Gajdziński, Lesław Kuczyński, Anna Kuczyńska, Joanna Wojtala, Małgorzata Deliś, Jerzy Wojtowicz, Wojciech Iwan. Najlepszym zastępem tej wędrowki okazał się zastęp kadry Grunwaldu dowodzony przez Marka Gajdzińskiego, drużynowego Grunwaldu.

Po obozie drużynową Bractwa Czarnego Orła została druha Anna Kuczyńska.

Jesień 1978 roku minęła pod znakiem wycieczek i biwaków. Rada Grunwaldu zdobywa III miejsce w Rajdzie Rad Drużyn Ochoty i I miejsce w Rajdzie z okazji 60 rocznicy Niepodległości Polski. Obie drużyny Szesnastki zajmują dwa czołowe miejsca w elitarnym Rajdzie Parasolowym hufca. Te rajdy - obecna forma niezwykle częstych konkurencji między drużynami hufca lub chorągwi - to po prostu roztudowane dawne biegi harcerskie, jedno z najbardziej atrakcyjnych i wszechstronnych ćwiczeń harcerskich.

Rok 1979, rozpoczęty jak zwykle choinką szczebu.

Dwudziesty trzeci - licząc jedynie samodzielne - zimowy obóz szczebu w Jagniątkowie w Karkonoszach. 25 dziewcząt i

chłopców pod komendą Ewy Hołodowicz. Jej zastępcą był Lesław Kuczyński, oboźnym Jerzy Wojtowicz, kwatermistrem - Ryszard Kukuła, co w związku z uwagą o kwatermistrze obozu letniego notuję pozytywnie. Po raz pierwszy na obozach zimowych chłopcy i dziewczęta mieli oddzielne kwatery. Jak zwykle w latach ostatnich po zimowisku szczerpu część kadry wyjechała jeszcze na ćwiczebne zimowisko hufca. A trzej zapalęcy wzięli nawet udział w biwaku pod namiotami przy dwudziestostopniowym mrozie.

Podczas ferii wielkanocnych znów 25 wędrowców ruszyło pod komendą R. Kukuły w Góry Świętokrzyskie - tym razem przy pięknej pogodzie. Ten trzeci wędrowny obóz wiosenny nazwany został "wiosenniskiem", która to nazwa jednak wydaje się być niezręczna i autor tych słów proponuje - ze względu na udział dziewcząt w tych wędrowkach - nazwę "wiosenka", lżejszą i weselszą.

Na wiosnę znów powodzenie w rajdach i zawodach hufcowych. W rajdzie o najlepszy zastęp Kasjopejki z Bractwa Czarnego Orła zyskały II miejsce w klasyfikacji zastępów żeńskich, a Czarne Stopy z Grunwaldu I w klasyfikacji męskiej i IV w ogólnej. Szczep biwakuje, wędruje i gra. Na czterodniowych manewrach w Puszczy Bolimowskiej rozgrywanych między wszystkimi drużynami szczerpów 16 WDH oraz 168 WDH, Grunwald znowu odniósł zwycięstwo zdobywając proporzycyki innych drużyn, nie tracąc własnego.

Lato szczerpu rozpoczęto 7-dniowym samodzielnym obozem ćwiczebnym kadry Grunwaldu. Pod dowództwem Lesława Kuczyńskiego i Marka Gajdzińskiego obozowali na bezludnej wyspie zalewu rzeki Wdy /lewy dopływ Wisły na Pojezierzu Pomorskim/ skąd czynili wypadki rozmaite, a to podchody innych obozów harcerskich, a to wędrowki po Borach Tucholskich, doszli nawet na Pole Grunwaldzkie.

P i ę ć d z i e s i ą t y letni obóz Szesnastki urządzony

został nie opodal wsi Mikaszówka, nad jeziorem w województwie suwalskim. Pamiętacie gdzie był p i e r w s z y obóz Szesnastki? W Kołbach na Polesiu. Pięćdziesiąt obozów letnich - przy bardzo dokładnej ich numeracji - w ciągu sześćdziesięciu sześciu lat, w których wypadły dwie wojny światowe.

W Mikaszówce po raz pierwszy od chwili, gdy obozy Szesnastki stały się koedukacyjne, zamiast obozu jednolitego zorganizowane zostały dwa oddzielne podobozy. Komendantką zgrupowania była Ewa Hołodowicz, a kwatermistrzem Wojciech Iwan. Obozem Bractwa Czarnego Orła, na którym było 17 dziewcząt oraz zastęp instruktorów zuchowych, komenderowała Ewa Piechota. Obozem Grunwalda, na którym było 30 chłopców, dowodził Marek Gajdziński.

Oba obozy bawiły się w UFO. Stanisław Korwin-Szymanowski przyjechawszy z wizytą znów nakręcił film. A dwaj niedawni Zawiszacy - Tadeusz Gacki i Jarek Kopaczewski - pojawivszy się z wizytą, przywiesili skomponowaną przez siebie "Balladę o Szesnastce", która stała się przebojem tego bardzo udanego obozu, uznanego przez wizytatorów za jeden z trzech najlepszych w hufcu Ochota. A każdy dzisiejszy hufiec warszawski - to w liczbie drużyn i harcerzy wielkość przedwojennej chorągwi.

Trzeba też zauważyć, iż druhna Ewa Hołodowicz, młody pracownik naukowy w Instytucie Chemii Uniwersytetu Warszawskiego, znalazła się wśród tych paru instruktorów Szesnastki, którzy - w całej historii naszej - prowadzili najwięcej obozów stałych i wędrownych.

Minęły jubileusze - jesienią 1979 roku zaczął się kolejny rok zimowej pracy szczepu. Akcja dochodowa - już czwarta - Znicz. Grunwald zdobywa I miejsce w X Jubileuszowym Rajdzie Rad Drużyn Hufca Ochota - zyskując puchar przechodni. Trzy lata wcześniej podobny sukces uzyskało Bractwo Czarnego Orła. Grun-

wald jest dobrą drużyną harcerską, a jego młodzi instruktorzy, z Markiem Gajdzińskim na czele, starają się zapewnić ciągłość kierownictwa, mimo że każdej kolejnej wiosny, któryś z nich zdaje jakieś egzaminy, a to maturalne, a to uczelniane; nie chcą brać urlopów, bojąc się iż miałyby to niedobry skutek dla drużyny. Co świadczy zresztą, iż kadra Grunwaldu jest jeszcze zbyt szczupła.

I tak, prowadząc tę kronikę dziejów Szesnastki zbliżyliśmy się do dnia dzisiejszego. Należy podać pewną ważną informację formalną. Kiedyś byliśmy Szesnastką Warszawską Drużyną Harcerzy im. Zawiszy Czarnego - teraz, od parunastu lat, nazwa brzmi nieco inaczej: Szczep Szesnastych Warszawskich Drużyn Harcerskich i Zuchowych im. Zawiszy Czarnego. Ta dłuższa i nieco bardziej skomplikowana nazwa odzwierciedla schemat organizacyjny od niemal dwudziestu lat przyjęty w całym Związku Harcerstwa Polskiego; jak pamiętamy Szesnastka z pewnym opóźnieniem stała się szczepem, tak jak z dużym opóźnieniem stała się szczepem koedukacyjnym.

Ten szczep składa się - teraz, w 1980 roku - z trzech drużyn zuchowych oraz dwóch drużyn harcerskich: żeńskiej i męskiej. Ponadto z kadry kierującej szczepem, z Rady Szczepu, liczącej dziesięciu mianowanych instruktorów: organizatorów, przewodników, podharcistrzów, harcistrzów. Harcistrzowie Polski Ludowej są tylko wśród starszych Zawiszaków, blisko współpracujących ze szczepem. Trzy milionowy Związek Harcerstwa Polskiego już bardzo dawno pomnożył - do pięciu - liczbę stopni instruktorskich.

Drużyny zuchowe to Kleksiki, Zielone Pantery oraz Różowe Pu-

chomorki. Te trzy drużyny razem liczą ponad pięćdziesięciu zuchów - więcej chłopców niż dziewczynek. Trudno nie uśmiechnąć się - z radosną zresztą aprobatą - słysząc wesołe, śliczne, bardzo poetyczne nazwy tych niewielkich drużyn, kiedyś nazywano je gromadami, zuchowych.

Zmieniły się również nazwy drużyn: Grunwald i Bractwo Czarnego Orła - dawniej była tylko Szesnastka i nic więcej. Odmienne są również nazwania zastępów. Dziewczęcych - to Kasjopejki, Jagi, Płomienie, Elfy, Borówki. Chłopięcych - to Komandosi, Czarne Stopy, Kajaki, Wilki, rozmaite inne. Przestały obowiązywać godła jedynie zwierzęce, pojawiły się najprzeróżniejsze, poszerzyło się pole fantazji.

W lata osiemdziesiąte szereg Szesnastych drużyn warszawskich wkracza pod setką harcerek, harcerzy, zuchów i instruktorów. Z wyjątkiem kadry instruktorskiej są to wszystko uczniowie szkoły podstawowej przy ulicy Biało-brzeskiej, a więc są to harcerze młodszy wiekiem; w Szesnastce nie ma drużyny ze szkoły średniej, nie ma drużyny Harcerskiej Służby Polsce Socjalistycznej, najstarszego oddziału młodzieżowego ZHP. Szkoła przy ulicy Biało-brzeskiej nie zalicza się do specjalnie wielkich, ma 370 uczniów i uczniów, dziewcząt i chłopców mniej więcej w połowie.

W ciągu ośmiu ostatnich lat w życiu Szesnastki pojawiły się dwa elementy szczególnie znaczące. Organizacyjne i wychowawcze - gdyż nie sposób od siebie oddzielić tych obu funkcji. Myślę o koedukacji. I myślę o szczególnym nasileniu wszelkiego rodzaju obozów, biwaków, wędrowek, wycieczek. Koedukacja to element rzeczywistości w Szesnastce zupełnie nowy - stąd najbardziej naturalne kłopoty z nią związane. Obozownictwo, turystyka, wędrowanie kiedyś były podstawowym elementem pracy w Szesnastce. Osłabły w latach trudnych, kryzysowych - odrodziły się obec-

nie ze wzmoczoną siłą. Samodzielne obozy letnie, zimowe, wędrowniki wiosenne - to podstawowe elementy pracy harcerskiej, bez której nie istnieją ani drużyny, ani szczepy.

Natomiast ciągle jeszcze nie w pełni funkcjonuje inny podstawowo ważny element pracy harcerskiej. Kiedyś gwarantem sprawnego działania Szesnastki były silne, samodzielne zastępy. Teraz, na początku lat osiemdziesiątych, praca w zastępach jest o wiele słabsza. I to zarówno w przechodzącym swoją kolejną zapaść Bractwie Czarnego Orła, jak nawet w silnym zasadniczo i sprawnym Grunwaldzie. Bardziej funkcjonują drużyny - niż zastępy. To na zbiórkach drużyn odbywających się co dwa tygodnie, bardziej niż na zbiórkach zastępów, przygotowywane są imprezy, które będą akcjami całego szczepu. Na przełomie 1979 i 1980 roku /podaję jako przykład/ drużyny przygotowywały przedstawienie "Warsa i Sawa", by sprezentować je zuchom, obecnie - gdy kończę pisać tę kronikę wiosną 1980 roku - przygotowują się one do kolejnych rajdów i konkursów w hufcu. Na zbiórkach drużyn harcerski i harcerze uczą się techniki i sprawności harcerskich. Przygotowują - w Grunwaldzie - do zdobywania plakietki, której uzyskanie wymaga znajomości dziejów Szesnastki, życiorysu Zawiszy Czarnego oraz wielu innych wiadomości. Przygotowują się również do uzyskania plakietki hufca, co z kolei wymaga znajomości życiorysu Cypriana Godebskiego, gdyż hufiec Ochota właśnie tego poetę-żołnierza ma za patrona. Plakietki drużyny, którą w tej chwili posiada już około 75% młodych Zawiszaków, jak również plakietki hufca - są to pewnego rodzaju znaki wyróżniające, obok kraje, kostek i numerów, szczep nasz od innych, i nasz hufiec od innego.

Szczep współczesny Szesnastki jest - jak całe harcerstwo - młodszy wiekiem od dawnej przedwojennej czy powojennej drużyny.

Zastępowi są bardziej niż dawniej wspierani i kierowani przez drużynowego, a zajęcia muszą być dostosowane do młodszych dziewcząt i chłopców.

Zresztą rodzice również bardziej niż kiedyś śledzą pracę drużyn. Nie w charakterze przyjaciół w KPH służących drużynie partnerską opieką i pomocą, ale w roli ojców i matek bardzo - może nawet za bardzo - wtrącających się w życie harcerskie z lękiem, by ich dzieciom nie stała się tam jakakolwiek krzywda, by ich nic nie zmęczyło i by - co już naganne - nie były one zanadto samodzielne. Byłoby chyba lepiej, aby rodzice okazywali drużynie bądź szczerpowi większe zaufanie, a równocześnie bardziej pomagali im w Kole Przyjaciół Harcerstwa, gdzie prócz rzetelnie pożytecznych drużynie pana płk Tadeusza Kuczyńskiego oraz pani Hanny Drozd, jest zbyt mało chętnych do takiego zajęcia się nie tylko własnym dzieckiem, ale wszystkimi - własnymi przecie! - dziećmi. A jest to może tym bardziej konieczne, że gospodarka finansami drużyny w znacznym stopniu odbywa się właśnie w Kole Przyjaciół Harcerstwa.

A więc mamy już wiosnę 1980 roku. Rozpoczęliście go tradycyjną choinką. Dwudzieste czwarte zimowisko szczerpu odbyło się w Małym Cichym koło Zakopanego. Trwało ono cztery tygodnie. Dwa pierwsze były normalnym obozem całego szczerpu, wzięło w nim udział 19 chłopców i 5 dziewcząt. Komendantem był Ryszard Kukuła. Drugie dwa tygodnie to zimowisko kręgu instruktorskiego Szesnastki - 20 chłopców i dziewcząt powyżej stopnia zastępowego, pod dowództwem Ewy Hołodowicz. Cztery tygodnie nart przy pięknej zimowej pogodzie.

Potem była już zima i jest wiosna normalnego roku harcerskiego, sześćdziesiątego dziewiątego roku warszawskiej Szesnastki.

Harcerskiej pracy było tych lat nieco mniej - były przecież i dramatyczne przerwy w normalnym istnieniu drużyny, kiedy to Szesnastka funkcjonowała bardziej jako idea, niż zwykła drużyna. Ale w dziejach drużyny te lata "ideowe" też przecież się liczą.

Czarne Stopy z Grunwaldu zdobywają II miejsce w Rajdzie Hufca. Szczep przygotowuje się do swego pięćdziesiątego pierwszego obozu letniego. I myśli się już o uroczystości 70-lecia istnienia Szesnastki.

Jubileusz ten postanowiono uczcić żywym pomnikiem. Pomnikiem z drzew, których Polska potrzebuje najwięcej. Przez cały dzień wiosenny szczep Szesnastki pracował w nadleśnictwie Wyszaków sadząc drzewa przywiezione do Polski z Kanady. Tą leśną szkółką Szesnastka będzie się opiekowała, aż do chwili, gdy stanie się ona silnym, samodzielnym lasem.

Potem Zawiszacy razem z wycieczką skautów amerykańskich wzięli udział w sadzeniu drzewek wokół Centrum Zdrowia Dziecka - nasiona tych drzew przywieźli w darze skauci.

51 obóz letni Szesnastki odbył się nad jeziorem Kieleckim koło Bytowa na Pomorzu Zachodnim, osiem kilometrów od wszelkich miejsc zamieszkałych. Po obozie Ewa Hołodowicz przekazała kierownictwo szczepu Markowi Gajdzińskiemu, dotychczasowemu drużynowemu Grunwaldu. Drużynę chłopców Grunwald objął Lesław Kuczyński, drużynę dziewcząt - Anna Pietrzak. Zmieniony został nieco układ drużyn wychowowych. Jesienią 1980 roku szczep opracował obszerny, 40-stronicowy „Regulamin zasad działania szczepu 16 WDH”, w 25 rozdziałach obejmujący całokształt pracy drużyn i szczepu, coś w rodzaju konstytucji i kodeksu postępowania Szesnastki. Podobny regulamin po raz pierwszy opracował Zygmunt Wierzbowski w 1925 roku.

Instruktorzy Szesnastki utworzyli krąg Zawrat, który brał

czynny udział we wszystkich dyskusjach zmierzających do odnowy życia ideowego i organizacyjnego Związku Harcerstwa Polskiego, jako że jesienią 1980 roku harcerstwo, w ślad za innymi dziedzinami życia w Polsce, wkroczyło w kolejny swej własnej odnowy.

W początkach stycznia 1981 roku szczep urządził zimowisko w Huzeli koło Leska. Komendantem był Lesław Kuczyński.

I wtedy też rozpoczęły się intensywne prace zmierzające do uczczenia specjalnymi imprezami siedemdziesiątej rocznicy istnienia Szesnastki.

Każdą kronikę, jeżeli jest ona opowieścią o dziejach, które trwają, które są żywe, trzeba w jakiejś chwili zamknąć, przerywając tok opowieści, czasem może to być cezura zgodna z logiką i porządkiem naturalnym wydarzeń, czyste jednak jest to mechaniczne pogwałcenie toku dziejących się spraw. Ten drugi przypadek staje się udziałem naszej gawędy, którą przerywam, gdyż muszę ją kończyć, a nie dlatego, że kończy się cokolwiek w życiu Waszego szczepu. Przeczytaliście tę gawędę i biegniecie na zbiórkę zastępu czy drużyny i przygotowujecie się do najbliższej gry, do najbliższego obozu.

Gawędę o dziejach Szesnastki kończę w siedemdziesiąt lat po tym, jak we Lwowie w roku 1909, młodzi Polacy po raz pierwszy, usłyszeli otce im, angielskie słowo: skauting. Potem przerobili je na polskie harcerstwo - i stworzyli organizację wychowawczą zupełnie samodzielną, polską z ducha i formy, dzisiaj będącą najstarszą polską organizacją społeczną, gdyż wiodącą swój nieprzerwany ciąg z lat niewoli narodowej i rozbiorów. Historia harcerstwa jest historią Szesnastki, historia Szesnastki jest historią harcerstwa. Szesnastka, która jest jedną z najstar-

szych drużyn polskich, miała swoje lata wspaniałe, miała i lata chude, bardzo trudne. Jesteście spadkobiercami historii pięknej i bogatej, różnorodnej, nawet dramatycznej. Jesteście spadkobiercami wielu, wielu setek, tysięcy nawet Zawiszków, którzy na przestrzeni czasu tworzyli drużynę. Jej założyciele już dawno nie żyją. Wielu dawnych członków naszej drużyny pewnie zapomniało o swej młodości. Ale dla bardzo wielu, dla bardzo wielu, młodość spędzona w Szesnastce pozostała jakimś bardzo cennym skarbem moralnym i uczuciowym, skarbem pamięci czułej i pięknej. Ale również i czymś większym jeszcze: te wartości obywatelskie i moralne, które w nas Szesnastka wyrobiła, ugruntowała i wzbogaciła, okazały się bardzo potrzebne w całym naszym dorosłym życiu. Służą naszym pracom zawodowym i działaniom twórczym, dzięki nim jesteśmy lepszymi obywatelami naszego kraju, lepszymi, gdyż bardziej przydatnymi całemu naszemu społeczeństwu. I to tylko wówczas, gdy wypadło nam walczyć z bronią w ręku o wolność kraju, ale i wówczas gdy pracowaliśmy codziennie i zwyczajnie, po prostu pracowaliśmy. W chwilach specjalnie ważnych tę codzienną pracę nazywamy służbą ojczyźnie, państwu, narodowi. Służą Polse. Istnieje opinia, że ci, którzy przeszli przez harcerstwo, sprawniej i rzetelniej wypełniają swe codzienne społeczne i zawodowe obowiązki. Lata w Szesnastce bardzo nam w tym pomogły.

Było nas, Zawiszków z Szesnastki, bardzo wielu. Wy nimi - Wy nami! - jesteście dzisiaj. Wiem dobrze, że normalny, zdrowy młody chłopak, normalna, wesółka młoda dziewczyna nie bardzo chętnie spogląda w przeszłość. Co ich tam obchodzi, co było kiedyś! Ważne jest dziś, ważne jest jutro - prawda? Dopiero z biegiem lat człowiek dorosły zdobywa świadomość, iż przeszłość to dziś, tylko cokolwiek dawniej - by nieco sparafrazować Nor-

wida. Zdobywa świadomość, że jednak więź z przeszłością, to oparcie dla naszych pleców, jakie tworzy tradycja każdego społeczeństwa, bardzo pomaga w codziennym i teraźniejszym życiu. Historia Szesnastki pomaga i Wam. W tym sensie byliśmy i jesteśmy zawiszącką rodziną.

W Waszej izbie powiesiliście szklaną gablotę, w niej - staronowy, opowiedziałem Wam o jego dziejach, sztandar Szesnastki. Dzisiaj jest on tylko relikwią z dziejów drużyny, ale na tę relikwię patrzycie codziennie. I ona stanowi dla Was symbol. Historia Szesnastki, tradycja Szesnastki - ten mundur, który nosicie, ta krajka, te kostki, ten krzyż harcerski - to jest spoiwo, które pomagało naszej drużynie w chwilach najtrudniejszych i które Wam pomaga i dzisiaj, choć nie zawsze sobie z tego zdajecie sprawę. Ale człowiek nie zawsze wie dlaczego coś robi - gdy jednak to robi. Kiedyś, zwracając się do młodych, polski poeta tak pisał: "Sztandar to święty żołnierza znak, w nim jego życie, moc i potęga". Stary nasz sztandar wisi w gablocie, na nowy sztandar kolejne roczniki Zawiszków co kilka miesięcy składają harcerskie przyrzeczenie. Przeszłość codzienna spleta się z przyszłością. Przeszłość jest naszym oparciem, przyszłość - drogą i horyzontem. Poczucie łączności z tymi wszystkimi, którzy byli przed nami, sprawia iż lepiej prowadzimy nasze gry i nasze obozy, nasze zbiórki i ćwiczenia. Many poczucie stabilizacji - przecież każdemu niezbędnej. Jesteśmy wkorzeni, nie jesteśmy tyle kim, nie jesteśmy efemerydą. Nie żyjemy tylko chwilą. Możemy więc lepiej służyć naszemu społeczeństwu, Polsce, w każdym okresie jej istnienia. Tej, która była, która jest i która będzie.

Zanim skończę tę gawędę chciałem prosić Was o minutę milcze-

nia. Na tych stroniczkach wymieniłem nazwiska tych wielu, bardzo wielu Zawiszaków, drużynowych, zastępowych i harcerzy Szesnastki, którzy zginęli jako żołnierze walcząc o Polskę wolną i niepodległą. Walczyli i ginęli na wszystkich frontach I wojny światowej, która dla odradzającej się Rzeczypospolitej skończyła się w dwudziestym roku. Walczyli i ginęli we Wrześniu 1939 roku. Walczyli i ginęli na ulicach naszych, okupowanych przez hitlerowców miast. Walczyli i ginęli w partyzancie. Walczyli i ginęli na wszystkich frontach i pod wszystkimi niebami II wojny światowej. Walczyli i ginęli w Powstaniu Warszawskim. Należy im się nasza najtrwalsza pamięć.

Wśród Zawiszaków, którzy polegli za Polskę, był zamordowany przez hitlerowców w Oświęcimiu Roman Różycki, jeden z redaktorów naczelnych "Sulimczyka" oraz autor pierwszej kroniki dziejów Szesnastki, napisanej w książce wydanej w 1936 roku, w dwudziestopięcioletnie istnienia drużyny. Bez jego bezcennej książki - nie byłaby możliwa i ta moja gawęda. Pochylałem głowę nad nikomu nieznaną mogiłą Romana Różyckiego.

I jeszcze jedno. Bez notatek kronikarskich, które z lat 1936-1949, w tym i lat wojennych, spisał Tadeusz Sułowski - stary Zawiszak i drużynowy, i bez notatek Włodzimierza Dusiewicza z tej samej generacji Zawiszaków, który opisał lata po wojnie i po roku 1957, ta gawęda byłaby również niemożliwa. Należy im się moja gorąca wdzięczność. Dziękuję również tym wszystkim, byłym Zawiszakom i obecnym instruktorom oraz instruktorom szerepu szczególnie tym z Grunwaldu, bez których opowieści, wspomnień i pomocy nigdy bym nie potrafił odtworzyć dziejów naszej zawiszackiej gromady.

Drogi Druhny, drodzy Druhowie - miłe Ewy i Zosie, Kasie,

Moniki i Magdy, drodzy Leszkowie, Ryśkowie, Staszkwie, Markowie i Wołtkowie - przeczytaliście tę gawędę, spieszcie się teraz na wasze zbiórki i ohozy. Nie powinniście się spóźnić. Tylko już może do Was prośba - pamiętajcie o tych wszystkich, którzy na takie same zbiórki, tak samo spieszili się przez owe wszystkie sześćdziesiąt dziewięć minionych lat. Stary Cietrzew woła za Wami : C z u w a j !

Warszawa, lipiec 1980 r.

Drużynowilod 1961 roku i szczepowi Szesmastki
=====

- 1911-12 Jerzy Wądołkowski, Janusz Rudnicki, Kazimierz Odynecki,
Roman Umiastowski
- 1912-15 Jerzy Wądołkowski
- 1915-16 Bohdan Pniewski
- 1917 Stefan Gutowski, Tadeusz Gutowski, Bohdan Pniewski
- 1918-19 Aleksander Mianowski, Adam Włodarkiewicz, Tadeusz Mei-
ssner, Zygmunt Tyszka
- 1920 Jan Włodarkiewicz, Wasław Bisiér, Zygmunt Tyszka
- 1921 Aleksander Mianowski, Witold Wierzbowski, Henryk Seyd-
man, Władysław Rotstein
- 1922 Jan Mieszkowski, Wacław Bisiér
- 1923 Wacław Bisiér, Tadeusz Klarner
- 1924-26 Zygmunt Wierzbowski
- 1926-27 Piotr Pawlikowski
- 1928 Włodzimierz Boerner
- 1929-30 Zygmunt Piaskowski
- 1930-32 Włodzimierz Hellmann
- 1932-33 Jerzy Kozłowski
- 1933-35 Gustaw Radwański
- 1935-37 Włodzimierz Giżycki
- 1937-38 Marian Przetocki
- 1938-39 Stefan Jedliński
- 1941-44 Michał Woynicz-Sianożęcki
- 1944-45 Józef Przewłocki
- 1945-46 Kazimierz Koźniewski
- 1946-48 Marek Jaczewski
- 1948-49 Jan Karczewski
- 1957 Andrzej Pawłowski
- 1957-59 Tadeusz Sułowski, Włodzimierz Dusiewicz

- 1959-65 Zbigniew Stok-Stokowiec
/od 1961 drużynowy staje się szczepowym/
1965-66 Tadeusz Sułowski
1966-67 Andrzej Kossowski
1967-69 Marek Wronkowski
1969-75 Stanisław Korwin-Szymanowski
1975-77 Zofia Jasińska
1978-80 Ewa Hołodowicz
1980 Marek Gajdziński

OBOZY LETNIE /númeracja, miejsce, komendanci/
=====

- 1 - 1913 rok - Kołby /Polesie/ - Alojzy Pawełek
- 2 - 1915 - Wilczogęby /n.Bugiem/ - Jerzy Wadożkowski
- 3 - 1916 - Podzowie /pow.Sokołowski/ - Bohdan Pniwski
- 4 - 1917 - Jeanki /Mazowsze/ - Tadeusz Gutowski, Stanisław Gołębiowski
- 5 - 1918 - Grotowice /Mazowsze/ - Tadeusz Gutowski, Aleksander Mianowski
- 6 - 1925 - Białka /Podhale/ - Zygmunt Wierzhowski
- 7 - 1926 - Meczyszczce /Karpaty Wschodnie/ - Zygmunt Wierzbowski
- 8 - 1927 - Studzieniczna /Augustowskie/ - Piotr Fawlikowski
- 9 - 1928 - Bulla /Łotwa/ - Włodzimierz Boerner
- 10 - 1929 - Przewóz /pow.Kartuzy/ - Zygmunt Piaskowski
- 11 - 1930 - Niedzica /Podhale/ - Zygmunt Piaskowski
- 12 - 1931 - Karwieńskie Błota /n.Bałtykiem/ - Włodzimierz Hellmann
- 13 - 1932 - Worochta /Czarnohora/ - Włodzimierz Hellmann
- 14 - 1933 - Rytro /Podkarpacie/ - Jerzy Kozłowski
- 15 - 1934 - Otabie /Bracławszczyzna/ - Gustaw Radwański
- 16 - 1935 - Rybnik /Śląsk/ - Gustaw Radwański
- 7 - 1936 - Czerwonogórd /Podole/ - Włodzimierz Giżycki
- 18 - 1937 - Charzyków /Bory Tucholskie/ - Włodzimierz Giżycki
- 19 - 1938 - Susk /Wołyń/ - Jan Bugajski
- 20 - 1939 - Jezioro /k.Grodna/ - Stefan Jedliński, Michał Woynicz-Sianożęcki, Andrzej Silberberg
- 21 - 1943 - Michalin /k.Warszawy/ - Zbigniew Stok-Stokowiec
Chylice /k.Warszawy/ - Zdzisław Szeliński
- 22 - 1944 - Zalesie /k.Warszawy/ - Zbigniew Stok-Stokowiec
Zielona /k.Warszawy/ - Jan Moes

- Zalesie Górne /k.Warszawy/ - Jan Stokowiec
Laski /k.Warszawy/ - Stanisław Starowieyski
nad Pilicą - Zygmunt Przewłocki
- 23 - 1945 - Dąbrówka /k.Radomia/ - Jerzy Kacprzyński
24 - 1946 - Skoki /k.Gostynina/ - Marek Jaczewski
25 - 1947 - jezioro Łańskie /Mazury/ - Marek Jaczewski
26 - 1948 - Wierzbica /k.Chełma Lubelskiego/ - Jan Karczewski
27 - 1949 - Gubin - Wiesław Szeliski
28 - 1957 - Karwieńskie Błota /po raz drugi/ - Andrzej Pawłowski
29 - 1958 - Suków /Kieleckie/ - Tadeusz Sułowski, Włodzisław
Dusiewicz
30 - 1959 - Przyrośl /Mazury/ - Jan Stok, Tadeusz Sułowski,
Wiesław Szeliski, Edward Salwerowicz
31 - 1960 - Samin /Warmia/ - Zbigniew Stok-Stokowiec
/oraz dwa obozy wędrownie/
32 - 1961 - Karwieńskie Błota /po raz trzeci/ - Zbigniew
Stok-Stokowiec
33 - 1962 - Czarne /Bieszczady/ - Zbigniew Stok-Stokowiec
34 - 1963 - Nadkole /k.Kamieńczyka nad Liwcem/ - Marek Wron-
kowski
35 - 1964 - Łunowo /wyapa Wolin/ - St. Korwin-Szymanowski
/oraz obóz wędrowny w Tatrach/
36 - 1965 - Wery /pow.Działdowski/ - St. Korwin-Szymanowski
/oraz obóz wędrowny w Tatrach/
37 - 1966 - Dłużki /Mazury/ - St. Korwin-Szymanowski
/oraz obóz wędrowny w Tatrach/
38 - 1967 - Rydzawo - Andrzej Kossowski
39 - 1968 - Kaszewiec /n.Narwia/ - Jerzy Marczak
40 - 1969 - Ciche n. jez. Robotno /Mazury/ - Marek Wronkowski
41 - 1970 - Karwieńskie Błota /po raz czwarty/ - St. Korwin-
Szymanowski

- 42 - 1971 - Wysocza /Koszalińskie/ - Jerzy Marczak
- 43 - 1972 - Gryzy /jez. Głębokie, Mazury/ - Jacek Jaszczuk
- 44 - 1973 - Złoczno nad jez. Sosna - Zofia Jasińska
- 45 - 1974 - Lutówek n. jez. Smdanek /Pomorze Bydgoskie/ -
Zofia Jasińska
- 46 - 1975 - Jedwabno /Mazury/ - Zofia Jasińska
- 47 - 1976 - Karwieńskie Błota /po raz piąty/ - Zofia Jasińska
/oraz obóz wędrowny w górach/
- 48 - 1977 - nad jez. Gołdap /Mazury/ - Ewa Hołodowicz
- 49 - 1978 - Nowa Brda /Skupskie/ - Ewa Hołodowicz
/oraz obóz wędrowny/
- 50 - 1979 - Mikaszówka /Suwalszczyzna/ - Ewa Hołodowicz
/oraz obóz wędrowny/
- 51 - 1980 - nad jez. Kielskim /k. Bytowa - Pomorze Zachodnie/ -
Ewa Hołodowicz

OBOZY ZIMOWE - samodzielne /numeracja, miejscowość, komendant/
=====

- 1 - 1925/26 - Ostojewo /Kieleckie/ - Zygmunt Wierzbowski
- 2 - 1926/27 - Starachowice - Piotr Pawlikowski
- 3 - 1929/30 - Miętne /k.Garwolina/ - Jerzy Doliwa-Jankowski
- 4 - 1930/31 - Zegrzynok /Warszawa/ - Włodzimierz Hellmann
- 5 - 1931/32 - Zakopane-Bystre, willa "Wierzbianka" - Włodzimierz Hellmann
- 6 - 1932/33 - Zakopane, "Wierzbianka" - Józef Korwinowski
- 7 - 1933/34 - Zakopane, "Wierzbianka" - Józef Korwinowski
- 8 - 1934/35 - Zakopane, "Wierzbianka" - Gustaw Radwanski
- 9 - 1935/36 - Zakopane, "Wierzbianka" - Włodzimierz Giżycki
- 10 - 1936/37 - Szawski /Karpaty/ - Włodzimierz Giżycki
- 11 - 1937/38 - Wysocko Wyzne /Karpaty/ - Marian Przetocki
- 12 - 1938/39 - Zakopane, "Wierzbianka" - Stefan Jedliński
- 13 - 1959/60 - Hala Gąsienicowa /Tatry/ - Zbigniew Stok-Stokowiec
- 14 - 1960/61 - Hala Gąsienicowa - Zbigniew Stok-Stokowiec
- 15 - 1961/62 - Hala Gąsienicowa - Zbigniew Stok-Stokowiec
- 16 - 1962/64 - Hala Gąsienicowa - Stanisław Korwin-Szymanowski
- 17 - 1964/65 - Hala Gąsienicowa - Stanisław Korwin-Szymanowski
- 18 - 1965/66 - Hala Gąsienicowa - St. Korwin-Szymanowski
- 19 - 1969/70 - Zakopane, "Wierzbianka" - St. Korwin-Szymanowski
- 20 /27/ - 1975/76 - Nowe Miasto Lubawskie /Mazury/ - Ewa Hołodowicz
- 21 - 1977 - Beczajły - Ewa Hołodowicz
- 22 - 1978 - Harbutowicz /Podhale/ - Ewa Hołodowicz
- 23 - 1979 - Jagniątkowo /Karkonosze/ - Ewa Hołodowicz
- 24 - 1980 - Małe Ciecche /k.Zakopanego/ - Ryszard Kukuła, Ewa Hołodowicz
- 25 - 1981 - Huzela /k.Leska, Bieszczady/ - Lesław Kuczyński

Polegli Zawiszacy

1914-1920 Jerzy Buguski
 Henryk Dobrowolski
 Władysław Drecki
 Tadeusz Gutowski
 Stanisław Kuksz
 Roman Morozowicz
 Mieczysław Popielawski
 Bolesław Skinder
 Leon Suchecki
 Bożydar Żłobnicki

1939-1945 · Władysław Bondy
 · Jan Bugajski
 · Juliusz Chomicz
 · Michał Dowbor
 · Jan Eberhardt
 · Jan Gaładyk
 · Włodzimierz Giżycki
 · Andrzej Głuziński
 · Jerzy Godlewski
 · Stanisław Gołębiowski
 Witold Grott
 · Stefan Gutowski
 Tadeusz Gutowski
 · Tadeusz Heugel
 · Andrzej Horko
 · Jan Idzikowski
 Wojciech Jakimowicz

Jerzy Klarner
Jerzy Kobylński
Tadeusz Kocjan
Jan Kropatsch
Andrzej Krupski
Stanisław Leinweber
Stanisław Lenart
Adam Minich
Andrzej Moszkowski
Stanisław Mozer
Piotr Pawlikowski
Jan Pawłowski
Jan Perkowski
Jan Pfeffer
Aleksander Plater
Gaston Pinon
Zygmunt Przewłocki
Zdzisław Radwański
Eugeniusz Rdułtowski
Renik N.N.
Edward Rogoziński
Roman Różycki
Janusz Rudnicki
Andrzej Sanecki
Andrzej Silberberg
Feliks Sobczyński
Tadeusz Sobczyński
Marek Strassburger
Jan Szaniawski
Tadeusz Szulc

Jerzy Świerczewski .
Tadeusz Ulankiewicz .
Jan Włodarkiewicz .
Andrzej Wojno .
Jerzy Wojno .
Michał Woynicz-Sianożęcki .
Waldemar Wójcicki .
Tadeusz Zdziarski .
Zbigniew Zieliński .

Zginęli ratując życie bliźnich

Zygmunt Piaskowski
Jerzy Suchenek Suchecki